

*Książki
16*

Dotychczas wyszły:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psychologią rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochornicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księżstwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perelka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego*.

Tom.

20. Maryan Gawalewicz. *Szkice i obrazki*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
21. Piotr Chmielowski. *Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi* (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
- 22 i 23. Franciszek Wężyk. *Władysław Łokietek*, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
24. Roman Plenkiewicz. *Kształcenie młodzieży* (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochrowicza*.
25. Zygmunt Krasiński. *Irydyon*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. *Pojata, córka Lezdejki*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
30. Julian Ochrowicz. *Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu*, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
31. Klemens Junosza. *Na zgliszczach*, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
32. Anna Potocka. *Pamiętniki*, tłumaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.

Anna Potocka.

№ 32.

Pamiętniki.

TLÓMACZYŁA

J. A.

Z PRZEDMOWĄ

Piotra Chmielowskiego.



TOM I.

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Swiat 47.



94(438).04/07: 323.31: 74r
828 Potocka Anna

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Апрѣля 1893 года.

Anna z Tyszkiewiczów Potocka.

Książka, którą obecnie podajemy w polskiem tłumaczeniu, ukazała się w Paryżu w początku roku 1897 i miała już cztery wydania. Ogłosił ją p. Kazimierz Stryjeński, który niejedną już rękopis francuski wydobyl z archiwów i dał poznać ogółowi.

Własnoręczny manuskrypt jest w posiadaniu pani Br. Pauli z Siedlec. Pozwolenie na opublikowanie go otrzymał wydawca od wnuczki autorki, p. Natalii Potockiej. Poprzedził swe wydanie przedmową obszerną (str. XXXI), z której wybieram tu wiadomości najważniejsze, dające poznać utalentowaną twórczynię tych Pamiętników.

Anna Tyszkiewiczówna była córką Ludwika hr. Tyszkiewicza i Konstancyi Poniatowskiej, bratanki króla Stanisława. Przyszła na świat prawdopodobnie w r. 1776; odebrała wykształcenie francuskie, lecz była przywiązana do swej narodowości i razily ją takie osoby, które, jak np. księżna marszałkowa Lubomirska (babka pierwszego jej męża, Aleksandra Potockiego), lepiej znały wiek Ludwika XIV, niż wy-

padki wstrząsające krajem, i okazywały się czulszemi na nieszczęścia Burbonów, wygnanych z Francji przez rewolucję, aniżeli na klęski własnego społeczeństwa.

Wychowywała się głównie na dworze swej babki, hetmanowej Branińskiej, „pani Krakowskiej,” siostry królewskiej, w Białymstoku. Od wczesnej młodości okazywała zamiłowanie do literatury. *Iliada* była jej ulubioną książką już wówczas; potem czytała Szekspira, Tassa i wszystkich klasyków francuskich, a zwłaszcza Rasyna. Kiedy w dziele Chateaubrianda „Duch chrześcijaństwa” (*Le Génie du Christianisme*) wyczytała ustęp z Roussa, który ją w wysokim stopniu zaintrygował, przeszukuje bibliotekę białostocką, by odnaleźć *Nową Heloizę* i nią się rozkoszować. Głośne wtedy romanse Richardsona, pani de Souza, były oczywiście jej znane, a *Korynnę* pani de Staël „pożerała” zaraz po jej ukazaniu się w r. 1807; zamiłowanie w niej zachowała do późnej starości, kiedy ją sobie odczytywać kazała.

W r. 1802 zaślubiła Aleksandra hr. Potockiego, a teść jej Stanisław, głośny mówca, tłumacz dzieła Winkelmanna „o Sztuce u starożytnych,” rozwinął w niej smak estetyczny; piękna zaś galerja wilanowska posłużyła jej za szkołę, z której nauczyła się oceniać arcydzieła malarstwa. Znalazłszy się w Paryżu, zwiedza modne pracownie mistrzów: Davida, Girodetta, Gérarda. W dniu przedstawienia się Napoleonowi (r. 1810) pewnem roztargnieniem zdradziła swą żywą miłość dla piękna. Pomimo zmieszania, miała odwagę wznieść oczy i spojrzeć na „Sybillę“

Guercina, znajdującą się nad biurkiem cesarza; ciekawość zwyciężyła w niej lęk. Ten drobny wypadek dał hrabinie możność i sposobność poznania bogactw Louvre'u i jego miłego dyrektora, pana Denon.

Z rozkoszą zajmowała się swemi rezydencyami, zwłaszcza Natolinem i Jabłonką, a później Zatorem (w Galicyi). Na podobieństwo Izabelli Czartoryskiej, interesowała się architekturą i pracowała nad upiększeniem swych zamków i ogrodów. Powiada ona o sobie: „Leniwa we wszystkim, co nie dotyczyło rzeczy wyobraźni, rysowałabym chętnie dzień cały.” A gdzieindziej znów: „Gdy nam brakło pieniędzy, sprzedawałam swoje brylanty, aby kupić jaki marmur lub bronz... Szczęśliwe to czasy, kiedy moje noce bezsenne nie miały innego powodu, prócz nadmiaru wyobraźni!... Z jakąż niecierpliwością oczekiwałam dnia, aby rzucić na papier pomysły, co zakiełkowały w umyśle wśród ciszy nocnej!”

Była zapaloną wielbicielką Napoleona, chociaż się wychowała wśród ludzi, co go nie cierpieli. I nigdy uwielbienie to się nie umniejszyło, chociaż przywiązywane do jego zwycięstw nadzieje nie urzeczywistniły się wcale. I Francja też, w której tyle czasu przepędziła, stała się jej drogą. Bardzo znamieniem jest wyznanie, jakie się Annie Potockiej wymknęło z pod pióra. „Naród zarówno miły, jak dowcipny — mówi o Francuzach — rozkoszny kraj! Gdybym miała nanowo rozpocząć tę mozolną robotę, którą życiem nazywamy, to chciałabym się urodzić Francuzką!... Nie wypieram się ja ojczyzny swojej, o nie, niech mię Bóg bron! Im jest nieszczęśliwsza,

tem więcej praw ma do miłości swych dzieci. Ale gdyby się miało dozwolony wybór, zanim się porobiło zobowiązania, to czyż nie wolno byłoby polepszyć losu swego, aby uniknąć tylu zawiedzionych nadziei, tylu nieszczęść niepowetowanych!

Anna Tyszkiewiczówna wyszła za Aleksandra Potockiego w r. 1802 i miała troje dzieci: Augusta, urodzonego w 1803, Natalię (później księżną Sanguszkową), zmarłą młodo w 1830, i Maurycego, który się urodził w 1812. Wyszła następnie powtórnie za mąż za Dunina-Wąsowicza, który jako adjutant Napoleona I-go znajdował się w tym nielicznym orszaku, jaki towarzyszył cesarzowi francuskiemu w szybkiej podróży z Wilna do Paryża r. 1812. Pamiętniki Anny, jeszcze Potockiej, kończą się na r. 1820. Dlaczego? Po części objaśnia to końcowy ich ustęp: „Jeżeli odtąd pisać jeszcze będę — powiada autorka — to chyba bez porządku, dlatego jedynie, ażeby zaznaczyć ważne zdarzenia, wyryte w mej pamięci. Wciąż wzrastające nieszczęścia krajowe i moje smutki osobiste odjęły mi nietylko chęć, ale nawet zdolność zajmowania się wspomnieniami. Wstrętem mi jest oskarżać innych, a starać o usprawiedliwienie siebie. Zresztą *Wyznania* Rousseau, które odczytałam w znacznym czasie potem, jak zaczęłam pisać, były dla mnie nauczka. Pomimo jego niezaprzeczonego talentu i wytwornego stylu, popadał w gadaninę, w swej nadzwyczajnej próżności mógł mniemać, że należy do ludzi, którym wobec potomności wolno się ukazywać zaniedbanymi, a tymczasem potomność ta rzadko jest pobłażliwą dla tego, kto ją chce zainteresować spra-

wani osobistemi.“ Autorka zmarła w Paryżu 16 sierpnia 1867 r.

Pamiętniki Potockiej, ta książka subtelna i zajmująca — jak powiada p. Stryjeński, wysoko stawiający styl francuski autorki — zadowolni zarówno psychologów, jak czytelników zwykłych, szukających tylko rozrywki, zadowolni nawet historyków, którzy znajdą w niej trochę drobnych faktów, nieznanych zupełnie lub znanych niedokładnie.

W objaśnieniach korzystano tu dość często z not, podanych przez p. Stryjeńskiego, ale dodano do nich wiele innych, które może posłużą do uczynienia czytania *Pamiętników* korzystniejszym. Ktoby chciał mieć szczegółowe wiadomości o wypadkach i ludziach, napomknieniami tylko wskazanych, niech weźmie do ręki pięciotomowe dzieło Juliusza Falkowskiego p. t. „Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce“ (1877 — 1887). W ogłoszonych także w „Bibliotece dzieł wyborowych“ *Dziejach Księstwa Warszawskiego* Fr. Skarbka znajdą już czytelnicy wiele.

Piotr Chmielowski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

WSPOMNIENIA MŁODOŚCI.

I.

Zamek w Białymstoku.

(1794)

Dlaczego hrabina pisze pamiętniki. — Margrabina Baireuth. — Ostatni król polski. — Białystok. — Pani Krakowska. — 18-ty kwietnia 1894 roku. — Piękne panie w obozie Kościuszki. — Wzięcie Pragi (4 listopada 1794 roku). 1794?

Było to w roku 1812. Przeczytałam właśnie dziwne Pamiętniki margrabiny Baireuth¹⁾, te, których ogłoszenie, według wyrażenia Napoleona, równało się drugiej bitwie pod Jeną dla domu Brandeburskiego; odsłaniają bowiem tyle małostek i szkaradzieństw.

Byłam wówczas bardzo młoda. Nabrałam ocho-

¹⁾ Ukazały się w roku 1812 w Paryżu. Margrabina była siostrą Fryderyka Wielkiego.

ty do spisywania swych wspomnień w miarę, jak podrastać będę. W owym czasie nie fabrykowano jeszcze pamiętników tuzinami. Spisywano tylko swoje własne, mniej lub więcej szczerze. Zdawało mi się, bez wielkiej zarozumiałości, że zdolna byłam zebrać materiały bardziej zajmujące, niż te, na których pocziwa margrabina zbudowała swoją nieśmiertelność, i wzięłam się do pracy.

Niema nikogo, ktoby się troszczył o siostrę wielkiego człowieka; to często mię niepokoiło — bardzo dobrze rozumiałam, że pod kupą grubych anegdot chciano odszukać Fryderyka II.

Jakkolwiek urodzona z krwi królewskiej, mówiąc słowem margrabiny, nigdy *policzka* nie dostała, nigdy nie było włosów w mojej zupie, nigdy nie widziałam się skazaną na przymusowe areszty. Zamiast biednej i brudnej rezydencji książęcej, zamieszkiwaliśmy jeden z najpiękniejszych zamków¹⁾ na kontynencie, co nie jest ani tak nowem, ani tak zajmującym, jak to, co margrabina opowiada o swojej siedzibie. Ale, żyjąc w wielkim wieku, budowałam swoje nadzieje na zajęciu, jakie obudzają te czasy pełne chwały.

Spisywanie swoich wspomnień, nie pisząc o sobie, wydaje mi się zgoła niemożliwem; jeśli się pra-

¹⁾ Zamek w Białymstoku.

gnie wzbudzić zaufanie, to czyż nie potrzeba dać się poznać samej?

Matka moja¹⁾ była siostrzenicą ostatniego naszego króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Szlachetna postać tego monarchy, godność jego w obejściu, jego wzrok łagodny i melancholijny, srebrzyste włosy i ładna, zlekka wyperfumowana ręka, wszystko stoi jeszcze żywo w mojej pamięci. Czas, do którego odnoszą się te wspomnienia, jest to doba naszych ostatnich nieszczęść.

Matka moja pośpieszyła za królem do Grodna, dokąd stronnictwo rosyjskie pchnęło go po trzecim podziale. Tam, z pokoiku, w którym umieszczono mnie z moją guwernantką, co rano widziałam orszak królewski. Gwardziści rosyjscy, o twarzach płaskich i bezbarwnych, przerażali w takim stopniu moją dziecianną wyobraźnię, że trzeba było powagi matki mojej, ażeby mię zmusić do przestąpienia progu drzwi, a i wtedy jeszcze nie obeszło się nigdy bez oporu i płaczu.

W innych okolicznościach byłby Poniatowski godnie tron zajmował. Panowanie jego tworzy epokę w rocznikach nauki. Rozbudził on w Polsce zamiłowanie do sztuki i literatury stłumione rządami

¹⁾ Konstancja Poniatowska, 1756 — 1830, żona Ludwika Tyszkiewicza. Była ona córką starszego brata królewskiego, Kazimierza Poniatowskiego.

elektorów saskich, których rozzwierżenie wywołało zgubny wpływ na kraj cały...

...Lorsque Auguste burait, la Pologne etait ivre!... ¹⁾

Stanisław przeciwnie, lubował się jedynie w rywkach szlachejnych i użytecznych i wszystkie chwile wolne poświęcał w znacznej części uczo-
nym i artystom. Z wykształceniem gruntownem i różnostronnem łączył dowcip, pełen wdzięku, i smak wytworny. Mówiąc z łatwością zarówno językami umarłemi, jak i językami krajów, po których podróżował, posiadał w wysokim stopniu dar zajmowania słuchaczy i umiejętność wypowiadania wobec nich słów takich, które najlepiej mogły pochlebić dumie narodowej lub osobistej próżności każdego. Serce jego było wielkie i szlachetne; przebaczał bez zastrzeżeń, a swoje dobrodziejstwa posuwał często zbyt daleko. Ale natura, tak hojna względem człowieka prywatnego, odmówiła monarsze tej zalety, co sama jedna utrzymuje panowanie, odmówiła siły i woli.

Kiedy król odjechał, wróciliśmy do Białego-
stoku, gdzie mieszkała moja ciotka, pani Krakow-
ska ²⁾. Była ona wdową po Branickim, kasztelanie

¹⁾ Kiedy August pił, Polska była pijana!

²⁾ Izabella Poniatowska (1730 — 1808), żona Jana Kle-
mensa Jaxy Branickiego, hetmana wielkiego koronnego, kasztelana
krakowskiego. Zm. 1771.

krakowskim, a siostrą króla Stanisława Augusta. Mąż
jej grał ważną rolę podczas konfederacji Barskiej;
w roku 1764 został umieszczony na liście pretenden-
tów do tronu, ale kiedy partya jego szwagra okaza-
ła się silniejszą, usunął się do swego majątku, gdzie
żył jak król.

Ja widziałam Białystok jeszcze urządzony
z rzadką wspaniałością. Tapicerzy francuscy, spro-
wadzani wielkim kosztem, zwieźli tam meble, zwier-
ciadła, buazerye, godne pałacu Wersalskiego. Tru-
dno było pomyśleć o szerszych rozmiarach salonów
i przedsionków, zdobnych w kolumny marmurowe.
Co tylko było w Polsce z wielkich panów i najzna-
komitszych podróżników, gościł ten zamek. Cesarz
Paweł, wówczas jeszcze wielki książę, i żona zatrzy-
mali się tam przez kilka dni, kiedy przedsięwzięli tę
pamiętną podróż, która zajęła całą Europę. Urządze-
nie ogrodów i parków, przepych najróżnorodniejszych
cieplarni, piękność i mnogość drzew pomarańczowych,
wszystko to tworzyło z tego miejsca siedzibę pra-
wdziwie królewską. Za życia pana Krakowskiego
dwie trupy aktorskie, francuska i polska, zarówno
jak balet, utrzymywany wielkim kosztem, skracały
urozmaiconemi widowiskami wieczory zimowe. Teatr,
malowany przez włoskiego artystę, mógł pomieścić
trzysta do czterechset osób. Budynek ten, zupełnie
oddzielony od pałacu, znajdował się u wejścia do

parku z danielami. Widziałam go jeszcze w dość dobrym stanie.

Taki był to rodzaj życia, które prowadzili wówczas wielcy panowie z *opozycji*. Za moich czasów pozostały z niego tylko wspomnienia, które kazałam sobie opowiadać stuletnim sługom

Wdowa po Branickim, prosta i skromna w swych upodobaniach, chociaż szlachetna i wielka w czynach, wydawała na dobre uczynki równie wielką sumę, jaką mąż jej wyrzucał na zabawy i przyjemności wszelkiego rodzaju. Utrzymując z godnością stanowisko, jakie jej wyznaczyły urodzenie i majątek, odkradała nadmiernemu zbytkowi liczne pomoce, których nigdy nie odmawiała nędzy i nieszczęściu.

Nikt nigdy na tej ziemi nie potrafił lepiej przekonać o możliwości udoskonalenia, zaprzeczanego tak powszechnie. Pobożna bez bigoteryi, dobra bez słabości, dumna i łagodna, stanowcza, ale czuła, dobroszynna bez ostentacyi, bezinteresownie szlachetna, posiadała ona wielkie zalety, które każą kochać ciotę. Być może, że jej wykształcenie nie wystarczyłoby innej, ale nikt chyba nie pisał z większym wdziękiem, nie wyrażał się z większą dystynkcyą, nie robił honorów domu z większą godnością i nie zajmował się z żywszą dobrocią wszystkimi tymi, co żyją około nas.

Moje dzieci, proszę was, gdy będziecie prze-

jeżdżali przez Białystok, pomyślcie o niej i wspomnijcie o mnie. Tam to upłynęły spokojne dni mojej młodości. Tam zostało postanowione moje małżeństwo i tam po raz pierwszy widziałam umierających!... Matka moja rzadko opuszczała ukochaną ciotunię i ja wychowywałam się pod jej okiem.

Zimy spędzałyśmy w Warszawie, a w lecie wracałyśmy do tej pięknej posiadłości, którą opisałam; ale począwszy od dnia, kiedy króla odwieziono do Petersburga, siostra jego zamieszkała na wsi i nie opuściła już swego zamku. Tak więc zima 1794 r. była ostatnią, jaką spędziłyśmy w mieście.

Doskonale przypominam sobie rewolucję, która położyła koniec naszemu politycznemu istnieniu. Za zgodą ogólną dowództwo zostało oddane Kościuszcze.

18-go kwietnia zostaliśmy przebudzeni odgłosem armat i częstemi strzałami. Ojciec mój był nieobecny, a służba natychmiast chwyciła za broń, nie troszcząc się o to, co się z nami stanie; trzeba było zatem zebrać radę niewieścią, która postanowiła, że najpewniejszą rzeczą jest ukryć się w piwnicach. Spędziłyśmy razem cały ranek, nie mając żadnych wiadomości. Około trzeciej po południu strzelanie w naszej okolicy ustało, a król poraził, abyśmy stali się dostać do Zamku, który on zamieszkiwał. Nie znaleźliśmy ani lokai, a zresztą powóz z trudnością mógłby przejechać się po ulicach,

zawalonych trupami; byliśmy zmuszone przejść pieszo całe Krakowskie-Przedmieście, gdzie bito się przez kilka godzin. Widok tego pola bitwy, na którym Rosyanie legli setkami, przejął mię przerażeniem... ale było to jedyne bolesne wrażenie, jakiego doznałam. Zabłąkane kule, świszczące nad naszymi głowami, bynajmniej mię nie przstraszały.

Od dnia tego, aż do wzięcia Pragi (4 listopada 1794) nie opuszczałyśmy Zamku, gdyż miasto było w ustawicznym wrzeniu. Wszystko, co się stało w tym przeciągu czasu, zatarło się zupełnie w mojej pamięci. Niewyraźnie tylko przypominam sobie, że towarzyszyłam matce do obozu Kościuszki, gdzie piękne panie, z czapeczkami na uchu, ciągnęły taczki, napelnione ziemią, aby pomagać przy budowaniu szaniec. Zazdrościłam im ich losu, a moje dziecinne serce biło już przy opowiadaniu o naszych zwycięztwach.

Co rano i co wieczór zachęcała mnie bona, że bym się pobożnie modliła do Boga o błogosławieństwo dla wojsk naszych. Z całego serca oddawałam się temu, co mi kazano robić, ale naprawdę nie rozumiałam, co się to dzieje i dlaczego trzeba się było gniewać na tych pięknych oficerów rosyjskich, na których spoglądałam nieraz z przyjemnością, gdy harcowali na ładnych koniach. Wzięcie Pragi oświeciło mnie, a serce moje wcześniej otworzyło się dla uczuć, które przelałam na swoje dzieci.

II.

Emigranci i Ludwik XVIII.

(1798)

Bassompierre'owie w Białymstoku. — Hrabia. — Poeta salonowy. — Pani Rigny. — Osiedlenie się. — Wspomnienia chwały. — Przybycie Ludwika XVIII. — Zawód Bassompierre'ów. — Projekt małżeństwa pomiędzy księciem de Berry a Anną Tyszkiewicz. — Wielbicielka Napoleona. — Hrabia Tyszkiewicz. — Jego szlachetne postępowanie.

Rewolucya nasza nastąpiła wkrótce po rewolucyi francuskiej; ale otoczeni przez trzech wielkich nieprzyjaciół, mieliśmy nieszczęście być zwyciężonymi i najszlachetniejsze usiłowania, poświęcenia, godne największego podziwu, skończyły się całkowitym podziałem naszego kraju. Nie tak stało się we Francyi, którą pewnym krokiem dąży do sławy. Jest tylko jeden punkt wspólny do porównania: każdy z tych krajów miał swoją emigracyę. We Francyi — szlachta, rojaliści, duchowieństwo; u nas — patryoci, ofiary, wygnańcy. Francya miała swoją Wandę, a my Legiony! We wszystkim mniej szczęśliwi,

zmuszani byliśmy przelewać krew swą na drugiej półkuli.

W końcu zeszłego wieku Polska była zalana przez emigrantów francuskich, którzy po większej części pochodzili, wedle swego zapewnienia, z wielkich domów i przyjmowali skwapliwie ofiarowywaną sobie gościnność, jakby robili łaskę. Pani Krakowska miała u siebie całą rodzinę Bassompierre'ów, Najpierw przybył jeden, potem drugi, później trzeci, a w końcu cała linia macierzysta i niemacierzysta.

Napozór niewiele sobie robili z najstarszego w tej rodzinie, a jednak, gdy się zdarzyła sposobność, obficie częstowano go tytułem markiza. Zaiście, pocziwiec nie był zbudowany, jak Moncada ¹⁾. Później zjawił się hrabia, mający około pięćdziesięciu lat, mąż młodej i ładnej kobiety, którą poślubił w tej epoce ogólnych wstrząśnień; w każdym innym razie panna Rigny, jak mówią poufali, nigdyby nie mogła się ubiegać o stanowisko tak świetne! Hrabia, mały, drobny, o włosach w szcnotkę, mocno wypudrowanych i z niezbędnym harcapem, jako znak łączności, nie należał do najprzyjemniejszych. Miał duży, kończasty nos, posępne spojrzenie i zaciśnięte usta. Uważano go za dowcipnisia. Przytaczał szczęśliwie

¹⁾ Franciszek Moncada, wódz i statysta hiszpański z początku XVIII wieku.

daty i układał wierszyki dość zgrabne. Ile razy chodziło o jakieś improwizowane widowisko, o jakąś niespodziankę, o zabawę uroczystą, szliśmy do niego z prośbą o kuplety. Zawsze dawał się prosić, a w końcu zawsze nam powierzał „swoje dziecięta“, upominając, ażebyśmy ich nie *okaleczyli*. Następowwały wówczas próby, była to ważna rzecz. Trzeba było uwydatniać pewne *szczęśliwe wyrażenia*, przeslizgiwać się po rymie, robić nacisk na półwierszu!... atoli rzadko kiedy autor wydawał się zadowolonym; zanudzał nas śmiertelnie.

Matka hrabiny zachowała resztki piękności i zdawała się być bardzo przebiegłą. Nie było bynajmniej stwierdzonem, czyby przez dawne *poświęcenia* nie była przygotowała *świątynnego stanowiska córce*. Sióstrzeniec, lat dwudziestu trzech, któremu można było kazać nosić bluzę, i zachwycająca dziewczynka, imieniem Amelia, dopełniali grona rodzinnego. Z początku przyjęli oni zaledwie skromne mieszkanie i przychodzili dzielić z nami posiłek. Później zauważono, że mieszkanie jest zbyt szczupłe i że niedosyć jest jadać... jest tyle innych potrzeb *niezbędnych*. *Zrezygnowano się* tedy przyjąć, rozumie się tajemnie, dość znaczną pensję. Po kilku miesiącach wyrażono pragnienie posiadania jakiegoś *domku*: to tak miło być u siebie!... Otrzymali natychmiast małą ładną willę, położoną o ćwierć mili od zamku.

Nowe mieszkanie wymaga wielu starań! Hrabia, *pochłonięty* sprawami politycznemi, nie mógł, czy nie chciał zająć się tem — hrabina była tak młoda! nie wiedziała, jak się wziąć do tego — a zresztą cudzoziemcy zawsze narażają się na oszukanie! Mamunia podjęła się tedy dać do zrozumienia pani Krakowskiej, że ten wzrost dobrobytu narażał ich na kłopot. Natychmiast rozkazy zostały wydane, a domek doprowadzony do stanu, w jakim mógł przyjąć nowych gości. Niczego tam nie brakowało: pokoje umeblowano z wytworną prostotą, spiżarnię zaopatrzono, gołębnik zaludniono, ogród został wygracowany, uliczki wyżywirowane; pomyślano nawet o wozowni i stajni, boć trzeba było, żeby rodzina miała na czem dostawić się do zamku; wuj był za stary, a Amelia za młoda, ażeby tak wielka odległość nie miała ich zmęczyć.

Tyle dobrodziejstw, złanych na jedną obcą rodzinę, wywołało zazdrość, a jeśli kiedykolwiek uczucie takie może być wytłomaczonem, było niem w tym razie ze względu na sposób, w jaki te dobrodziejstwa przyjmowano; wciąż się powtarzały porównania przeszłości z teraźniejszością; wciąż niegrzeczne przymówki lub skargi niezbyt delikatne. Jeśli jakiś przybysz wychwalał wobec naszych emigrantów urządzenie tak małej willi, która w istocie była uroczą, odpowiadano mu głębokiem westchnie-

niem, wzrokiem pełnym rezygnacyi, słowami urywanemi, które miały oznaczać: „*Byłoby to dobre dla innych, ale nie dla nas...*“ A później mówiono o zamkach, które musiano opuścić, o życiu rozkosznem i wspaniałem, jakie tam prowadzono; ztąd do marszałka Bassompierre i przyjaźni, łączącej króla z tym wielkim człowiekiem, był tylko jeden krok, a kiedy raz znaleźli się na tym gruncie, niepodobna było wytrzymać, westchnienia przechodziły w łkania, a przymówki w obelgi.

Przykrym dla Bassompierre'ów zawodem była wizyta Ludwika XVIII, który zatrzymał się w Białymstoku w przejeździe do Mitawy, gdzie mu cesarz Paweł wyznaczył rezydencję. Król podróżował pod nazwiskiem hrabiego Lylle. Przygotowano mu pokoje, przeznaczone dla monarchów. Był tam umieszczony ze wszelkimi względami, należnemi jego urodzeniu i nieszczęściu. Pani Krakowska wyszła aż do przedpokoju, ażeby go powitać. Odczuwał, jak się zdawało, żywo to przyjęcie i wysadzał się na uprzejmość. Nie byłam jeszcze w wieku, żebym go mogła ocenić, ale podobał mi się, gdyż miał minę dobrego i otwartego człowieka. Jego orszak nie był liczny. Zdetronizowani królowie nie mają dworaków. Ludwik XVIII miał coś lepszego niż pochlebców, towarzyszył mu przyjaciel szczery i oddany, hrabia d'Avarav.

Byliśmy bardzo ciekawi, jak też on przyjmie znakomitą rodzinę wygnańców. Niestety! było to jedno z tych rozczarowań, po których bardzo trudno jest przyjść do siebie! *Król nie znalazł ich zupełnie*. Ani markiza, ani hrabiego, ani młodej hrabiny, ani starej mamy! Traktował nawet dość lekko te podpory tronu, których nigdy nie widział i które nic nie zrobiły, aby wesprzeć chwiejące się królestwo.

Pan d'Avaray, zdziwiony tonami, jakie przybie-rali nasi Bassompierre'owie, uważał sobie za obowiąz-zek opowiedzieć nam, co o nich wiedział. Byli to rzeczywiście Bassompierre'owie, ale biedni i zwyrodniali, odziedziczyli tylko dumę ze wspomnień, do któ-rych należało zaliczyć te zamki, o jakich mówili bezustannie. Rewolucya zubożyła ich. Nigdy nie po-siadali mieszkania tak miłego, jak to, które im ofia-rowała wspianiałomyślna gościnność.

Wyjaśnienia te nie zmieniły w niczem postę-powania pani Krakowskiej; aż do swojej śmierci nie przestała obsypywać dobrodziejstwami swoich gości. Bądź co bądź, młoda hrabina skorzystała z lekcji — mówiła mniej o Paryżu, którego *nigdy nie widziała*, powstrzymała się od porównań niezbyt pochlebnych między krajem, który musiała opuścić, a tym, gdzie znalazła tak szlachetne przyjęcie. Odtąd nosiła bie-liznę, nie ośmielając się już skarżyć na *zapach polskie-go mydła*, a ponieważ król ze zdziwieniem wyraził

się o dobrej kuchni, na którą był bardzo czuły, są-dziła, że będzie już jej teraz wolno nie robić gryma-sów przy jedzeniu zupy.

Czy to wskutek przelotnego projektu, czy też poprostu z chęci podobania się i wywdzięczenia tym sposobem za królewskie przyjęcie, jakiego doznał pan jego, dość, że hrabia d'Avaray przed opuszcze-niem Białegostoku zaproponował mojej matce połą-czenie mnie z księciem de Berry. Nie wiedząc do-brze, co ma odpowiedzieć, matka moja zaoponowała w imię mojej wielkiej młodości, obiecując jednak przed-stawić tę propozycję ojcu memu, który nie chciał o tem słyszeć. Odpowiedział mojej matce, że wędrowny ksią-żę robił na nim zawsze wrażenie awanturnika; że niema najmniejszego prawdopodobieństwa, aby Bur-bonowie kiedykolwiek wrócili do Francji; że zresztą związek, który wydawał się im, być może, dzisiaj pożądanym z powodu korzyści majątkowych, później mógłby się im pokazać niepolitycznym i nierównym; że nakoniec, mając tylko jedną córkę, wolałby ją wydać za jakiego szlachcica polskiego.

Odmowę tę, ociosaną i osłabioną, zakomuniko-wano panu d'Avaray, który się raczej nią zadziwił niż obraził. Dopiero znacznie później po tej osobli-wej propozycji dowiedziałam się o niej i myślałam bardzo często w miarę, jak wypadki coraz nadzwyzajniejsze roztaczały się przed memi oczyma, o nie-

zwykłem położeniu, w jakim byłabym się znalazła. Bonaparte napelnił Europę odgłosem swych tryumfów. Tyle blasku i chwały zdobyło czoło zwycięzcy, takie szczęście uwieńczyło wszystkie jego wyprawy, iż sądziłam, że zjawił się Aleksander lub Cezar. Wychowywałam się pośród ludzi nieprzyjaznych wielkiemu człowiekowi, ale mój zachwyt, podtrzymywany często przez obawę narażenia się, stawał się jeszcze większym. Jakżeby mogła skakać z radości na wieść o zwycięztwach Napoleona, będąc żoną jednego z Burbonów?

Ponieważ zaczęłam mówić o moim ojcu, a piszę głównie dla swoich dzieci, poczuwam się do obowiązku zapoznania ich ze szlachetnym charakterem ich dziada. Od ostatniego rozbioru przyłączył się on do niewielkiej liczby tych, którzy odmówili podpisania akcesu do znienawidzonej konfederacji Targowickiej. Wskutek tego odważnego oporu cały jego majątek zasekwestrowano; ojciec mój w milczeniu poddał się następstwu, jakie ściągnęły nań stałość i patryotyzm.

W kilka lat później Wielkie Księstwo Litewskie wysłało delegację do Petersburga, ażeby wyjednać pozostawienie Statutu Litewskiego w swej sile. Delegację, złożoną z najbogatszych i najznakomitszych panów kraju, przyjęła Cesarzowa Katarzyna z okazyłością, jakiej nie szczędziła tvm. którym pragnęła

zaliczyć do rzędu swoich wielbicieli. Dwór jej był bez zaprzeczenia jednym z największych w Europie. Bale i uroczystości następowały jedne po drugich. Deputaci polscy zostali zaproszeni przez łaskawą monarchinię *raz na zawsze* na te wspaniałe przyjęcia, i sądzili, że im nie wolno chybiać takiej inwituacji. Mój ojciec tylko zjawiał się na dworze wtedy jedynie, gdy go zmuszały obowiązki jego misyi.

Cesarzowa, zdziwiona i dotknięta takim brakiem gorliwości, nie mogła się powstrzymać od wyrażenia swego niezadowolenia, i zwracając się do mego ojca, z wielką żywością oświadczyła, że on jeden tylko nie okazał się wcale ciekawym widzieć tych piękności, które były ozdobą jej zebrań. Nie wydając się zupełnie zmieszany, ojciec mój skłonił się głęboko, jakby wziął tę wymówkę za dowód życzliwości, i odparł głośno, że wobec położenia, w jakim znajdował się kraj, niemożliwym jest dla Polaka ukrywanie bolesnych uczuć, których doznawał, i że podług jego zdania, nie należy zachmurzać świetnej uroczystości, wnosząc na nią niezwykły smutek. Cesarzowa, oceniwszy natychmiast człowieka, który w ten sposób jej odpowiedział, zawołała, że nic jej tak nie zachwyca, jak niezależność i podniosłość uczuć.

Potem dodała:

— Jako kobieta, współczuję nieszczęściom, któ-

rym surowa polityka nie dozwala mnie, jako władczyni, zapobiedz.

W chwili, gdy odchodziła, wyjęła z za paska zegarek, ozdobiony szmaragdami, i ofiarowała go me mu ojcu, prosząc go o przyjęcie tej pamiątki, jako dowodu szczególnego szacunku, który dla niego miała, niby rozumiejąc i oceniając całe szlachetne postępowanie hrabiego Tyszkiewicza. Po łasce tej nastąpiło zniesienie sekwestru, ciężącego na dobrach mego ojca.

III.

Astrolog.

(1802)

Panna Duchêne, lektorka pani Krakowskiej. — Życie w zamku. — Chateaubriand i Rousseau. — Karol XII. — Wołczyn. — Astrolog szwedzki. — Przepowiada tron Stanisławowi Augustowi. — Dobre stare czasy.

W zamku znajdowała się osoba, zasługująca na uwagę ze względu na swój umysł, wykształcenie i swoją nadzwyczajną pamięć. Była to panna Duchêne, lektorka pani Krakowskiej, paryżanka z urodzenia. Była ona przedtem u pani Tessé i nabrała tam nie tylko tonu i manier dobrego twarzystwa, ale nadto nasłuchiwała się mnóstwa ciekawych anegdot. Należała do tych wybranych istot, które nigdy niczego nie zapominają, zarówno tego, co czytały, jak tego, co widziały lub słyszały. Przewano ją chodzącą Encyklopedyą. Ponieważ zaprzyjaźniła się z moją guwernantką, widywałam ją ciągle i w znacznej części zawdzięczam jej to, co wiem. Pani Bassompierre jeszcze

więcej niż ja była jej obowiązana. Panna Duchêne całem sercem oddała się rodzinie Bassompierre'ów, których przyzwyczajenia, język, nawet wady przenosiły ją, że tak powiem, do jej ojczyzny.

Wychowana pośród tych Francuzów, mimowoli przejęłam się duchem ich języka i oddawałam się przedewszystkiem ich literaturze.

Niezmiernie lubiłam ich pogawędki, bądź to dowcipne i błahe, bądź też pouczające i poważne, zawsze jednak wesole, wśród najcięższych nawet rozpraw, jakich nastęrczała polityka. Byli to bowiem Francuzi minionej doby, którzy wogóle śmieli się ze wszystkiego i robili z życia sprawę najmniej poważną, jak tylko mogli.

Dnie nam schodziły w sposób bardzo niezależny; każdy żył po swojemu. Jedni pracowali, inni się bawili.

Pobłażliwość pani Krakowskiej szła tak daleko, że nikt, nawet najbliżsi, nie byli obowiązani słuchać Mszy, którą co rano odprawiano w zamku.

Około trzeciej dzwonek wzywał na obiad; był to znak, aby się zbierano. Co wieczór, wyjąwszy latem, od siódmej do dziewiętej bywało czytanie. Można było słuchać, ale pod warunkiem zachowywania milczenia. Lektorka była zajęta tylko krótki przeciąg czasu, poświęcony przez kasztelanową zaznajamianiu się z dziennikami i nowościami lite-

rackimi. Jeśli ich brakło, odczytywano na nowo klasyków. Tym sposobem zapoznałam się z Chateaubriand'em, który łączył tradycje klasyczne z duchem nowym.

Właśnie ukazał się *Duch Chrystyanizmu*. Są, niestety, dwie rzeczy, niemożliwe do pogodzenia: moral i wyobraźnia. Ostrzegam o tem matki, któreby chciały swoim córkom dać do czytania tę religijną poezję. Autor umieścił tam ustęp z *Nowej Heloizy*, ten, w którym Julia skarży się na pustkę, jaką odczuwa jej serce, wyczerpawszy wszystkie złudne wzruszenia życia. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie zrobiła na mnie ta harmonijna proza Rousseau'a; wykradałam tę książkę, ażeby odnaleźć ten ustęp; uczynił on mni smutną i marzycielską. Chateaubriand, jak sądzę, miał najlepsze intencje, chciał, aby nieuchwytna potrzeba kochania zwróciła się ku Bogu; ale, powtarzam, cytata owa jest niebezpieczną dla dziewcząt piętnastoletnich; wywiera ona skutek zupełnie przeciwny zamierzonemu przez autora.

Kiedy się czytanie skończyło, otwierano drzwi dla każdego, kto przyszedł, i rozmawiano. Starsi opowiadali, młodzi pilnie słuchali. Pani Krakowska, najstarsza córka Poniatowskiego, przyjaciela i towarzysza Karola XII, przejęła z ust swego ojca wiele ciekawych anegdot o bohaterze szwedzkim.

Nie było chyba nigdy człowieka obdarzonego

przymiotami, któreby więcej uzdalniały do dokonania wielkich rzeczy. Ponieważ łączył ciało żelazne z dużą ognistością, nie nie mogło ani go dziwić, ani powstrzymać. Nie wierzył w przeszkody fizyczne, a pragnienia i słabości ludzkie uważał za dziecinne przywidzenia i dobrowolną podłość. Pewnego dnia zabrakło żywności; król, który jechał zawsze na czele swojej armii, zeskoczył nagle na ziemię, zerwał garść trawy i zaczął ją żuć. Po chwili milczenia rzekł do swego wiernego towarzysza, który patrzył nań ze zdziwieniem:

— Robiłem próbę zdobycia świata. Gdybym potrafił żywić swoje wojska w ten sposób, to czuję, że jeślibym nie przeszedł Aleksandra i Cezara, tobym im dorównał.

Obawiał się tylko jednej potęgi w świecie, potęgi piękności; jedynie piękna kobieta mogła się pochwalić, że go uczyniła tchórzem... zmuszała go do ucieczki.

— Tyłu bohaterów—mawiał on—uległo czarowi pięknej twarzy. Czyż Aleksander, którego najbardziej lubię, nie spalił miasta dla przypodobania się niedorzecznej ładacznicy? Chcę, aby moje życie było wolne od podobnej słabości i ażeby historia nie znalazła w niem takiej plamy.

Pewnego razu powiedziano mu, że jakaś młoda dziewczyna błaga o sprawiedliwość dla swego ośm-

dziesięcioletniego, ślepego ojca, którego skrzywdził żołnierz.

Pierwszym popędem króla, tak surowego w karności, było iść do skarżącej, ażeby od niej samej dowiedzieć się o szczegółach występkę. Ale, zatrzymując się nagle, zapytał:

— Czy ona jest ładna?

A kiedy go zapewniono, że łączyła z wielką młodością uderzającą piękność, kazał, by sobie twarz zakryła, gdyż inaczej nie mógłby jej wysłuchać.

Jakże żałuję, że nie powzięłam już wtedy myśli zapisywania wszystkiego, co słyszałam! Teraz tylko oddzielne wypadki przychodzą mi na pamięć; wtedy była to historia całego życia, wierna opowieść wydarzeń najciekawszych, wypadków najmniej znanych, jakie osoba w podeszłym wieku z rzadką dokładnością przekazywała jeszcze drgające uważnym słuchaczom. Ta, która pozwalała nam, że tak powiem, dotknąć tych ubiegłych czasów, miała te opowieści od naocznego świadka i opowiadała je językiem prostym, ze ścisłością dat, co wypływało ztąd, że nigdy nie pozwoliła sobie zmienić jakiegoś faktu, opuścić lub dodać jakiegoś rysu; tak drogą była jej prawda, tak wpływ miała jej szlachetna prawda na najmniejsze czynności, najprostsze rozrywki jej życia.

W czasach Karola XII byli jeszcze astrologowie

z zawodu. Jedna anegdota z młodości mojej ciotki łączy się z tym rodzajem przesądów.

Siedząc u stóp mej matki, tuliłam się do jej kolan z lekkim dreszczem i biciem serca, trudnem do powściągnięcia. Czy to wypływało z dzieciństwa, czy z łatwowierności, mniejsza o to. Dzisiaj nawet nie rumienię się za to i przyznaję, że doznawałam przyjemności, doświadczając strachu. Oto historia mojej ukochanej ciotki o astrologu; być może, że natrafiła ona na wrażliwego czytelnika, dla którego nie będzie obojętną, tembardziej, że, powtarzam, nie ma w niej nic zmyślonego.

Po śmierci Karola XII (1718) Poniatowski, który był do niego serdecznie przywiązany, wrócił do Polski; wkrótce potem zaślubił księżniczkę Konstancję Czartoryską (1720) i zamieszkał z nią w swojej wsi Wołczyń. Wyniesiony do pierwszej godności w kraju, kasztelana krakowskiego, którą odziedziczył po nim jego zięć, żył tu, czczony przez sąsiadów, a kochany przez rodzinę, wypoczywając po życiu czynnem i szlachetnych pracach, jakim poświęcił swoje najpiękniejsze lata. Był już ojcem czworga dzieci; w chwili, gdy zdarzył się niezwykły wypadek (1732), który opowiadam, oczekiwano piątego. Wzruszenie, w jakie wprawia taka okoliczność, panowało w zamku, z kądem umyślnie usunięto dzieci, bawiące się bez troski rzucaniem w siebie śnieżkami, podczas gdy ojciec ich.

przejęty niepokojem, machinalnie utkwiał wzrok w kłębach dymu, wychodzących z jego wschodniej antyki.

Nagle hałas wyrwał go z tego nieokreślonego zamyślenia. To dzieci wbiegły wszystkie razem, prosiąc jakiegoś nieznajomego, który pragnął pomóc z panem domu.

Nadzwyczajna dobroć i wytworna grzeczność były to przymioty, właściwe panu Krakowskiemu, które przelały na wszystkie dzieci, zwłaszcza zaś na króla Stanisława. Na widok nieznajomego niepokój ustąpił żywej ciekawości. Niezwykły strój i wytworne ruchy tego człowieka mogły z łatwością zwrócić uwagę.

Kiedy na rozkaz pana Krakowskiego wprowadzono go do salonu i podano mu zaraz posiłek, przed wyjściem służących, nieznajomy opowiedział poprostu, że będąc Szwedem z urodzenia, a astrologiem z zawodu, podróżował w sprawie nauki. Pragnął się zetknąć ze sławnym rabinem, mieszkającym w Kozienicach, miasteczku położonem niedaleko Wołczyń.

Jakkolwiek, dzięki stosunkom ze Szwedami, znał się na wyobrażeniach kabalistycznych, jednak Poniatowski nie wdawał się w praktyki tego rodzaju. Nie mógł więc powstrzymać lekkiego uśmiechu.

— Ach! widzę, że pan wątpisz o najpiękniejszym, najwznioślejszym z praw, jakie człowiek zdola

sobie przywłaszczyć, z umiejętności czytania w gwiazdach—zawołał astrolog.—A więc, ażeby zwyciężyć pańskie niedowiarstwo i ażeby pozostawić wam wspomnienie mojej wizyty i wdzięczności, jaką czuję za tak życzliwe przyjęcie, które znalazłem pod pańskim dachem, postawię horoskop dla pańskich dzieci.

Natychmiast zbliżyły się wszystkie jasne i ciemne główki, wyciągnęły się wszystkie rączki, a wróżbita, zasięgnawszy najdokładniejszych objaśnień co do dnia i godziny ich urodzenia, przepowiedział córkom najświetniejsze stanowiska, a synom sławę wojskową, dostojeństwa, bogactwa.

Nagle milczenie przerwał krzyk nowonarodzonego, którego akuszerka przyszła pokazać ojcu; wszyscy otoczyli go. Astrolog, rzuciwszy szybkie spojrzenie na dziecko, zdawał się popadać znów w ekstazę.

— *Pozdrawiam cię, królu Polski—zawołał z siłą—pozdrawiam cię jako króla od dziś dnia, kiedy ty nie nie wiesz jeszcze ani o wyniesieniu, do jakiego jesteś przeznaczony, ani o nieszczęściach, jakie będą jego następstwem.*

Jakkolwiek pan Krakowski był uzbrojony przeciwko wszelkim zabobonom, córka jego zapewniała nas, że często przyznawał się jeszcze na długo przed spełnieniem się tej przepowiedni, iż ostatnie słowa astrologa przejęły go śmiertelnem zimnem.

Król Stanisław nigdy nie mówił o tej wróżbie, ale starsi jego bracia przypominali ją sobie często i opowiadali o niej każdy na swój sposób.

Jakże godną zazdrości jest wyższość charakteru, pozwalająca nam wyznać szczerze, bez obawy śmieśności, że są rzeczy niemożliwe do wytłumaczenia, zwłaszcza, gdy niepodobna im zaprzeczyć.

Niech żyją dobre stare czasy, kiedy wierzono we wszystko!

Najpierw wierzono w Opatrzność, a to upraszcza wiele rzeczy; potem wierzono w raj, co pozwalało znosić wiele zmartwień. Wierzono w cnotę i w możliwość stawiania oporu złym popędom, ponieważ autorowie bardzo dowcipni, romansopisarze bardzo czarujący, nie byli jeszcze dowiedli, że opór ten jest co najmniej zbyteczny, gdyż namiętność usprawiedliwia wszystkie zboczenia.

Wierzono w cuda, w miłość bezinteresowną, w poświęcenie dla przyjaźni, wierzono nawet we wdzięczność! ..

Po objawach wiary poważnej przychodziły wierzenia przyjemne i zbyteczne, takie, które sobie wyrzucano i z których koniecznie trzeba było się spowiadać.

Wierzono w czary, w przeznaczenia, przecucia, kabały, astrologów, upiory. Takie wierzenia ro-

dziły poetów, wizjonerów, sekciarzy, bohaterów i szaleńców!

Teraz głowy mocno uorganizowane, umysły głębokie i pozytywne, w które wiek nasz obfituje, nie chcą wierzyć w nic, lub wierzą tylko w zwyczaj i w zniżkę!!!...

Bogu wiadomo, czy zwyczaj i zniżka spoczywają na lepszych podstawach i czy bardzo często nie zawodzimy się na nich!

IV.

Małżeństwo z hrabią Aleksandrem Potockim.

(1802)

Projekty małżeńskie.—Przybycie hrabiego Potockiego do Białegostoku.—Hrabia Stanisław Potocki.—Hrabia Tyszkiewicz i generał Beningsen.—Wykształcenie hrabiny.—Jej upodobania.—Hrabina Tyszkiewiczowa.—Pani Sobolewska.

Byłam jedynaczką, dziedziczką wielkich fortun, miałam ładne nazwisko, miłą twarz, staranne wychowanie. Byłam, słowem, tem, co zwykło się nazywas dobrą partją. W czternastym roku życia miałam zaślubić księcia Stanisława Poniatowskiego, brata mojej matki, a zbliżał się on już do pięćdziesiątki, był wysoki, chudy i poważny, nie chciałam nawet słyszeć o nim, oparłam się klejnotom i wianu.

Umysł mój i serce, nie wiem sama dobrze wskutek czego, były napełnione jakąś egzaltacją, yodsycaną czytaniem wielkich poetów, czego nie można mi było zabronić. Pragnęłam bohaterów, jak Racine'owscy, i rycerzy, podobnych do Tankreda—

wymagałam namiętności głębokich, sympatyj nagłych, wielkich i wzniosłych czynów!... Czekałam! Ale, gdy spostrzegłam wreszcie, że nie zjawiają się ani Brytanik, ani Gonzales z Kordowy, kiedy nie było nawet prawdopodobieństwa, żebym spotkała Grandissona, zstąpiłam wreszcie z obłoków i ze smutkiem myślałam, że będę musiała wyjść za mąż, jak wszyscy, kierując się rozsądkiem i konwenansami.

Rodzicom moim proponowano rozmaite partye. Jedne nie podobaly im się, gdyż nie były dość świetne; inne mnie się wydawały niemożliwemi, gdyż były niezbyt powabne. W końcu jednak oświadczył się pan Aleksander Potocki, a ponieważ i on był jedną z pierwszych partyj w Polsce, przyjęto go bez wahania; rodzice nasi załatwili wszystko piśmiennie i kiedy Potocki przyjechał do Białegostoku, wiedział z góry, że mu nie odmówią.

Mam jeszcze żywo w pamięci chwilę, kiedy powóz jego wjechał w główny dziedziniec. Był to wieczór kwietniowy; byłam zakatarzona i zabroniono mi wychodzić z pokoju. Trąbka pocztowa zwróciła moją uwagę, pobiegłam do okna i spostrzegłam młodzieńca, wyskakującego z wielkim wdziękiem z karetki podróżnej i wchodzącego szybko na stopnie ganku. Powiedziałam sobie natychmiast, że to może być tylko oczekiwany podróżny. Wzruszenie, jakiego doznawałam, było bardzo zbliżone do strachu... Czegożbym

nie dała, aby do jutra odłożyć to pierwsze widzenie się! Ale nie radzono się mnie i zobaczyłam moją matkę, wchodzącą pod rękę z Potockim.

Wracał on z długiej podróży; było to źródłem rozmowy podczas pierwszej wizyty. Opowiadał nam rzeczy bardzo zajmujące o Londynie, Paryżu... *widział wielkiego Napoleona!*... Ale zauważyłam, że w tej mierze nie był bardzo wymownym; opowiadał bez zapалу o tem, co widział, i wcale nie wydawał się olśnionym taką sławą!

Podano herbatę; obserwowaliśmy się wzajemnie; Potocki widział mnie, kiedy byłam bardzo mała, u mojej matki. Przypominam go sobie; zrobił wtedy na mnie wrażenie pogardliwego paniczyka, co nie lubił rozmawiać z dziewczátkami.

Spotkaliśmy się powtórnie w tym szczęśliwym wieku, kiedy czas, dołożywszy ostatniej ręki do swego dzieła, jakby się zatrzymuje, chcąc niby nacieszyć się niem, ażeby później powetować sobie tę chwilę przestanku. Spoglądaliśmy na siebie ukradkiem i doświadczałyśmy mieszaniny zdziwienia i zadowolenia; więcej nas ucieszył los nasz, niż się spodziewaliśmy. Upłynęło trzy tygodnie, przy końcu których zdawało nam się, iż się znamy doskonale i przystajemy do siebie. Tymczasem nie było najmniejszego podobieństwa w naszych charakterach i upodobaniach.

Hrabia Stanisław Potocki, mój przyszły teść,

przyjechał, aby być obecnym na naszym ślubie. Hrabia był jednym z najznakomitszych mężów w tej epoce, tak płodnej w ludzi dowcipnych i dzielnych. Brat jego, Ignacy, i on sam usilnie pracowali nad konstytucją 3 Maja i obaj stali się ofiarami swego poświęcenia, pokutując w więzieniach, jeden w Rosyi, drugi w Austrii w Spilbergu, za szlachetne uniesienie, które kazało im pracować dla wolności i niezawisłości swego kraju. Bardzo rzadko można spotkać dwóch braci tak bogato uposażonych od natury; z nader miłą powierzchownością łączyli oni wyższy umysł, wykształcenie i pamięć cudowną, a jakkolwiek byli światowcami, umieli wszystko i mieli czas na wszystko.

Hrabia Stanisław posiadał nadto wiadomości artystyczne, jakich nigdy nie znalazłam w tym stopniu u żadnego amatora. Kilka podróży po Włoszech wpłynęło na rozwinięcie w nim tej szlachetnej miłości dla piękna, co jest, że tak powiem, jakby nowym zmysłem. Zawsze uprzejmy i dobry, chętnie słuchał tych, którzy żądali od niego rady. Jego łagodne usposobienie i nadzwyczajna grzeczność stanowiły dziwne przeciwieństwo z żywością i drażliwością, które często pobudzały do śmiechu. Bywały dnie, kiedy za najmniejszą nieprzyjemnością wpadał w gniew jak dziecko i tak samo się uspakajał. Zwłaszcza przy grze wydawało się to śmiesznem, gdy się

widziało, że ten statysta, ten człowiek z wytwornym smakiem, ten wielki pan, który swojemi eleganckimi manierami odznaczył się na wszystkich dworach europejskich, unosił się tak dalece, że rzucał karty i liczmany na swego partnera. A jednak grał on po groszu i nigdy nie kazał sobie płacić.

— Ależ—wołał w swoim zabawnym gniewie—gdybym grał nawet o plagi, to jeszcze chciałbym wygrać.

Uwydatniam te szczegóły, gdyż przyjemnie mi mówić o moim teściu, którego bardzo kochałam i którym się zawsze chlubiłam. Zawdzięczam mu wszystko, co wiem o architekturze; lubił on rozwijać we mnie tę namiętność do sztuki, która od tej pory stała się ozdobą mego życia i którą matka moja pragnęła mię natchnąć.

Powróćmy do mego ślubu, który odbył się w Wilnie, gdzie mieszkał mój ojciec. Ponieważ cierpiał bardzo na pedogre i nie wolno mu było opuszczać pokoju, więc ceremonia odbyła się w jego salonie.

W parę dni potem teść mój, znudzony beczynonością, w jakiej musiał żyć, i pragnący powrócić do zwykłych zajęć, zawiózł nas do Warszawy, gdzie oczekiwała na mnie moja teściowa.

Pożegnałam się z moim ojcem ze strasznem przecuciem, że go już nie zobaczę. Upór, w jakim się zaciął, aby nie pojechać do wód, przyplacił ży-

cien, stał się ponurym i smutnym, opuszczał więc tylko wtedy, gdy jego zdrowie lub interesa zmuszały go pojechać do miasta, gdzie urzędnicy przejmowali go odrazą. Ażeby jej uniknąć, pod pozorem cierpień nie wychodził nigdy, nawet nie oddawał wizyt etykietałnych. Jenerał Beningsen, ówczesny gubernator wileński, obdarzał go swemi względami i często go odwiedzał!

Opuściliśmy Wilno wszyscy razem. Matka moja pragnęła zostać w Białymstoku, gdyż nie chciała mię odrywać od obowiązków, jakie na mnie wkładało moje nowe stanowisko. Doznałam dotkliwego bólu, rozstając się z moją matką. Nigdy jej nie opuszczałam; zajmowała się ona bardzo mojem wykształceniem, lekye odbywały się w jej pokoju—niektórych ona sama mi udzielała. Leniwa do wszystkiego, co się nie odnosiło do wyobraźni lub do sztuki, chętnie bym rysowała całemi dniami. Przeczytawszy *Iliadę* w trzynastym roku życia, nie chciałam już słyszeć o innych książkach. Matka moja niepokoiła się tem, co możeby zachwyciło kogoś mniej rozumem się rządzącego. Była ona poważna i chłodna, umysł jej był trzeźwy i mocny, lubiła naukę i oddawała się z upodobaniem rozmyślaniom.

Nasze charaktery tworzyły uderzające przeciwieństwo.

Mojewłasne doświadczenie przekonało mnie, że

wychowanie może ostatecznie zmodyfikować usposobienie, ale że nie potrafi go zmienić. Matka moja potępiała pustą wesołość, zamiłowanie do świata i stroju.

Tailam przed nią tysiące drobnostek, a jednak nigdy nie umiałam udać, ani ukryć swoich wrażeń i popełniałam wiele błędów przez zbytek szczerości. Wychowywałam się sama jedna, a za całą przyjemność pozwalano mi rozmawiać ze starymi przyjaciółmi, mimo to wesołość moja była niewyczerpana. Dawano mi dobre tylko przykłady, czytywałam same poważne książki, opowiadano w mojej obecności tylko o rzeczach, które mogłam zrozumieć, a jednak odgadywałam prawie zawsze to, co chciano przedemną ukryć. Być może, że gdyby nie ścisły nadzór, nie byłabym odpowiedziała godnie staraniom, jakich mi nie szczędzono; ale to pewna, że najlepiej rozumiałam, czego mnie uczono najmniej.

Kochałam serdecznie moją matkę; czułam, że zawdzięczam jej wiele; że jej wielka cnota i podniosłość charakteru zasługiwały na całą cześć moją; ale uczucie łączyło się z jakąś obawą, kępującą nasze stosunki. Pragnęła ona mego zaufania i często doznawałam potrzeby zwierzyć się jej w zupełności, ale ilekroć moje zdanie lub chęć moja była przeciwna jej zdaniu lub woli, surowo mnie karcila i sprawiała,

że wyznanie, mające mi się wyrwać z serca, wracało tam napowrót.

Doznawałam potrzeby uczucia jeżeli nie serdeczniejszego, to przynajmniej bardziej poufnego. Wśród młodych osób, z którymi zbliżył mnie wypadek, znajdowała się pani Sobolewska. Czułam się do niej pociągnięta nadzwyczajną słodyczą jej oblicza i zachowaniem się.

Była ona o kilka lat starsza odemnie. Ze swojemi przymiotami łączyła tyle skromności i *pokory*, że niepodobna było być zazdrosną, gdy cieszyła się uznaniem wszystkich. Ona jedna wydawała się niemiędziewiona.

Kiedy jej umysł miły i wykształcony przełamywał zapory ścisłej powściągliwości, w jakiej go zamykała, była zachwycająca i widziałam niewiele kobiet tak miłych, kiedy się *ośmieliła* być miłą. Dusza jej nadawała wszystkim jej czynnościom coś wzniosłego i czystego. Czułam się lepszą, kiedy od niej odchodziłam. Lubiałam ją najpierw instynktownie. Kiedy umiałam już rozważać, pokochałam ją, gdyż uważałam ją za doskonałą, i kochać ją będę całe życie, bo to uczucie stało się potrzebą i przyzwyczajeniem mojego serca. Nie tałam przed nią ani myśli, ani czynu; nigdy nie widziałam mnie lepszą niż jestem wistocie. Na sercu jej składałam moje troski, nadzieje, moje radości i smutki i zawsze znajdowałam w niej

przyjaźń pobłażliwą, dyskrecję wypróbowaną, zachowanie się niezmiernie łagodne i niezmiernie miłe.

Matka moja w końcu z przyjemnością patrzyła na naszą zażyłość; tę jedyną osobę *pozwoliła* mi ona kochać

V.

Łańcut i Puławy.

(1802)

Sentymentalna przechadzka przy świetle księżyca. — Przebiegłość niewieścia. — Wizyty poślubne. — Księżna marszałkowa. — Arcybiskup de Laon. — Puławy. — Księżę Adam Kazimierz Czartoryski. — Jego szlachetność. — Park Puławski. — Świątynia Sybilli. — Dom goetycki. — Wspomnienia o Fryderyku II. — Cesarz Józef II. — Księżę Ksantitz.

Przybyliśmy do Warszawy w najpiękniejszej porze roku, a wkrótce potem zamieszkaliśmy w Wilanowie, cudnej wsi, wślawionej wspomnieniami Jana Sobieskiego, który zrobił z niej swoją rezydencję.

Biorąc w posiadanie piękny apartament, który przygotowała dla mnie moja matka, sądziłam, że jestem u szczytu szczęścia. Matka moja z zasady przyzwyczajała mnie do oszczędności; naraz widziałam się bogatą i niezależną.

Lubo nie miałam dla swego męża uczucia namiętnego, zaczęłam go przecie szczerze kochać. Od-

nalazłam tu moją przyjaciółkę, panią Sobolewską; moi przybrani rodzice byli uprzejmi i dobrzy — nie nie brakowało mi do szczęścia... chyba trochę więcej rozumu. Oto dowód. Światło księżyca potrafiło na jakiś czas zmać czyste szczęście, którem się cieszyłam. Powiedziałam już, że miałam umysł romantyczny i że stan spokojny i prosty nie mógł mnie na długo zadowolić.

Ubrdałam sobie, żeby mój mąż zakochał się we mnie na zabój.

Pewnego wieczoru, gdyśmy się przechadzali nad brzegiem Wisły, pod stuletnimi drzewami, co osłaniały swym cieniem mniej niewinne miłości pięknej Maryi Arquien ¹⁾, sprowadziłam rozmowę na miłość. Utrzymywałam, że niema prawdziwego szczęścia na ziemi, prócz we wzajemnem przywiązaniu, którego żywość dorównywałaby trwałości...

Mąż mój, słuchając mnie z pobłażliwością czas jakiś, spojrzał na zegarek, zwrócił moją uwagę, że już jest późno, że komary są nieznosne i że trzeba wracać do domu.

Mówiłam tonem tak różnym od tego, którym on zrobił swoje spostrzeżenie, że wróciwszy do siebie, zalałam się łzami i uważałam się za najnieszczę-

¹⁾ Żona Jana Sobieskiego.

śliwszą kobietę na świecie. Będąc oceniona tak mało, lub w sposób pospolity, nie mogłam zrozumieć, ażeby kochano mnie tak samo w moim pokoju, jak na powietrzu przy świetle księżyca.

Od tej chwili marzyłam tylko o środkach wzbudzenia namiętności, do której przywiązywałam całą swą przyszłość i całe swe szczęście. Po dojrzałym namyśle, sądziłam, że, aby unieszczęśliwić męża, trzeba go najprzód uczynić zazdrosnym, a nie chcąc dopuścić kogoś trzeciego do tego poufnego poemaciku, postanowiłam napisać do siebie samej list miłosny. Aby uczynić moją epistolę naturalniejszą i prawdopodobniejszą, dodałam do tego oświadczenia miłości zarówno nieśmiałej, jak gorącej, dość złośliwe uwagi o otaczających mnie osobach. Tak dobrze zmieniłam pismo, że mój mąż (znalazł ten bilecik pod drzewem pomarańczowem) dał się oszukać i zaniósł go do swojej matki, aby się nim razem z nią zabawić. Zachwycona, że mi się udało zaintrygować moje otoczenie, tryumfowałam, nie spodziewając się, jaki obrót wezmą rzeczy. Jakkolwiek żarty, które list mój zawierał, były bardzo niewinne, dotknęły jednak moją teściową; odczytywała bilet, sprawdzała pismo i w końcu odkryła, że ja byłam autorką tej malej mistyfikacji.

Postanowiono *doświadczyć* mnie i przekonać się, do *jakiego stopnia* posunę kłamstwo, które wydawało

się tem występniejszem, że nie znano jego celu. Mój teść został do mnie z tem przysłany.

Niespokojna i już żałująca tego, co zrobiłam, spostrzegłszy go wchodzącego do mego gabinetu, z miną człowieka, co ma mię *badać*, zupełnie straciłam głowę, a obawiając się przyznać do tego głupstwa, zaparłam się go najniezręczniejsz w świecie.

Mój teść zachował się z nadzwyczajną delikatnością; widząc, że się uparłam, odszedł, zostawiając miejsce memu mężowi, który rozpoczął badanie. Umierałam ze wstydu i broniłam się z rozpaczą. W końcu wy dostał ze mnie tę fatalną tajemnicę. Wylałam potoki łez i padłam na kolana; przebaczył mi, gdyż zrozumiał powód takiego postępowania i widział w moim żarcie tylko dzieciństwo. Nie tak było z moją teściową, która powzięła bardzo niekorzystne przekonanie o moim charakterze i uparła się uważać ten list głupi i śmieszny za upodobanie do intryg. Po raz to pierwszy w życiu popełniłam coś podobnego. O mało co nie rozchorowałam się ze zmartwienia, a ponieważ sądzono, że jestem w odmiennym stanie, robiono wszystko, aby mię uspokoić.

Rozumiałam jednak, że starania, jakimi mnie otoczono, były wyjątkowe i że nic mi nie zwróci zaufania i miłości mojej świekry, która, chociaż obdarzona wielkimi przymiotami, nie miała dość podniosłego

umysłu, aby rozróżnić wszystkie odcienia uczuć, kłębiących się w mojej duszy.

Wkrótce nadzieja zostania matką była szczęśliwym oderwaniem od przymusu, jakiego doświadczałam, a ponieważ pożądanego przedewszystkiem spadkobiercy, stałam się przedmiotem starań podobnych do najżywszej czułości.

Cierpiałam bardzo do połowy mojej słabości, co zmusiło mego męża do opóźnienia rewizyt, jakie powinniśmy byli oddać — musiałam być przedstawioną wszystkim moim starszym krewnym.

Kiedy już mogłam znosić ruch powozu, udaliśmy się do zamku Łańcuckiego, gdzie urządziła swoją rezydencję babka mego męża, księżna Lubomirska. Nazywano ją księżną marszałkową. Trudnoby spotkać osobę łączącą z tylu podniosłemi zaletami tak nadzwyczajne dziwactwa. Nie kochała ona ani swych dzieci, ani kraju, a z nudów ciągle zmieniała miejsce. Obca wszystkiemu, oprócz starych tradycji dworu francuskiego, znała daleko lepiej wiek Ludwika XIV, aniżeli wypadki, które wzburzyły jej ojczyznę. Będąc widzem okropności, jakie splamiły rewolucję 1789 roku, oraz serdeczną przyjaciółką księżnej de Lamballe, potępiała wszelką myśl nową.

Napoleon był dla księżnej nędznikiem, którego sprzyjające zdarzenia wyniosły do godności, na której nie będzie mógł się utrzymać. Unikała rozmowy

o nim, a gdy musiała wymówić wstrętne to imię, nazywała cesarza *małym Buonapartym*. Wierna Burbonom, nosiła żałobę po księciu d'Enghien i obsypywała dobrodziejstwami wszystkich emigrantów, jakich tylko na drodze napotkała.

Gdyśmy przybyli do Łańcuta, spotkaliśmy tam biskupa Laońskiego ¹⁾, mieszkającego w zamku. Od dawano mu wszystkie honory, należne infule.

Kiedy księżna podróżowała do Wiednia, co się zdarzało każdej zimy, odkąd podeszły wiek, łącznie ze zmianą *dynastyi*, nie pozwalał jej już na pobyt w Paryżu, nic nie zmieniało się w Łańcutcie. Co rano rządcą przychodził po rozkazy do monsignora. Był on tam jakby w swoim własnym zamku i doprawdy, lepiej mu tu było, niż we własnym jego kraju; nigdzie nie miałby tak wspaniałego, a zarazem tak wytwornego mieszkania. Marszałkowa, bogata jakby jaka księżna z *Tysiąca i jednej mocy*, lubiła otaczać się zbytkiem angielskim i smakiem francuskim.

Miała ona przytem tę zasługę, że używała godnie olbrzymiego majątku, który przypadek oddał jej w ręce. Jej wspaniałomyślność zasługiwała z tego względu na uwagę, że była zupełnie uzasadnioną i rozciągała się głównie na jej licznych poddanych. Nie było wioski, w którejby nie zbudowała szkoły,

¹⁾ Był to Ludwik de Sabran

szpitala, nie sprowadziła lekarza lub akuszerki. Jej administratorowie mieli obowiązek czuwania nad temi zakładami dobroczynnemi, gdyż chociaż chciała, aby wszystko w niej było wyszukane i wytworne, nie zapominała o biednych.

Atoli rzecz dziwna i niewytlómaczona, że ta sama osoba, której imię błogosławił ubogi i na którą nikt z otaczających ją osób nie mógł się skarżyć, była surowa i niesprawiedliwa względem swoich dzieci, co ją przecie ubóstwiali.

Od pierwszych chwil zauważyłam, że mego męża traktowała tylko jak *wnułkę* i że ta antypatya przechodziła na mnie. Nie zniechęcałam się jednak i wkładając w pracę całą wesołość i talenciki ¹⁾, otrzymałam przebaczenie za to, że jestem żoną Aleksandra.

Po dwutygodniowym pobycie w Łańcucie udaliśmy się do Puław, wspaniałej rezydencji należącej do księcia Adama Czartoryskiego, brata księżnej marszałkowej, a zatem naszego ciotecznego stryja. Nazywano go zawsze księciem generałem; było to u nas w zwyczaju nazywać się od swego tytułu, jak we Francji nazywano się od głównego rodzowego majątku.

Zamek ten stanowił zupełne przeciwieństwo z tym, jaki dopiero co opuściliśmy. Nie było tam elegancji;

¹⁾ Zręcznie dłubałam czepeczki à la Ludwik XV i w ten sposób mogłam oddać parę usług księżnej, zachowującej modę swojej młodości.
(Przypisek autorki).

zyczono sobie tylko ożywić albo raczej zachować dawne tradycje i nic nie zmieniać w obyczajach przodków. Ta sama serdeczność, ta sama prostota w stosunkach. Od pierwszej chwili czuło się jakby u siebie. Pod lekkimi pozorami ukrywał książę głęboką wiedzę. Doskonały orientalista, posiadał nadto wiele języków i *znał gruntownie* wszystkie literatury. Wybaczano mu jego uczoność ze względu na dowcip i szczerą wesołość. Umysł jego był przenikliwy, błyszczący, bystry; z moich znajomych tylko jeden książę de Ligne mógł mu wyrównać pod tym względem, lecz książę generał miał prócz tego wielce szlachetną duszę i nader wzniosłe uczucia. Gdyby się zbyt młodo nie oddał był powabowi świata i płochościom życia, niewielu ludzi mogłoby się z nim równać, a jego wpływ polityczny nie byłby pozostał bez ważnego rezultatu.

Kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, jego podeszły wiek nie ujmował wdzięku i żywości jego umysłowi. Był to staruszek suchy i upudrowany, bardzo czysty i ładnie ubrany. Nie wiem dokładnie, przy jakiej spocobności mianował go Józef II feld-marszałkiem austriackim, gdyż nigdy nie był na wojnie. To jednak pewna, że pod tym cudzoziemskim mundurem i nieprzyjacielskimi barwami biło szlachetne serce, pełne patriotyzmu i poświęcenia. Jego ogromna dobroć ujawniała się w każdej okoliczności i dlatego

był uwielbiany w kraju. Kształcił swoim kosztem dużo ubogiej szlachty, sam zajmował się ich zdolnościami, sprawdzał ich postępy, wysyłał za granicę i t.p. Wiele osób znakomitych rozwijało swe talenta w tak zwanej *szkole Puławskiej*, szkole, której hojność księcia pozwoliła się bardzo rozszerzyć, gdyż miała ona swe rozgałęzienia we Francyi i w Anglii. Zmniejszył on tym sposobem znaczny majątek i pozostawił długi, które spłacili później jego synowie.

Piękna to była arystokracja i śmiem twierdzić, że tylko w Polsce spotykana. Kiedy książę generał zapewnił los jakiej uczciwej rodzinie, szedł potajemnie podziękować jej za okazaną sobie ufność. Jego oszczędności dotyczyły tylko jego stołu. Sam bardzo niewymagający i skazany przez swego lekarza na spożywanie skromnego posiłku w samotności, pierwszy śmiał się z naszych złych obiadów. Ale przy stole było pięćdziesiąt osób co najmniej, a sto żywiło się resztkami. Gdy, skończywszy swój pustelniczy obiad, zaczął kręcić się wśród nas, wszyscy wpadali w zachwyty, gdyż swoim humorem jowialnym rzweselał wszystkich biesiadników. Jeśli przypadkiem spotkał swego marszałka, klepał go po ramieniu i pytał, czy zawsze jest wierny *temu samemu systemowi*.

— Gdyż—mówił—ten hultaj dał sobie słowo podawać zawsze wino jeszcze młode, a wołowinę już starą!...

Wszyscy się śmieli, a nikt nie myślał się skarżyć, wyjawszys jednak kilku starych smakoszków, których egoizm oburzał się na taką obojętność względem tego, co oni nazywali pierwszemi potrzebami życia.

Księżna Izabela Czartoryska nie była osobą bez zasług.

W czasach, o których mówię, zajmowała się bardzo ubogimi. Od świtu drzwi jej były obłożone przez wszystkich biednych i chorych z sąsiednich wsi. Opatrzywszy potrzeby każdego, szła do swego wspaniałego ogrodu i większą część rana spędzała na doglądaniu robót.

Gmachy, wzniesione w parku puławskim, są bardzo ciekawe. Najważniejszy z nich jest poświęcony pamiątkom historycznym i narodowym; jest to naśladowanie świątyni Sybilli, jaką podziwiają w Tivoli. Zręczny architekt, któremu powierzono nadzór nad tą budowlą, pojechał do Włoch, żeby ją wiernie odtworzyć, i wywiązał się doskonale ze swego zadania. Są tu te same proporcje, to samo wykończenie szczegółów, ta sama gruntowność w budowie, a ponieważ niebo włoskie jest jedyną rzeczą, której nie można było skopiować, szklana kopuła z jednej sztuki idealizuje naszą mglistą atmosferę.

Zebrano tam insygnia naszych królów, klejnoty królowych, broń naszych wielkich ludzi, jak

również łupy, zdobyte na nieprzyjaciółach. Nic piękniejszego, nic szlachetniejszego nad ten zbiór pamiątek narodowych, w którym każda rodzina, uświetniona jakimś sławnym czynem, ukazuje swoje tytuły do nieśmiertelności.

Fronton świątyni nosi napis, który zdaje się wyrażać odrazu naszą świetność, nasze wady i nasze nadzieje: *Przeszłość przyszłości*. Oby ten święty legat był uszanowany przez czas!

Drugi gmach, który nazywają *Domem gotyckim*, jest w zupełnie innym rodzaju szczęśliwem połączeniem stylu flamandzkiego i maurytańskiego. Można by powiedzieć, że tę budowlę, zaczynaną wciąż na nowo w różnych epokach, a skończoną ze smakiem nieporównanym, księżna lubiła wzbogacać pamiątkami wszystkich krajów i napełniać osobliwościami ze wszystkich czasów.

Obok warkocza Agnieszki Sorel, zachowanego we wspaniałej skrzynce z kopalnego kryształu, wysadzanej drogiemi kamieniami, znajduje się bezkształtna czara, służąca przy namaszczeniu cesarzów rosyjskich, a zabrana z Moskwy. Pod pięknym portretem Rafaela, malowanym przez niego samego, portret Szekspira, którego spruchniałe drzewo pokryte było bronzami i aksamitem. Tuż obok stół należący do Voltaire'a, którego złoty klucz, bogato rzeźbiony, otwiera szufladę, gdzie stoją nagromadzone niezliczo-

ne skarby. Następnie zbiór listów znakomitych ludzi, którzy uświetnili wiek Ludwika XIV; między innemi piękny list Turenne'a, napisany całkowicie jego ręką na krótko przed śmiercią. Książeczka w starożytnej oprawie, zawierająca rysunki fortyfikacyj, nakreślonych przez marszałka Vauban, który poświęcił ten zbiór księciu Burgundzkiemu. Listy własnoręczne wszystkich królów francuskich, poczynawszy od Franciszka I aż do Napoleona. Książka do nabożeństwa pani de la Vallière, jak również mnóstwo osobliwości tego rodzaju, któreby się chciało oglądać nieraz.

Ściany budynku są pokryte napisami starożytnemi, odnoszącemi się głównie do historii Polski. Księżna zajmowała się rozumowanym katalogiem swych bogactw. Jest to olbrzymia praca, dowodząca, do jakiego stopnia księżna studiowała historię rozmaitych krajów, których pamiątki ceniła. Rewolucya francuska zbogaciła *Dom gotycki*. Był to czas, gdy dawne zabytki sprzedawano na licytacji; hrabina Zamojcka (Zofia), córka księżnej, będąc w Paryżu w tej epoce rozpasania, ponabywała tam rzeczy, które są teraz nieocenione.

Nie mogę wypowiedzieć, ile zajęcia i przyjemności doświadczano, słuchając tej, co spędziwszy życie na zbieraniu tylu przedmiotów rzadkich i drogocennych, pokazywała je sama, łącząc z każdym jakąś ciekawą wiadomość.

Wieczorem, kiedy wróciwszy ze wspaniałego parku i ogrodów, zbierano się u pani domu, lubiłam wywoływać jej liczne wspomnienia. Dużo podróżowała, a chociaż już bardzo wiekowa, przedstawiała osoby historyczne, o których opowiadała, jakby je wczoraj opuściła.

Wprowadzona na dwór Fryderyka II, potrafiła wślizgnąć się pewnego razu do jego gabinetu, w chwili, gdy on go właśnie opuścił.

— Było to — mówiła — schwyceniem człowieka na uczynku.

Przed biurkiem, pokrytem papierami i mapami, stał talerzyk z wiśniami i napisem własnoręcznym króla: *Zostawiam ich ośmnaście*. Tuż obok stary uniform huzarski, rozłożony na kanapce, oczekiwał, ażeby go naprawiono małym kosztem. Przy liście Voltaire'a, jeszcze otwartym, rachunek kupca korzennego, nadwornego dostawcy. Zeszyt z nutami, rzucony niedbale na pulpicie, a niedaleko od tegoż krzesło kurulne, podobne do tego, jakie się znajduje na Kapitolu, z tą różnicą, że tamto jest ze starożytnego drzewa różanego, a to było ze zwyczajnego i nie w niem nie ukrywało jego brzydkiego przeznaczenia. Był to dziwny gabinet królewski. Napoleon daleko lepiej korzystał ze swego prawa zwycięzcy, niż Fryderyk ze swego prawa urodzenia.

Podróżni musieli mieć wiele taktu i wskazówek,

aby wybrnąć z kłopotu między dwoma dworami w Berlinie. Król miał swój, złożony całkowicie z wojskowych i z uczonych. Królowa, z którą się nigdy nie widywał, zbierała modne damy i śmietankę arystokracji. Było się źle widzianym na jednym, jeśli się bywało na drugim. Znaczyło to prawie tyle, co wykluczenie.

Król, mówiąc zwykle o żonie, co się rzadko zdarzało, nie nazywał jej nigdy inaczey, jak „stara głupia;“ naodwrot ona nazywała go „starym hultajem“ lub „starym sknerą.“

Fryderyk miał umysł błyszczący, ale był cierpki i niezbyt przyjemny.

Księżna Czartoryska daleko bardziej lubiła rozmowę o cesarzu Józefie II, którego miała sposobność poznać bliżej. Nieszczęśliwa Marya Antonina, przypuściwszy ją do poufałości, dała jej list do swego brata, zalecając jej oddać go w tajemnicy, gdyż każdy jej krok bacznie śledzono. Księżna dopełniła z pośpiechem tego trudnego zadania. Cesarz Józef II, rozwidłszy się pewnego razu nad prawdopodobnemi i możliwemi widokami powodzenia przygotowującej się rewolucyi, zawołał, jakby natchniony duchem proroczym:

— Tak będzie trwało, aż człowiek, obdarzony potężnym geniuszem, zagarnie władzę i przywróci porządek rzeczy. Co się tyczy mojej siostry, jest już,

jak sędzę, na nieszczęście, za późno — dodał — i bardzo się obawiam, aby nie stała się ofiarą własnych nieostrożności i słabości swego męża.

Józef II był jednym z najdowcipniejszych ludzi swojej epoki. Lubił towarzystwo i chętnie rozmawiał. Jego poufale kółko składało się z wielu miłych kobiet, wśród których księżna Czartoryska zajęła miejsce wydatne.

Nazwaliśmy się dziedzicami jej wspomnień.

Pewnego dnia, przy końcu obiadu, opowiadała nam, że знаła księcia Kaunitza, który między innemi posiadał opinię bardzo niegrzecznego. Mając ładne zęby, czyścił je, bez najmniejszego względu na swych współbiedniaków. Kiedy sprzątnięto ze stołu, jego kamerdyner podawał mu lustro, miednicę i szczotki, a książę rozpoczynał swoją poranną toaletę, jakby się znajdował w swojej gotowni, tymczasem wszyscy oczekiwali, aż skończy, ażeby wstać od stołu. Nie mogłam ukryć mego zdziwienia i zapytałam księżnej, czy i ona czekała.

— Niestety! — odparła — byłam tak zmieszana, że mi przytomność wróciła dopiero, kiedym zeszła ze wschodów; ale później było już inaczej: narzekałam na gorąco i wstawałam przy wetach.

Na tym samym obiedzie znajdował się u księcia Kaunitza pewien szlachcic wenecki, nazwiskiem Grandeni. Książę, będąc w dobrym humorze, zwracał się do niego głośno, nazywając go *wielkim durniem*. Biedny cudzoziemiec nie umiał po francusku, a zdziwiony niepohamowanym śmiechem, poprosił swego sąsiada o wytłómarzenie.

— To dlatego — odparł ten — że jego książęca mość lubi, aby przy stole było wesoło.

Ale weneccyanin, którego ta odpowiedź nie zupełnie zadowoliła, zamyślił się i nie uważał na półmiski, które mu podawano. Książę spostrzegłszy, że to roztargnienie zmieszało służbę, rzekł na głos do swego marszałka:

— Dlaczego mu nie dasz kułaka?

Czyż słuchając tych szczegółów, nie wydaje się, że cofamy się o kilka wieków? Z pewnością książę Metternich, zajmujący dzisiaj stanowisko księcia Kaunitz'a, nie pozwoliłby sobie na tak dziwne maniere, choćby nawet miał do tego chętkę, czego nie ośmielałam się przypuszczać, widząc go zawsze bardzo przyzwoitym i grzecznym. Nie mogę tego powiedzieć o jego żonie.

VI.

Mistyfikacya.

(1803)

Powrót do miasta. — Illuminat. — Zasadzka. — Wieczór w teatrze francuskim w Warszawie. — Tajemniczy wyjazd. — Jaskinia wróżbity. — Narada. — Czarna firanka podnosi się. — Zjawisko. — Uczta. — Rozwiązanie zagadki. — Książę Radziwiłł. — Fochy teściowej. — Narodziny spadkobiercy. — Natolin.

Zima sprowadziła nas do miasta. Rodzice mego męża już tam się urządzili, myśmy zamieszkali w ich pałacu. Wkrótce moja matka zajęła swój pokój, aby być obecną przy mojej chorobie.

Dałam już poznać, że lubiłam cudowność i że moja wyobraźnia lgnęła do rzeczy nadzwyczajnych; wiedząc, że mój teść był wolnomularzem i że uczęszczał do wielkiego wschodu, do loży bardzo znanej, istniejącej wówczas w Warszawie, nabrałam nadzwyczajnej ochoty przeniknięcia tajemnicy, której wartość przeceniałam. Palila mnie ciekawość, gdy mi drżącej z trwogi, opowiadano o ciemnościach i pło-

mieniach, przez jakie trzeba było torować drogę, o oknach, przez które trzeba było rzucać się w przepaść... o gwoździach, po których zmuszano stapać!

Napróżno starałam się wyciągnąć mego teścia na słówko, śmiał mi się w oczy i pozostawał nieprzeniknionym, co mnie doprowadzało do rozpacz. Nagle zauważyłam, że on, tak rozmowny i uśmiechający się zazwyczaj, miał chwile zamyślenia. Często czekano na niego z obiadem; przychodził późno, wydawał się roztargnionym, czasem nawet wcale nie przychodził. Moja teściowa wiedziała, oczywiście, co było przyczyną tych roztargnień, gdyż nie zdawała się niemi niepokoić, ale milczała. Zapytywałam mego męża, zgadzał się, że ojciec jego był zamyślony, ale zapewniał, że nie zna powodu.

Taki stan rzeczy trwał jakiś czas, a ciekawość moja wzrastała. W końcu pewnego razu moja teściowa odważyła się na półzwierzenie i powiedziała mi, że zaczyna się niepokoić, czy nie odkryto tajemnych zebrzań, spowodowanych przybyciem sławnego illuminata, które to zebrania zajmowały wszystkie wolne chwile mego teścia. Nakazała mi jak najsurowsze milczenie i musiałam jej przyrzec, że nie powiem swemu mężowi, pozorując to niepokojem, jakiego mógł się nabawić. Nie będę się tu zastanawiała nad tem, czy zrobiła dobrze, czy źle, ucząc

mnie mieć tajemnice przed moim mężem? Odpowiedź jest drażliwa, ale przyznaję, że wiele kosztowało mnie to zamilczanie przed nim tego, co mnie wyłącznie zajmowało.

Ponieważ mój teść był bardzo słabego zdrowia i tryb jego życia wymagał nadzwyczajnych starań, codziennie prawie o jednej godzinie wyjeżdżał na spacer zamkniętym powozem. Towarzyszyłam mu często, gdyż stan mój wymagał również ruchu, a pogoda nie pozwalała mi chodzić tyle, ile byłam przyzwyczajona.

Pewnego ranka, gdyśmy pojechali dalej niż zwykle, wydał mi się jeszcze bardziej zajęтым i milczącym; nie mogłam się powstrzymać i odważyłam na zapytanie, dokąd chce mnie zawieźć?

Po kilku nic nie znaczących słowach powiedział, jakby mimowolnie.

— Gdybyś nie była tak młoda i gdybym mógł liczyć na twoją zupełną dyskrecję, opowiedziałbym ci zadziwiające rzeczy.

Czegóż trzeba było więcej? Prosiłam, błagałam, przysięgałam nawet i dowiedziałam się, że pewien wtajemniczony w sprawę nauk tajemnych ukrywał się na jednym z przedmieść.

— Widziałem nie jednego — rzekł mi teść — w rozmaitych krajach, po których podróżowałem; ale nigdy nie spotkałem nic podobnego.

Zwierzył mi się wtedy, że było ich wielu,

wszystko ludzie rozumni (znałam ich), którzy, co wieczór słyszeli i widzieli rzeczy!... ale rzeczy tak nie zwykłe, że gdyby mi je opowiedział, nie uwierzyłabym.

Słuchałam z uwagą tak chciwie, że nie zauważyłam, gdy powóz wjechał na dziedziniec naszego pałacu.

Tego dnia nie mogłam już wrócić do przedmiotu, o którym myślałam cały dzień i marzyłam przez całą noc.

Nazajutrz zwierzenia stały się jaśniejsze. Dowiedziałam się, że za pomocą pewnej ofiary pieniężnej¹⁾ mogłam mieć nadzieję, że będę dopuszczona za próg świątyni, jeśli nie wtajemniczona we wszystkie cuda, jakie mają prawo poznawać sami tylko adepci. Było to daleko więcej niż ośmielałam się żądać; aż dotąd moje skromne pragnienia ograniczały się na słuchaniu o cudach.

Wielce uradowana, pobiegłam po pieniądze, które zaoszczędziłam, a za powrotem otrzymałam pół obietnicy, gdyż należało przedewszystkiem przemówić do serca illuminata za pomocą ponęty miłosierdzia, jakie mógł spełnić darem, i w ten sposób nieznacznie zniewolić go do przyjęcia mojej osoby.

Te trudne układy zajęły jeszcze kilka dni, które

¹⁾ Suma była przeznaczona na wsparcie biednych; illuminat przechwalał się filantropią.

wydały mi się wiekiem; ale w końcu mój teść oznajmił mi, że ponieważ wziął mnie na swoją odpowiedzialność, przyjęto moją ofiarę, będę powołana do posłyszenia tego, co słyszało niewiele uszu i ujrzenia tego, co widziało niewiele oczu. Radość moja wybuchła z takim uniesieniem, że się tem przestraszył. A teraz, kiedy przypominam sobie wszystkie wzruszenia, na jakie jeszcze mnie wystawiono, dziwię się, że zdrowie moje na tem nie ucierpiało.

Gdy już naznaczono dzień prób, postanowiliśmy, że pójdę, jak zazwyczaj, do teatru francuskiego i że o umówionej godzinie mój teść da mi znak; mam wówczas się poskarżyć na gorąco, a on zaofiaruje się mnie odprowadzić. Poradził mi tylko, abym zaopatrzyła się w woal, ze względu, że kobieta ze znaczeniem nie powinna nigdy z łatwością dać się poznać, kiedy wychodzi dokądkolwiek w tajemnicy.

W chwili, gdyśmy wsiadali do powozu, zauważyłam, że latarnie nie były zapalone, a służba nie miała liberyi.

— Jest to w zwyczaju w takich razach — rzekł mój teść — sądzę, że to cię nie przestrasza.

Byłam pewna, że nic nie potrafi zachwiać mojej odwagi, czułam jednak, że moje nerwy są bardzo wzburzone.

Powóz jechał z nadzwyczajną szybkością. Przejechaliśmy w taki sposób znaczną przestrzeń. Ponie-

waż robiło się bardzo zimno, szyby były podniesione i nie mogłam zobaczyć, przez jakie przejeżdżaliśmy ulice. Powiedziano woźnicy, aby pojechał *tam, gdzie jeździł co wieczór*. Nagle przekonałam się, że jedziemy nie po bruku.

— Więc to za miastem? — spytałam.

— Tak, rzeczywiście, gdyż ten człowiek musi się ukrywać; gdyby go odkryto, byłby zaaresztowany. A więc — dodał mój teść — nie zapominaj nigdy, że najmniejsza nieostrożność niechybnieby nas zgubiła.

— Ach! — zawołałam — jakie nierozsądne są rzady, prześladować tak naukę!

Wkrótce powóz znów wjechał na bruk; weszliśmy w dziedziniec, zatrzymaliśmy się, a lokaj w milczeniu otworzył nam drzwiczki. Mój teść wysiadł szybko i poprosił mię, abym zaczekała, gdyż mi poświeca. Ciemność i milczenie były zupełne. Czuję się już mniej dzielną. Jednak żywa ciekawość podtrzymywała jeszcze moją odwagę. Mój teść powrócił w towarzystwie człowieczka w czarnym surducie: miał on ślepą latarkę. Schody były wąskie i strome i wchodziłam na nie z trudnością.

— Oto, pomyślałam sobie, tak mieszkają ludzie, poświęcający się naukom tajemnym.

Gdyśmy weszli do korytarzyka zimnego i ciemnego, nasz przewodnik, który był służącym illumi-

nata, oddalił się, nie wymówiwszy słowa i zostawił nas w zupełnej ciemności.

— Teraz — rzekł mój teść — dam znak umówiony...—Zastukał trzykrotnie w sposób szczególny. Po chwili oczekiwania usłyszeliśmy grobowy głos, który wymówił tylko trzy słowa: *wejdz, mój bracie!*

Nagle zaczęłam drzeć jak liść i osunęłam się w ramiona mego teścia.

Pokój, w którym się znaleźliśmy, był obszerny i ciemny. Lampa, pokryta umbrellką, słabo go oświećlała; lampa ta umieszczona była na wielkim stole, który stał na środku sali i pokryty był czarnem suknem. Starzec, siedzący przy tem niby biurku, miał na sobie dziwaczne odzienie, które przypominało raczej wschód niż Europę, i uważnie czytał. Pograżony w czytaniu, nawet nie podniósł oczu, gdyśmy się zbliżyli. Miał on ogromne okulary; białe włosy spadały mu na ramiona, a jego zgięta i, że tak powiem, cierpiąca postać, mówiły o długich pracach. Drewniany kałamarz, trupia główka i stos ogromnych toliatów, leżących na stole, oto i wszystko.

W sali nie było wcale sprzętów, ściany były gołe; spostrzegłam tylko w kącie pokoju szeroką firankę z czarnego sukna, która zasłaniała całą ścianę w głębi i zdawała się coś ukrywać. Obok wznosiło się wklęsłe lustro olbrzymiej wielkości w ramach z czarnego drzewa.

— To zapewne, pomyślałam, jest to zwierciadło, w którym można zobaczyć *przyszłość*, a firanka zakrywa prawdopodobnie cudowne zjawiska, gdyż wszystko w moich oczach przybierało pozór nadprzyrodzony.

Weszliśmy bez szmeru.

— Mistrzu! — rzekł w końcu mój teść, a starzec podniósł głowę.—Oto młoda kobieta, o której ci oznajmiłem; serce jej, *jak wiesz*, jest pełne litości, a umysł spragniony światła, ale ponieważ ona jeszcze nie umie ani po grecku, ani po łacinie, zechciej mówić do niej po francusku.

Illuminat zwrócił się w moją stronę.

— Czego pragniesz, moja siostrze? — rzekł do mnie bardzo poważnym tonem.

Ja się w tej chwili pragnęłam znaleźć w moim salonie, z zapalonemi kandelabrami i wśród miłego towarzystwa, które mnie tam oczekiwało, alem nie chciała dać poznać, że się boję i rzuciłam tylko błagalne spojrzenie na mego teścia, ażeby mi dopomógł do wypowiedzenia tego, czego powinna byłam pragnąć.

— Ona wie, mistrzu, że rządysz przyrodą, że twoja głęboka nauka pozwala ci wszystko wiedzieć, i że duchy są na twoje rozkazy. Chciałaby zatem zobaczyć jeden z tych cudów, które tobie są właściwemi.

Starzec pochylił głowę i wydawał się pochło-

niętym swemi myślami. Głębokie milczenie zapano-
wało ponownie. Znalazłszy się w pobliżu foliałów,
machinalnie wyciągnęłam rękę, chcąc otworzyć jedną
z tych ksiąg.

— Nie dotykaj się tego!—zawołał człowieczek—
spozstrzegłabyś tam obrazy, któreby zmroziły cię stra-
chem; niepowołani nie mogą bez niebezpieczeństwa
zapoznawać się z tem, co zawierają moje książki.

To zdanie trochę za długie pozwoliło mi roz-
poznać dźwięk głosu, który nie był mi obcym, i po-
chyliłam się do mego teścia, ażeby mu powiedzieć
szeptem:

— To z pewnością głos p. R.

— To prawda i mnie także za pierwszym ra-
zem to uderzyło — odparł z prostotą, która nie do-
puszczała żadnych podejrzeń.

— Co mówi siostra?—zapytał starzec.

— Podziwia poważny i majestatyczny dźwięk
twojego głosu—odparł mój teść.

Illuminat skłonił się z poważną pokorą i jak
człowiek, którego wzbudzony podziw zmusza do speł-
niania obietnicy, danej za pośpiesznie, rzekł:

— Ponieważ brat tego *wymaga* i odpowia-
da za ciebie, moja siostro, powiedz śmiało: co ży-
czysz sobie widzieć? bestye apokaliptyczne, umar-
łych lub nieobecnych?

Czułam, że słabnę na samą myśl o bestyach
i umarłych, i rzekłam: Nieobecnych.

— Uprzedzam cię — powiedział iluminat — że
moja władza nie rozciąga się na morza i że działa
tylko na przestrzeni dwunastu tysięcy sześćuset czter-
dziestu mil. Teraz powiedz, kogo chcesz ujrzyć.

Ponieważ moje uczucia skupiały się na jednym
tylko punkcie kuli ziemskiej, darowałam mu dwana-
ście tysięcy sześćset trzydzieści mil i zapragnęłam
zobaczyć moją matkę, mego męża i moją przyjaciół-
kę (panią Sobolewską).

— To dobrze — odparł — ale ponieważ nie je-
steś jeszcze adeptką, nie możesz być obecną przy ce-
remonii przygotowania. Odejdź zatem na chwilę do
sąsiedniego pokoju.

Musiałam, rada nie rada, wrócić do tego cie-
mnego i zimnego korytarzyka, przez który przeszli-
śmy wchodząc. Była to ostatnia próba i nie naj-
łatwiejsza. Być tak samą, po wstrząśnieniach, jakich
doznałam, zdawało mi się przewyższać moje siły.
Oparta o drzwi, zaczęłam sobie wyrzucać moją cie-
kawość, która wydała mi się występna; gorąco pro-
sząc mego Anioła Stróża, aby czuwał nademną, uro-
czyście mu przyrzekłam, że już nigdy na nic podo-
bnego się nie skuszę.

Po kilku minutach mój teść otworzył drzwi i ka-
zał mi wejść.

— Siostró, będziesz wysłuchana, ale uprzedzam cię, że jeśli postąpisz krok, wymówisz jedno słowo, urok pierzchnie natychmiast i wszystko zniknie. Teraz patrz uważnie, zobaczysz tych, co są drogiemi dla ciebie, gdzie są obecnie.

Wymówiwszy te słowa z imponującą powagą, starzec trzy razy klasnął w dłonie. Czarna firanka, jaką zauważyłam wchodząc, rozsunała się jakby sama i spostrzegłam przez lekką mgłę łożę, opuszczoną przezemnie przed chwilą, i trzy wyzwane osoby, zdające się słuchać uważnie, jak gdyby sztuka, której tylko akt pierwszy widziałam, jeszcze się nie skończyła. Rysy, ubiór, ruchy, wszystko było tak doskonale podobnem, że nie mogłam wstrzymać okrzyku. Firanka zasunęła się i usłyszałam śmiechy.

— Ach! tym razem okazałaś się tak odważną — rzekł mój teść — że niepodobna odmówić ci zaznajomienia ze wszystkimi czarami, jakie odbywają się w tym domu. Chodź.

I prowadząc mnie do tajemniczej firanki, odsunął ją. I zobaczyłam nie przez mgłę, ale zupełnie wyraźnie, stół wytwornie nakryty, oświetlony stu świecami, a zebrani przy nim nasi przyjaciele wesoło biesiadowali. Oniemiałam ze zdziwienia.

Podniesiono się, otoczono mnie, wypytywano, co myślę o swoim upodobaniu do cudowności.

Cudowność... nie mogłam mówić, nie wiedzia-

łam, co odpowiedzieć. Niepodobieństwem mi było oddzielić prawdy od zmyślenia.

— Ale gdzie jesteśmy? — zapytałam w końcu.

— W domu pana M. M., tu nieobecnego. Wieziono cię z tysiącznemi zakrętami, byłaś nawet za miastem.

— A to tajemnicze wejście?

— Schodki kuchenne, któremi nigdy nie szłaś.

— A iluminat.

— Jest to p. R. i o mało co go nie poznałaś po brzmieniu jego głosu.

— A mgła?

— Z gazy.

— A łoża?

— Dekoracya z malowanego papieru.

— A księgi, których zabroniono mi się dotykać?

— „Podróż z Neapolu do Sycylii.”

— A uczta?

— Za twoje zaoszczędzone sto dukatów, przeznaczzone na uczynki miłosierne iluminata.

— Ależ w końcu zamyślenie mego teścia?

— Mistyfikacya, przygotowana oddawna.

Najrzeczniejszym, najbardziej zadziwiającem w tym spisku było to, że tak dalece obrachowano stopień mojej odwagi i moich uczuć, i że naprzód

odgadnięto, iż nie zakłócę spokoju umarłych i że chcę przyzwać te same osoby, o których myślano.

Moja matka i mój mąż nie byli przypuszczeni do tajemnicy przygotowań; dopiero przy wyjściu z przedstawienia moja teściowa uprzedziła ich o miejscu, dokąd należało się udać, i o tem, co się stanie. Obawiano się słusznie, żeby ich troskliwość nie zdradziła tajemnicy, od której zależało uprzyjemnienie wieczoru, którego celem był pewien pożytek. Przekonałam się wtedy, jak łatwo jest wprowadzić wyobraźnię na fałszywe tory i nadużyć łatwowierności, bo niewątpliwie, gdybym była odjechała natychmiast po spuszczeniu firanki i gdyby mnie odprowadzono do domu tą samą drogą i z temi samemi zakrętami, trudno byłoby następnie naprowadzić mnie na słuszną ocenę rzeczy tego rodzaju. Utwierdziłabym się w przekonaniu, że iluminaci znajdują się w poufalitych stosunkach z duchami i że nic z nadprzyrodzonej dziedziny nie jest dla nich niemożliwem.

Nie dotknęło mnie to wcale, że byłam wywiedziona w pole, owszem, nikt odemnie lepiej się nie zabawił. Ale wieczór ten pociągnął za sobą nudy niezmiernie. W ciągu dwóch tygodni co najmniej musiałam opowiadać szczegóły wszystkiego, co zaszło tym, którzy tam się nie znajdowali; jednych objaśniać, innych zapewniać, mówić to samo dziesięć razy na dzień, poruszać te same nazwiska. Myślałam,

że nie wytrzymam i wreszcie miałam chęć odpowiedzieć, jak jeden z domowników księcia Karola Radziwiłła¹⁾, wezwany przez tego sławnego bajora na świadka, że książę brał udział w jakiejś sławnej bitwie, powiedział: „Nie mogę zareczyć za ten fakt, wasza książęca mość, gdyż na początku potrzeby zostałem zabity.”

Ten sam Radziwiłł, będąc w Paryżu na początku panowania Ludwika XV, narobił wielkiej wrzawy swoją rozrzutnością. Nigdy nie kupował inaczej, jak pół lub ćwierć sklepu, mówiąc, że wybieranie zajmuje za wiele czasu i że krótszą jest rzeczą wyrzucić później przez okna przedmioty niepotrzebne. Wdzięczni paryżanie nazwali jego imieniem pasaż, jeszcze do dziś istniejący.

Reszta zimy upłynęła spokojnie, nie sprowadziwszy wypadków ważnych, chyba dla mnie, dla której nowy jeszcze sposób życia składał się z tyśiącznych drobnych zdarzeń, pozostających w pamięci z powodu wrażenia, jakie na nas wywarły.

Zamieszkując ciągle pałac naszych rodziców, mieliśmy osobne gospodarstwo. Wydawało mi się, że mi wolno zapraszać ludzi do siebie i zbierać od

¹⁾ Podczas tej bitwy, książę widząc, że zbraknie amunicji, zaczął zbierać rękami kule, co się toczyły koło niego i nabić nimi armaty, by odesłać jeszcze gorące nieprzyjacieliowi.

(Przypisek autorki.)

czasu do czasu osoby, które najwięcej mi się podobały. Uważaliśmy, aby wybierać dnie, kiedy moja teściowa nie była sama i sądziliśmy, że nie będzie się sprzeciwiała naszym małym zebraniom, gdzie najstarszy współbiesiadnik nie miał jeszcze trzydziestu lat. Niestety! nie tak się działo. Uczuła się dotkniętą i uważała za niegrzeczne to wyłączenie, które było tylko chęcią uniknięcia przymusu i użycia przyjemności naszego wieku. Gdyby powiedziała otwarcie, chętnie poświęcilibyśmy te krótkie chwile płochy we-
szości; ale ona martwiła się w *milczeniu*, i od tej pory zapanował między nami przymus, który nigdy już nie zniknął.

17 marca, po dwudziestu ośmiu godzinach najstraszniejszych cierpień, wydałam na świat syna (Augusta), którego urodzenie, tak gorąco pożądane, zaspokoilo wszystkie moje pragnienia.

Miałam potem dwoje dzieci (Natalię i Maurycego), ale już nigdy nie doznałam wrażenia, jakie uczułam przy pierwszym krzyku tego pierwszego dziecka. Radość moja była szalem, który na kilka minut pozwolił mi zapomnieć o mojem osłabieniu; spróbowałam podnieść się, aby zobaczyć mego syna. Ale upadłam wyczerpana nadmiernymi cierpieniami, jakich doznałam. Młoda i silna, szybko przychodziłam do siebie i dziewiątego dnia, siedząc na szeslongu, przyjmowałam zwykłe powinszowania.

Šczęście moje zdawało się utwierdzać narodzeniem spadkobiercy. Niestety! razem z powrotem do zdrowia rozpoczęły się drobne kłopoty i wreszcie spostrzegliśmy, że chociaż jest nam bardzo dobrze u naszych rodziców, jednak lepiej będzie u siebie. W tym to czasie zamieszkaliśmy w Natolinie, a ja zaczęłam się zajmować tą śliczną wioską.

Oddałam się temu z zapalem. Rysowałam wszystkie plany, interesowałam się wszelkimi szczegółami. Nie znając tych krajów, marzyłam o Włoszech, o Grecyi. Mój teść był moim przewodnikiem i wydawał się dumnym z tego, że zrobił ze mnie *artystkę*. Od tej chwili nie miałam innych fantazji, moja miłość własna, jak również moje wymagania skupiły się około Natolina, około tego małego arcydzieła, które wydawało mi się godnem *nieśmiertelności*.

Kiedy brakowało pieniędzy, sprzedawałam moje brylanty, aby kupić marmury i brzozy. Mój mąż zdawał się podzielać moje zamiłowanie i jakkolwiek niezbyt zdolny do zapalu, patrzył z dumą na moje dzieło.

Šczęśliwe czasy, gdy jedyną przyczyną moich bezsenności było przepełnienie wyobraźni! Ileż to razy śniłam z otwartemi oczyma! Z jakąż niecierpliwością oczekiwałam dnia, aby rzucić na papier myśli, które zrodził spokój nocy!

VII.

Cesarz Aleksander w Wilanowie.

(1805)

Niespodziewany gość. — Księżę Adam Czartoryski. — Obiad. — Rozmowa Aleksandra. — Księga pamiętnikowa.

Pewnego wieczoru, gdyśmy najspokojniej pili herbatę przy kominku, podano memu mężowi list, którego treść zdawała się go zadziwiać, a kiedy należałam, aby mi powiedział od kogo, rzekł mi, że bym odgadła, kto był tym cudzoziemcem, którego nam na jutro obiecano. Naprawdę się męczyłam; nie odgadłam.

Czyż mogłam sobie wyobrazić, że to trzeba się było przygotować na przyjęcie Cesarza Aleksandra i Jego świty?

Ludzie nasi dokazali cudu. Ponieważ bliskość wielkiego miasta dopomagała do urządzenia takiej niespodzianki, udało im się ponad nasze oczekiwania. O drugiej wszystko było gotowe, zaprosiłam mego

wuja, księcia Józefa Poniatowskiego, jak również siostrę jego, hrabinę Maryę Teresę Tyszkiewiczową, aby mi pomogli robić honory na tym królewskim obiedzie, mnie, biednej nowicyuszce, występującej po raz pierwszy wobec samowładcy.

Cesarz przyjechał o czwartej. Był on młody i piękny; ale jakkolwiek miał ujmującą postawę, jego maniery wydawały mi się bardziej eleganckimi niż wytwornemi. Ruchom jego brakowało tej łatwości, jaką daje prawie zawsze wyjątkowe stanowisko i przyzwyczajenie do rozkazywania. Wydawał się zakłopotanym; wszystko, aż do nadmiernie obciśniętego munduru, nadawało mu raczej wygląd zachwycającego oficera, niż młodego monarchy.

Towarzyszył Cesarzowi księżę Adam Czartoryski, syn księcia generała. Mówiono, że przyjaciel ten, którego jedyną namiętnością była miłość ojczyzny, natchnął samowładcę do postanowienia przywrócenia Polski. To jest pewnem, że Prusacy, naówczas panowie Warszawy, nie pozwolili przejeżdżać Cesarzowi przez miasto, obawiając się entuzjazmu, jaki jego obecność mogłaby wywołać w chwili, kiedy zapewniano głośno, że ma się ogłosić królem Polski.

To właśnie sprowadziło nam zaszczyt odwiedzin. Generał pruski Kalkreuth, komendant warszaw-

ski, otrzymał rozkaz udania się naprzeciwko Cesarza i odprowadzenia go do granicy.

Ta honorowa ostrożność nikogo nie mamili i była powodem śmiechu dla wszystkich.

Nie wiem już, jakim sposobem mąż mój odebrał rozkazy Jego Cesarskiej Mości co do osób, mających zasiadać do stołu, bądź co bądź, księżę Czartoryski i generał Kalkreuth dostąpili tego zaszczytu; reszta orszaku jadła obiad w oddzielnym salonie.

Ponieważ księżę Poniatowski wymówił się, ciotka moja przyszła sama. Wszystkich więc biesiadników było sześć cioro

Na pierwszym miejscu położono oddzielne nakrycie. Cesarz, jak się zdawało, był z tego niezadowolonym i przysunął swój fotel do mego krzesła. Jadł mało, a dużo mówił. Rozmowa jego była prosta i ostrożna; nie można było osądzić, czy ma dużo wiadomości, ale niepodobna było mu nie przyznać wyższości poglądów i ogromnego umiarkowania. Nie było zupełnie mowy o wypadkach, jakie go tu sprowadziły, a niewiele słów, wypowiedzianych w tym względzie, odznaczało się oględnością. Generałowie, tworzący jego świtę, nie byli tak skromni; pytali nas, co mamy do załatwienia w Paryżu, wyobrażając sobie, że ich tryumfy i zwycięstwa oprą się tam dopiero. W miesiąc po wyjeździe naszego znakomi-

tego gościa dowiedzieliśmy się, że został pobity pod Austerlitz i nie oparł się aż w Petersburgu.

Powracam do obiadu, który przeciągnął się bardzo długo. Aleksander nie dosłyszał, mówił przesadnie pocichu; nie ośmielano się prosić go, aby powtórzył to, co powiedział i przez uszanowanie odpowiadano mu najczęściej na chybi trafi.

Przeszedłszy do salonu, bawił jeszcze dwie dobre godziny, wciąż stojąc. Mówiono, że tak był ściśnięty ubraniem, iż każda inna pozycja była dla niego niedogodna; wreszcie około północy oddalił się, wybierając najskromniejszy z dwóch apartamentów, które dla niego były przygotowane.

Nazajutrz trzeba było wstać bardzo wcześnie, aby być obecną przy śniadaniu Jego Cesarskiej Mości i pożegnać go. Zdrowie moje nie nadawało się do tych wszystkich trudów. Na wsiadaniu cesarz zapytał mnie bardzo łaskawie, czy nie miałby możliwości okazania nam wdzięczności.

Miałam wielką chęć, widząc go w tak dobrem usposobieniu, powiedzieć tylko jedno słowo... Ale spojrzenie mego męża, który mnie odgadł, wstrzymało uniesienie i zmusiło mnie do powrócenia w granice przepisane zwyczajem etykiety, która nie zgadza się z żadną *improwizacją*, a której najważniejszą regułą jest nie żądać od panujących niczego ponad to, czego z góry postanowili nie odmówić.

Trzeba więc było poprzestać na prośbie, żeby raczył wpisać swe imię w księdze pamiątkowej, gdzie wszyscy cudzoziemcy zostawili tę pamiątkę; wpisał się chętnie na pierwszej stronie. Byliśmy dalecy od myśli, żeby imię Napoleona mogło się wkrótce znaleźć obok imienia cesarza rosyjskiego.

CZĘŚĆ DRUGĄ.

FRANCUZI W WARSZAWIE.

(1806 — 1807)

I.

Przednia straż.

Koniec wojny pruskiej.—Wejście oddziału francuzów do Warszawy.—Pan de F...t.—Murat.—Bal, wydany przez księcia Poniatowskiego.—Kita Murat'a.

Pierwszy rok naszego pobytu na wsi upłynął niezwykle szybko, gdyż byliśmy zajęci niezliczonemi pracami i projektami. Wróciliśmy dopiero do Warszawy w końcu października.

Ponieważ dzienniki cudzoziemskie nie były, jak dzisiaj, jedną z pierwszych potrzeb życia, i bardzo niewiele ludzi trzymało je, więc w dnie pocztowe drzwi uprzywilejowanych były obleżone przez wszystkich,

ciekawych dowiedzieć się, co się stanie z monarchią pruską.

Wszyscy wciąż wierzyli w gwiazdę Napoleona. Pewnem było, że z tej wojny, jak ze wszystkich, wróci zwycięzcą; ale nikt nie spodziewał się, że z taką szybkością zwycięży armię jeszcze dumną ze swojej karności i dosyć świeżych powodzeń. Odtąd upadek Prus i przywrócenie Polski wydało się najrozsądniejszym rzeczą prawdopodobną.

Publiczność tak mało się krępowala w wypowiedaniu swych uczuć i swych nadziei, że Prusacy, znienawidzeni panowie kraju, którego nie zdobyli, ale który przypadł im w podziale (1795 r.), nie mogli się omylić co do sympatyj, jakie wzbudziły wypadki, a jednak, trzeba im to przyznać, że nigdy się z tem nie zdradzali; władze pruskie poprzestały na utrudnianiu, o ile można, wiadomości. Dzienniki konfiskowano, listy palono, ukrywano starannie przed nami tryumfalny pochód armii francuskiej; ale nie można było długo tłumić chlubnych odgłosów zwycięstwa pod Jeną i wejścia Napoleona do Berlina.

Od tej chwili zapaliły się głowy wszystkich tak, że nie ukrywano już swojej radości. Restauracye były wypełnione wrzącą młodzieżą, która przy brzęku szklanek śpiewała pieśni patryotyczne i wielogłośnemi okrzykami wzywała *oswobodzicieli i braci*.

General Kalkreuth, komendant miasta, dowie-

dziawszy się tajemnie, że cesarz opuścił Berlin i zmierzła do Poznania, wysłał natychmiast gońca, aby otrzymać rozkazy, gdyż zapomniany w popłochu, znajdował się w wielkim kłopotcie. Myśląc ciągle o cofnięciu się, potrafił okryć głęboką tajemnicą ruchy wielkiej armii tak, że prawie w jednym dniu dowiedzieliśmy się o wyjściu z Berlina i wejściu Napoleona do Poznania.

Był to znak do cofnięcia się dla władz pruskich, które opuściły Warszawę, przeprowadzane krzykami uliczników, ażeby się połączyć z Rosyanami, obozującymi po drugiej stronie Wisły. Król pruski napisał do księcia Poniatowskiego, naczynając go gubernatorem miasta i naczelnikiem gwardyi narodowej, która nie istniała. Prosił go, aby czuwał nad bezpieczeństwem mieszkańców, zapewniając, że nie mógłby oddać sprawy tak ważnej w godniejsze ręce; ale ponieważ prusacy nie zostawili ani jednej strzelby, książę był zmuszony uzbroić jakkolwiek setkę ludzi, którzy zaopatrzeni w piki i okute kije, zajęli miejsce na odwachu. Taki stan rzeczy trwał bardzo krótko.

21 listopada rano dano znać, że wszedł oddział Francuzów.

Jakże opisać zapał, z jakim go przyjęto? Aby dobrze zrozumieć takie wzruszenia, trzeba, jak my, stracić wszystko i wierzyć w możliwość spodziewania się wszystkiego. Ta garstka dzielnych, co dotknęła

naszej ziemi, zdawała nam się gwarancją niezależności, jakiej oczekiwaliśmy od wielkiego człowieka, któremu nic się nie oparło.

Upojenie doszło szczytu, całe miasto oświeciło się jakby cudem. Tego dnia z pewnością władze nie potrzebowały się zajmować umieszczeniem przybyśców — kłócono się o nich, wrywano ich sobie, każdy ubiegał się, żeby ich najlepiej przyjąć. Ci z mieszczan, co nie umiając po francusku, nie mogli się porozumieć, używali języka niemego, właściwego wszystkim krajom, i znakami uciechy, uściskami rąk, wybuchami radości dawali do zrozumienia swoim gościom, że ofiarowują im z całego serca wszystko, co było w ich domu, *łącznie z piwnicą*.

Stawiano stoły nawet po ulicach i na placach, wzniesiono nie jeden toast za przyszłą niezależność, za dzielną armię, za wielkiego Napoleona!... Ściskano się, bratano, trącano się trochę za wiele, gdyż żołnierze w końcu puścili się na wybryki, które na chwilę ostudziły zapał, z jakim byli przyjęci.

Nazajutrz księżę Murat, wówczas wielki książę Bergu, wjechał konno. Ujrzano moc kit, haftowanych mundurów, złotych i srebrnych galonów etc. Mieszkanie było dla niego przygotowane w pałacu Raczyńskich; ale ponieważ nie było mu tam dobrze z powodu dymiącego kominka, przeniósł się do nas.

Byłam bardzo ciekawa zobaczyć francuza; wczor-

rajsi nie rachowali się, widziano ich w masie. Gdy nadeszła godzina kolacyi, mój teść, hrabia Stanisław Potocki, posłał z zapytaniem, czy adjutanci Jego Wysockości nie przyjdą. Doznałam wielkiego zawodu, gdy ci panowie kazali podziękować, gdyż nigdy nie jadali kolacyi. Ale zaledwie siedliśmy do stołu, gdy w sąsiedniej sali dał się słyszeć brzęk szabli i ostróg i ujrzelśmy wchodzącego oficera od huzarów, który zbliżył się z pośpiechem, jaki się okazuje tylko dobrym znajomym.

— Ach! to Karol! — zawołał mój mąż, który znał go z Paryża, i uściskawszy go, przedstawił nam.

Imię to nie było mi obcem, słyszałam o panu de Flahaut jako o człowieku bardzo ujmującym, który wzbudził wielką miłość w jednej z najdystyngowańszych współrodaczek naszych.

Kobiety rozsądne nie zbyt lubią ludzi mających szczęście do kobiet, lub przynajmniej nie dowierzają im. Mniej rozsądne, ale liczące na swoje zasady, znajdują przeciwnie szczególną przyjemność w wyzywaniu takich mężczyzn. Przyznam bez wykrętów, że należałam do ich liczby; było mi jednak bardzo nieprzyjemnie, gdy mię zaskoczono nagle i nie mogłam zająć się swoim strojem. Spuściłam głowę, postanowiwszy nie dać się zobaczyć i wcale nie patrzeć; ale dźwięk głosu, jakiego nigdy nie słyszałam, za-

chwał to postanowienie i podniosłam oczy, aby zobaczyć, jaką twarz może mieć człowiek, mówiący tak dźwięcznie. Zdaje mi się, że to jedyna osoba, którą słyszałam zanim ją ujrzałam.

Karol miał dwadzieścia jeden do dwudziestu dwóch lat; nie będąc klasycznie pięknym, posiadał twarz zachwycającą, spojrzenie jego było przysłonięte melancholią, zdradzającą ukryty smutek. Jego maniery były wytworne, ruchy naturalne, rozmowa dowcipna, poglądy niezależne; żaden człowiek nie uosabiał lepiej wyobrażenia, jakieśmy sobie wyrobili o bohaterze romansu i dzielnym rycerzu.

To też jego matka, pani de Souza ¹⁾, posługiwała się nim jako typem, który przedstawiała pod rozmaitemi imionami w swoich mdłych romansach.

Spędził z nami część wieczoru. Zarzucono go pytaniami o tę zadziwiającą wojnie, ukończonej w kilka dni.

Odpowiedzi jego były w najlepszym smaku, bez chętności; posiadał umiejętność rozmawiania jak prawdziwy Francuz, nigdy nie wyczerpując przedmiotu, przechodząc z jednego na drugi bez poryw-

¹⁾ Adela Marya Emilia margrabina de Souza Botelho (z pierwszego małżeństwa Flahaut), ur. 1760 r. w Normandii, zm. 1836. Była autorką licznych romansów, z których najlepsze są: „Sénauges ou lettres de lord Sydenham” i „Eugène de Rattelin”.

czości, ale i bez opieszałości. Pod koniec wieczoru rozmowa pociągnęła mnie; spostrzegłam, iż słuchał mnie z przyjemnością i przyznaje, że mi to pochwaliło.

W dwa dni po swoim przybyciu książę Murat, oznajmiwszy mi swoją wizytę, przyszedł wieczorem z licznym orszakem. Był to mężczyzna wysoki, o twarzy, dajmy na to, pięknej, ale niemiłej, gdyż nie miała ona szlachetności i całkiem pozbawiona była wyrazu. Miał majestatyczną minę aktorów, grających królów. Można było wkrótce spostrzedz, że jego maniery były sztuczne i że zwykle musiał mieć inne. Nie wyrażał się źle, gdyż bardzo uważał, ale jego gaskoński akcent i niektóre wyrażenia zbyt żołnierskie sprzeczały się raczej z książęcą godnością. Lubił opowiadać o swoich wojskowych czynach i mówił o wojnie przez godzinę co najmniej.

Wzięcie Lubeki było jego ulubionym tematem; wszedł do tej fortecy na czele swojej kawaleryi, jakby do ataku. Był to piękny czyn wojskowy, ale nie zbyt miły do słuchania. Krew płynęła strumieniem po ulicach, konie stawały dęba wobec stosu trupów. Ten zbyt wierny obraz wojny nie był pocieszającym dla nas, biednych kobiet, które miałyśmy widzieć wstępujących do wojska wszystkich nam drogich.

Murat nabrał już przyzwyczajęń książąt, nie rozmawiał, ale mówił, pochlebiając sobie, że go słuchają

jeśli już nie z przyjemnością, to przynajmniej z pełną poszanowania uwagą.

Wstając wreszcie i kłaniając się z godnością, powiedział nam, że wraca do swego gabinetu, aby obejrzeć mapę Polski i stanowiska armii rosyjskiej.

W kilka dni potem był wielki bal w Zamku. Murat, zmuszony do ukazania się, powiedział księciu Poniatowskiemu, że słysząc o piękności Polek, chciałby ją sam osądzić. Wuj mój urządził bardzo piękną uroczystość. Byłam niezdrowa i nie mogłam być na niej, ale przyniesiono mi wiadomości natychmiast. Księżę ukazał się na niej w galowym ubiorze. Wiedziałam go potem w tym kostiumie jakby teatralnym, i tak właściwym *jego krwi księżęcej*. Godną podziwu była tylko kita, ta kita trójkolorowa, którą widywano zawsze powiewającą tam, gdzie groziło niebezpieczeństwo. A Polacy, zachwyceni tak wielką odwagą, chętnie byliby włożyli koronę na tę pełną chwały kitę.

Nigdyśmy się nie dowiedzieli, czy Napoleon robił takie nadzieje swemu szwagrowi, ale pewnem jest, że Murat powziął te nadzieje i lubił robić porównania pomiędzy losem Sobieskiego i swoim. Było to nawet jednym z jego ulubionych przedmiotów rozmowy, powracał do niego ciągle i kazał sobie opowiadać wszystko, co miało związek z wyniesieniem tego króla-żołnierza.

II.

Wejście Napoleona.

Tryumwirat. — Przygotowania. — Tajemne przybycie cesarza. — Przyjęcie urzędowe.

Gdy się dowiedziano o przybyciu cesarza do Poznania, postanowiono wysłać deputację na jego spotkanie. Nie było to rzeczą łatwą, bo najznakomitsi ludzie byli na wsi, oczekując końca wypadków. Nadto ludzie, których majątki znajdowały się pod panowaniem cesarza rosyjskiego, również stali na ubożu; mieli oni doświadczenie przeszłości i wiedzieli, że niechybnym skutkiem nieostrożnego kroku byłaby konfiskata.

Wybrnięto z kłopotu, urządziwszy dość nieznaną tryumwirat, który był wysłany naprzeciwko zwycięzcy. Swojem orlem spojrzeniem ocenił on z szybkością wartość tej deputacyi i zwrócił się do niej z wyrazami błahemi i wcale nie odpowiadającymi nadziejom, jakie zrodziło jego zbliżenie. To, że

książę Murat rozgłosił, iż cesarz wejdzie swe urządź
z wielką pompą, było tylko dlatego, aby wysłać do
Monitora błyskotliwy artykuł. Pospieszono ze wznie-
sieniem łuków tryumfalnych, przygotowano ilumina-
cyę, ułożono napisy rymowane, upleciono wieńce.
Wszystkie te przygotowania okazały się zbyteczne;
Napoleon pozwolił sobie zawieść powszechne oczeki-
wania. Przybył o czwartej rano na lichej szkapie, któ-
rą kazał sobie podać na ostatniej stacyi.

Łatwo można sobie wyobrazić popłoch, jaki
wywołało to zdarzenie w zamku, gdzie wszystko by-
ło pogrążone w głębokim śnie. Cesarz sam poszedł
na odwach, by zbudzić wartę, która dała znak umó-
wiony. Zamieszanie było tem większe, że naprawy,
jakie należało przedsięwziąć w zamku, niezamieszka-
łym od wielu lat, nie były jeszcze skończone.

Na szczęście, apartament ostatniego króla był
nietknięty i zdawał się oczekiwać tego nowego go-
ścia. Ta część zamku, zbudowana za Stanisława
Augusta, nosi na sobie piętno doskonałości, uraga-
jącej uszkodzeniom czasu i absolutyzmowi mody.

Cesarzowi towarzyszył tylko Roustam, jego ma-
meluk. Powozy ugrzęzły, nie było jeszcze szosy,
a boczne drogi w tej porze były nie do przebycia.

Cesarz zaraz po przybyciu oznajmił, że wieczó-
rem przyjmie władze, jak również osoby, które mia-
ły prawo być mu przedstawionemi.

Doznają jeszcze pewnego wzruszenia na wspo-
mnienie niecierpliwości, z jaką oczekiwaliśmy tych,
co mieli być przyjęci na zamku. Mój teść znajdował
się na czele urzędowej deputacyi. Powrócił o dzie-
siątej wieczorem—mniej zachwycony, a bardziej zdzi-
wiony, niż mogę to wypowiedzieć.

Napoleon rozmawiał z tą szybkością i rozwle-
kłością, która u niego oznaczała jakieś nerwowe pod-
niecenie. Mówił dużo, nie powiedziawszy jednak nic
ośmielającego. Przypuszczam nawet, że po namyśle
byłby chętnie cofnął rozmaite zdania, które mu się
wymknęły.

Rozszerzywszy się nad tem, czego dokonał wła-
śnie w Prusach, wyliczając drobiazgowo pobudki, ja-
kie go skłoniły do tej wojny, rozwiódł się nad wiel-
kiemi trudnościami, które należało przezwyciężyć, aby
tak liczna armia mogła posuwać się i zapewnić so-
bie żywność.

— Ale — rzucił — koniec końców mniejsza o to!
A kładąc ręce w kieszenie, dodał: Mam przecie Fran-
cuzów!... Panując nad ich wyobraźnią, zrobię z nich,
co zechcę!...

Jakieś milczące zadziwienie malowało się na
twarzy wszystkich, co go słuchali.

Po chwili dodał:

— Tak... to tak... jak wam mówię!...

A biorąc szczyptę tabaki, w chwili odpoczynku,

zaczął znów mówić bardzo żywo; zrobił gwałtowną wycieczkę przeciwko polskim magnatom, którzy, według jego zdania, nie okazywali dosyć gorliwości i patriotyzmu.

— Potrzeba — zawołał — poświęcenia, ofiar, krwi! Bez tego nic z was nie będzie.

Ale wśród tego potoku słów nie wyrwało mu się ani jedno, coby mogło uchodzić za obietnicę. Dlatego też najtrzeźwiejsi wrócili z tej audyencji niezbyt zadowoleni, ale zdecydowani robić wszystko, co nakazywał im honor i miłość ojczyzny.

Od tej chwili mówiono tylko o organizacyi wojskowej, o poborze etc. Dawano wszystko, co było można, a tę trochę, którą zachowywano dla siebie, zabierali gwałtem Francuzi.

Jakkolwiek Napoleon mówił o braku gorliwości wielkich panów, mogę zapewnić, że w żadnym kraju nie czyniono z takim pośpiechem tak wielkich poświęceń.

Nie było dnia, któryby nie przyniósł wiadomości o dobrowolnej ofercie, nowym darze patriotycznym. Gdy brakło pieniędzy, posyłaliśmy całą naszą zastawę do mennicy.

W obozach wyżsi oficerowie byli utrzymywani przez właścicieli ziemskich.

Pewien bogaty szlachcic, ugościwszy wspólnie jednego z najbardziej znanych marszałków, nie-

mało był zdziwiony, dowiedziawszy się, że srebra jego zniknęły razem z furgonami bohatera. Żart poczytano za zbyt gwałtowny i doniesiono o nim cesarzowi, który oburzony takim postępowaniem w kraju przyjaznym, kazał natychmiast zwrócić zastawę i zrzucił to *rozstargnienie* na karb służby marszałka, która nie była przyzwyczajona do przyjęć tego rodzaju. //

III.

Pierwsze kroki wojenne.

Salon hrabiny. — Księżę Borghese. — Chore dziecko. — Poświęcenie pana F... — Projekt Savary'ego. — Pułtusk. — Przyjęcie w zamku. — Zebranie. — Toaleta hrabiny. — Prezentacya u cesarza.

Przyjmowałam wielu Francuzów. Mąż mój należał zawsze do tych zebrani i pomagał mi robić na nich honory domu.

Czasami grywano, najczęściej rozmawiano. Księżę Borghese, szwagier cesarza, zaliczał się do szeregu zwykłych gości, ale nikt się nim nie krępował. Nigdy nie zapomnę, jak w krótkich chwilach, kiedy rozmowa stawiała się *trochę* poważniejszą, oddalał się, brał krzesła, ustawiał je po dwa na samym środku salonu i nucąc, tańczył ucieszenie kontredansa z temi niememi figurantami. Mieliśmy codziennie dzielnego generała Exelmaus, milego Ludwika Périgord, który umarł w rok później, podczas drogi z Petersburga do Berlina, żalowany przez wszystkich, co go znali; zaj-

mującego Alfreda de Noailles, pięknego Lagrange'a i wielu innych, których wspomnienie zatarło się z czasem, lub z powodu ich nicości.

Gdy się tak działo, syn mój (August) zachorował. Cały dom był w rozprzeżeniu, byłam oddzielona od mego dziecka. Zajmowało ono jedno ze skrzydeł pałacu, przylegające do apartamentów, odstąpionych adjutantom księcia Murata; aby zobaczyć mego biednego chorego, musiałabym przejść przez dziedziniec. Było to w połowie Grudnia, a ponieważ ścieżka była śliska, więc niebezpieczna, przeto surowo mi zakazano przechodzić nią, z powodu stanu, w jakim się znajdowałam. Nie mogąc ciągle być przy mojem dziecku, wyobrażałam je sobie daleko bardziej chorem niż było, a ponieważ nie czułam się w usposobieniu do brania udziału w wesołości innych, poszłam do siebie dnia tego daleko wcześniej, niż miałam zwyczaj.

O świcie posłałam do bony po wiadomości. Jakież było moje zdziwienie, gdy zamiast słownej odpowiedzi, oddano mi sprawozdanie ze wszystkiego, co zaszło w nocy! Wiedziałam, ile razy pił mały chory, jak długo spał, ile miał stopni gorączki!... Moje macierzyńskie serce, nie znając tego pisma, odga-dło je.

Dnia tego byłam bardzo zmieszana, spotkawszy pana de F..., a kiedym dziękowała, rzekł:

— Ach, mój Boże! jakże często z najprostszych

rzeczy robimy sobie zasługę. Byłem tej nocy na służbie, w pokoju syna pani znajduje się wygodna kanapa, na której się położyłem, a nie chcąc zasnąć, zająłem się tem, co się działo około mnie. Dziecku pani nie grozi najmniejsze niebezpieczeństwo — dodał z przekonaniem, które przeniknęło me serce.

Nie mogłam odpowiedzieć... wziął mnie za rękę, uściśnął ją, nie ośmielając się jej ucałować, i szybko się oddalił.

Od tej chwili związał się między nami rodzaj serdecznego zaufania. Można by je nazwać starą i świętą przyjaźnią, mającą cały powab nowej miłości tajemnej i bojaźliwej.

Wierna swoim obowiązkom, nie przypuszczałam nawet możliwości uczucia, które należałoby odsunąć, i przeczyłam niebezpieczeństwu.

Zdawało mi się, że wolno mi mieć *przyjaźń* dla człowieka, łączącego wszystkie przymioty, jakie pragnęłoby się widzieć w swoim bracie. Nie zważałam na niepokój, którego doznawałam, spotykając jego spojrzenie słodkie i tęskne, słuchając go śpiewającego te rozkoszne romanse, których nigdy nikt tak jak on nie śpiewał. Zapominałam wreszcie, co było moją największą winą, że młoda kobieta nie powinna mieć innego powiernika i innego przyjaciela, oprócz swego męża, ale dlaczegóż mój nie nasuwał mi tego na pamięć?

Zima 1807 roku była nadzwyczajnie ostra, kraj zubożony przejściem armii rosyjskiej, gonił już resztkami zasobów, kiedy rozkazano mu zaopatrzyć potrzeby stu tysięcy Francuzów, zgromadzonych na jednym miejscu. Wojska cierpiały wiele i zaczęły szemrać, gdyż zbywało im na wszystkim.

Savary, podówczas adjutant cesarza, zaproponował to, co on nazywał krokiem *stanowczym* — chodziło o to, aby ogłodzić miasto, zamykając rogatki, i zagarnąć żywność, codziennie dowożoną na potrzeby mieszkańców.

Napoleon, zmęczony szemraniami swoich szeregów, przyjął ten projekt i wydano rozkazy. Byliśmy zatem prawie skazani na śmierć głodową. *Przyjaciel* ostrzegł nas w tajemnicy o tem, co miało zajść. Niedyskrecya mogłaby go zgubić, należało więc zapobiedz złemu, nie narażając pana F... Zebraliśmy radę i mąż mój postanowił, aby pod pozorem nagłej podróży, zgromadzić zapasy. Na szczęście, te ostrożności okazały się zbyt uczynnymi. Ponieważ księżę Neufchâtel (Berthier) i Talleyrand odważyli się przedstawić cesarzowi, że mógłby wzniecić rozruch, postanowiono siłą otworzyć sobie przejście przez kordon austriacki, co zarówno nam, jak i wojsku, dostarczyło żywności pod dostatkiem.

Kiedy zaczynało już dziwić się pozornemu spokojowi, panującemu w zamku, i kiedy panie oburzały

się na to, że cesarz nie śpieszył się na nie pójrzeć, Napoleon tworzył plany zaborcze i nie zważając na ostrość pory zimowej, wyruszył nagle, by stanąć przeciw Rosyanom, oszańcowanym po drugiej stronie Wisły w miasteczku Pułtusk. Walczono przez kilka dni bez wielkich wyników. Zima stanęła wszystkiemu na przeszkodzie; ustawiczne deszcze tak rozmoczyły drogi, że armaty grzęzły—wielu żołnierzy zginęło w trzęsawiskach. Nie widziano jeszcze nic podobnego, a ten, którego geniusz zdawał się aż do tej chwili panować nad żywiołami, ujrzał się zmuszonym do odstąpienia, zaniepokoiwszy i odparłszy nieprzyjaciela, który jednak bardzo długo mógł jeszcze stawić opór.

Obawiano się, nie bez powodu, wrażenia, jakie wywrze na Napoleona ta pierwsza przeciwność i ze drżeniem udały się władze do Zamku, aby go tam oczekiwać.

Ale, ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich, okazał się on zupełnie spokojnym.

— Wasze bagna—powiedział—ocaliły Rosyan, trzeba czekać mrozów.

Mówił potem o administracyi kraju, nalegając na konieczność zaprowadzenia wielkiego porządku i przezorność zaopatrywania potrzeb armii, wytykając miejsca, gdzie należało wystawić magazyny—wchodząc we wszystkie szczegóły z zadziwiającem

zrozumieniem i doskonałą znajomością miejsc, rzeczy i ludzi, jakimi należało się posłużyć.

Tym razem, nie tak jak za pierwszym, wszyscy będący w Zamku wrócili przejęci podziwem dla rozległości i głębi geniuszu, zdolnego zarówno do zdobywania, jak i do rządzenia.

Mój teść chciał mi natychmiast zdać sprawę ze wszystkiego, co zaszło na tem przyjęciu. Zaledwie usiadł, usłyszeliśmy zgłęb ludzi i koni. To książę Murat przybywał z wrzawą; wracał on również z tej krótkiej kampanii, otoczony całym swoim sztabem.

Na szczęście, nikogo przy apelu nie brakło, aczkolwiek książę, swoim zwyczajem, wystawiał się na kule, harcując na wszystkich forpocztach.

W kilka dni potem oznajmiono, że będzie w końcu przyjęcie dam. I myśmy poszły tedy z kolei zobaczyć wielkiego człowieka i osądzić go. Należało pomyśleć o pięknej toalecie—miłość własna narodowa wchodziła tu w grę.

Byłam bardzo zadowolona ze swojej. Stan mój, jeszcze mało widoczny, dał się zupełnie ukryć przy pomocy sukni z czarnego aksamitu, haftowanej à la Matylda złotem i perłami. Kreza otwarta à la van Dyck, pęki lekkich pukli i wszystkie moje brylanty uzupełniały doskonale ten stroj szlachetny i surowy, który, prawdę mówiąc, stanowił sprzeczność z moją twarzą, wówczas świeżą i uśmiechniętą. Moda nie

uświęciła jeszcze fantazyjnych strojów. Sądzę, że byłam jedną z pierwszych, co je przyjęły, a moje toalety więcej się zapożyczały u artysty, niż z dziennika mód.

Przybyliśmy do Zamku około dziesiątej wieczorem. Trzeba było przejść koło całej armii złożonej i szamerowanej, tworzącej szereg, aby przyjrzeć się przechodzącym damom. Szłam za moją świekrą, spoglądając na prawo i na lewo, aby osądzić wrażenie, jakie wywierał mój strój na sędziach kompetentnych i surowych. Przyznaję, że byłam zachwyconą, gdy wśród pochlebnego szmeru usłyszałam następujące zdanie całkiem francuskie:

„Ach, jakież to oryginalne!... Jakby piękny portret, wyjęty ze starych ram. W Paryżu nie widzi się nic podobnego!“

Kazano nam wejść do wspaniałej sali, gdzie się znajdowały obrazy historyczne, przewiezione później do Moskwy na rozkaz cesarza Mikołaja I. Sala ta była oświetlona *à giorno*. Było już wiele pań, stojących jedna obok drugiej, a ponieważ nie okazano się trudnym w wyborze, zgromadzenie było bardzo liczne.

Czekaliśmy dość długo i trzeba przyznać, że ciekawość nasza nie była wolna od niejakej obawy. Nagle milczenie zostało przerwane niespodzianym szmerem, podwoje otwarły się z hałasem i wszedł

Talleyrand, wymawiając podniesionym i dobitnym głosem, to magiczne słowo, na które drżał świat: *Cesarz!* Zaraz potem ukazał się Napoleon i zatrzymał się, jakby się dając oglądać.

Tyle jest portretów tego zadziwiającego człowieka, napisano tyle jego historyj, wszystkie legendy, powtarzane przez dzieci, jego starych żołnierzy, pozostaną długo żywymi tak, że przysze pokolenia będą go znały prawie tak dobrze, jak my. Ale trudno będzie pojąć, jak głębokiem i niespodzianem było wrażenie, kiedy go się widziało po raz pierwszy. Co do mnie, doznałam jakiegoś osłupienia, jakiegoś niemego zdziwienia, które nas ogarnia na widok wszelkiej cudowności. Zdawało mi się, że był otoczony aureolą. Jedyłą myślą, która mi przyszła, kiedy otrząsnęłam się z pierwszego olśnienia, było to, że jest niemożliwem, aby taka istota miała umrzeć, żeby organizacya tak potężna, geniusz tak wielki, mógł kiedykolwiek obrócić się wniwecz!... W duchu przyznawałam mu *podwójną nieśmiertelność*.

Być może — i nie chcę bynajmniej temu zaprzeczać — że wrażenie, jakie na mnie wywarł, wypływało z młodości i żywości mojej wyobraźni, jakkolwiek opowiadam poprostu to, co odczułam.

Moja teściowa znajdowała się koło drzwi, przez które wszedł cesarz; zwrócił się on najprzód do niej i wyrażał się o jej mężu bardzo pochlebnie. Potem

przyszła kolej na mnie. Nie potrafiłabym powtórzyć tego, co mi powiedział, tak byłam zmieszana. Było to prawdopodobnie jedno z tych zdań powszednich, które się mówi wszystkim młodym kobietom. Odpowiedziałam zapewne dość niezgrabnie, gdyż popatrzył na mnie z jakimś zdziwieniem, co mię zmieszało jeszcze bardziej i zatarło w pamięci mej wszystko, prócz uprzejmego i łagodnego uśmiechu, z jakim wymawiał parę słów do mnie zwróconych. Uśmiech ten, który zwykle przybierał mówiąc do kobiety, odejmował jego twarzy całą tę surowość, jaką jej nadawać mogło jego spojrzenie.

W ten sposób bardzo szybko obszedł wkoło salon; wiele z pań próbowało mówić z nim o nadziejach, jakie zrodziła jego obecność; ale on odpowiadał monosylabami na te porywy patryotyczne, niezbyt odpowiednie przy prezentacyi, i załatwił się z nami w niecałe pół godziny. Podeszedłszy do drzwi, przez które wszedł, rzekł dość głośno do Talleyrand'a:

— Ileż tu pięknych kobiet!

A potem, obróciwszy się raz jeszcze, złożył nam ręką uprzejmy ukłon i wszedł do swych apartamentów.

IV.

U m i z g i.

Bał u Talleyrand'a. — Szklanka lemoniady. — Cesarski kontredans. — Pani Walewska. — Greuze. — Klucz od pokojów księcia Murat.

Cesarz oznajmił, że ponieważ nie można walczyć, chce, aby się bawiono. Chwila była odpowiednia, karnawał się rozpoczynał; zaszła jednak przeszkoda. *Oswobodziciele* zajmowali wszystkie mieszkania, wszędzie właściciele jak my, byli wygnani do paru pokojów, gdzie się mieścili jakkolwiek, ale gdzie niepodobna było myśleć o wydawaniu zabaw.

Księżę Poniatowski, który sam jeden tylko mógłby zebrać w zamku liczniejsze towarzystwo, krępował się obecnością cesarza.

Po wielu naradach postanowiono, że pierwszy bał odbędzie się u Talleyranda, wielkiego szambelana i ministra spraw zagranicznych.

Cesarz, jak również wszyscy książęta, mieli przybyć. Zapewniano, że nie będzie więcej nad

pięćdziesiąt pań, ale ta surowa etykieta nie mogła przeszkodzić tysiącu małych intryg, zwyczajnych w takich razach. Pewna jestem, że była to jedna z tych uroczystości, na których koniecznie byłoby się chciało. Cała próżność i cała ciekawość wchodziły w grę. Co do mnie, miałam żywe pragnienie przyjrzenia się zblizka temu amfitryonowi, uchodzącemu za jednego z najmiłszych i najdowcipniejszych ludzi swego czasu; prawdę mówiąc, zadawał on sobie wiele trudu, aby nam się takim wydać. Profani twierdzili, że nikt nie potrafił być zarazem tak zręcznym i tak błyskotliwym, ale jeśli bym miała sądzić go z wrażeń, jakie wówczas wywarł na mnie, powiedziałabym, że wydał się przesycenym i znużonym wszystkiem, chciwym majątku, zazdrośnym o łaskę pana, którego nienawidził, bez charakteru, jak i bez zasad, jednym słowem, niezdrowym na duszy, jak i na ciele.

Nie mogłabym wypowiedzieć zdziwienia, jakiego doznawałam, widząc go zbliżającego się z trudem na środek sali, ze złożoną serwetą pod pachą, poznaczoną tacą w rękę, podającego szklankę lemoniady temu właśnie monarsze, którego za oczami nazywał parweniuszem!

Talleyrand miał za młodu, jak mówiono, wielkie powodzenie wśród kobiet, a ja widziałam go potem otoczonego swoim dawnym serajem... Było to

rzeczywiście bardzo śmieszne; wszystkie te panie, przy których spełniał on po kolei rolę kochanka, tyrana lub przyjaciela, napróżno siliły się go rozerwać, wszystkie ich usiłowania rozbiły się o jego znużenie. Ziewał przy jednej, zrzędził na drugą, wszystkie nazywał głupiami i złośliwie wyciągał wspomnienia i *daty*.

Wracam do balu u Talleyranda. Był to jeden z najciekawszych, na jakich miałam sposobność być obecną. Cesarz tańczył wtedy kontredansa, który posłużył za pozór zbliżenia się z panią Walewską.

— Jakże pani uważa mój taniec? — rzekł do mnie — myślę, że się pani ze mnie śmiała.

— Doprawdy, Najjaśniejszy Panie — odparłam — jak na wielkiego człowieka, tańczysz doskonale.

Chwilę przedtem Napoleon siadł pomiędzy mną, a przyszlą faworytą; pomówiwszy przez parę minut, zapytał się, kto jest jego sąsiadka z drugiej strony. Kiedy wymieniał jej nazwisko, zwrócił się do niej z miną człowieka jak najlepiej poinformowanego.

Dowiedzieliśmy się potem, że Talleyrand posunął swoje grzeczności aż do urządzenia tego pierwszego spotkania i usunięcia przedwstępnych przeszkód. Ponieważ Napoleon wyraził życzenie zaliczenia do liczby swoich podbojów Polki, wybrano taką, jakiej mu było potrzeba, piękną z twarzy, a marną umysłowo. Twierdzono, jakoby po kontredansie ce-

sarz uściśnął ją za rękę, co, jak powiadano, równało się schadźce.

Rzeczywiście miała ona miejsce nazajutrz wieczorem. Mówiono, że jakiś wielki dygnitarz był posłany po tę piękność; mówiono o nagłym i niezasłużonym awansie brata, nicponia, o garniturze brylantowym, którego, jak zapewniano, nie przyjęto. Mówiono wiele rzeczy, o jakich, być może, nie wiadano i jakie zmyślano dowoli. Przypuszczano nawet, że Roustam, mameluk, służył za pokojówkę!... bo czegoż nie mówi się w takich razach? To było pewnem, że my wszystkie byłyśmy zrozpaczone, iż osoba, przyjmowana w towarzystwie, okazała tyle łatwości i równie słabo się broniła, jak forteca Ulmska.

Ale czas, który wszystkiemu nadaje barwę, położył na tym związku, tak lekko zawartym, cechę stałości i bezinteresowności, co zatarło po części nieprawidłowość powstania, a w końcu postawiło panią Walewską w liczbie najbardziej zajmujących osób tej epoki.

Cudownie piękna, była jakby uosobieniem postaci Greuze'a ¹⁾; jej oczy, usta, zęby były zachwycające. Śmiech jej był tak świeży, spojrzenie tak łagodne,

¹⁾ Jan Chrzyciel Greuze ur. 1725, zm. 1805 r. Znany malarz rodzajowy francuski, odznaczający się mianowicie w przedstawieniu zalotnych lub sentymentalnie nastrojonych postaci kobiecych.

wszystko razem w jej twarzy tak ponętne, że nigdy nie myślano o tem, co by mogło brakować klasyczności jej rysów.

Zaślubiona w siedmnastym roku życia ośmdziesięcioletniemu starcowi, którego nigdy nie widywano, zajmowała w świecie stanowisko młodej wdówki. Jej wielka młodość, połączona z tak wygodnem położeniem, dawały powód wielu gadaninom, a jeżeli Napoleon był ostatnim z jej kochanków, utrzymywano, że nie był pierwszym.

Od chwili, gdy cesarz zrobił wybór, księżęta z jego rodziny chcieli go naśladować. Było to trudnem, gdyż sława nie była w spółce z ich zuchwałem przedsięwzięciem.

Pewnego ranka oznajmiono mi pana Janvier, zaufanego sekretarza księcia Murata. Wszedł z kluczem w rękę, bardzo pomieszany swoim wystąpieniem. Nie wiedząc, od czego zacząć, stał milczący i obracał klucz, nie śmiejąc spojrzeć, podczas gdy ja znów wysilałam umysł, aby odgadnąć, czego on chce odemnie.

Ażeby ta anegdota była zrozumiała, należy w krótkich słowach powiedzieć o rozkładzie pałacu. Pomiędzy piętrem, zajmowanym przez moją siostrę, a dołem, gdzie się znajdował wielki apartament, ustąpiony księciu Muratowi, były małe mezzaniny (antresole). Moja teściowa posługiwała się niemi jedynie

podczas wielkich mrozów ponieważ te pokoiki tworzyły przejście dobrze ogrzane z jednego apartamentu do drugiego za pomocą *schodów krytych*.

Ten wytworny zakątek, umeblowany i ozdobiony w stylu Ludwika XV, był uważany jako pokoje należące do wielkiego apartamentu; klucze od niego oddano służbie księcia Murata w chwili, gdy zamieszkał w naszym pałacu, i nikt odtąd o nich nie myślał. Pan Janvier otrzymał rozkaz przyniesienia mi tego właśnie klucza.

Jako człowiek rozumny, czuł on całą niestosowność swojej misji i był nią podwójnie zmieszany, gdy spostrzegł, że nie rozumiem i że uparłam się nie przyjąć tego klucza, jako rzeczy zupełnie mi nieużytecznej, gdyż zajmując to samo piętro, co moja teściowa, schodki były mi niepotrzebne.

Widząc, jak daleka jestem od poleconej mi sprawy, odważył się powiedzieć mi, że jego wysokość, nie ośmielając się proponować mi licznych zebrań, myślał, iż miło mi zapewne będzie wypić z nim czasem herbatę w tych wytwornych buduarach. Zaczynałam rozumieć i gniew we mnie zawrzał!... Widocznie spostrzegł go w moich oczach, bo myślałam, że o mało co nie spadnie z krzesła. Podniósł się i drżąc, podszedł do konsoli, położył na niej nieszczęśliwy klucz i głęboko mi się skłonił, chcąc wyjść.

Powstrzymywałam się z trudem... oburzenie na-

tchnęło mnie. Uśmiechając się jak najpogardliwiej, poprosiłam pana Janvier, aby powiedział księciu, że moja świekra będzie zapewne bardzo wdzięczna za jego grzeczność, że w jej wieku nie lubi się zebrań zbyt licznych i że, być może, zechce skorzystać z uprzejmego zaproszenia jego wysokości, że w każdym razie, ponieważ zostawił klucz, oddam go mojej teściowej. I kłaniając się z całą wyniosłością biednemu sekretarzowi, który stał osłupiały koło drzwi, upuściłam salon.

V.

Partya whista u cesarza.

Inne bale.—Parada.—Orkiestra cesarska.—Holenderscy posłowie.—
Stawka.—Następca tronu bawarskiego.—Otoczenie Napoleona.—
Urabia Comminges.—Książęta, tak zwani, *krwi*.—Akcent goskoń-
ski Murat'a.—Jego frazesy efektowne.

Po balu u Talleyranda nastąpiły dwa inne: jeden u księcia Borghese, drugi u księcia Murata. Byłam cierpiąca i nie poszłam na pierwszy; według zdania mojej teściowej, powinnam była być obecną na drugim, aby utrzymać się w roli, jaką przyjąłam względem pana Janvier, i w niczem nie zmienić stosunków chłodnej grzeczności, panującej między naszym gościem a nami.

Ponieważ wskutek niepogody drogi były jeszcze ciągle nie do przebycia, cesarz nie opuszczał miasta i wychodził zwykle tylko po to, aby się udać na paradę na Saskim placu. Chociaż te manewra odbywały się prawie codziennie, tłum zbierał

się gromadnie za każdym razem, kiedy Napoleon się ukazywał; przeprowadzano go aż do Zamku z okrzykami i wiwatami, które dowodziły mu, jak bardzo jego sława, a nasze nadzieje uczyniły go drogim narodowi. Nie wydawał się niemi bynajmniej znużonym, jakkolwiek zapal często wytwarzał tłok.

Oprócz balów, były na dworze zebrania raz na tydzień. Wieczór rozpoczynał się bardzo pięknym koncertem, a kończył partią whista. Na Zamku nigdy nie tańczono.

Cesarz miał między swoją świtą kompletną orkiestrę, dyrygowaną przez sławnego kompozytora, Paër'a. Była to zawsze muzyka włoska. Zdawało się, że Napoleon lubił ją namiętnie. Słuchał uważnie i oklaskiwał jak znawca, a harmonia zdawała się mieć wielki wpływ na jego usposobienie. Mieliśmy dowód tego pewnego dnia przyjąć.

Właśnie oznajmiono mu, że generał Victor, oddawca depeszy bardzo ważnej, dał się schwytać Prusakom. Na tę wiadomość nie panował nad sobą! Twierdzono, że jeśli to nie była zdrada, to przynajmniej niedbalstwo nie do przebaczenia. Otóż tego samego dnia mieli otrzymać zaraz przed zebraniem audyencyę posłowie holenderscy, którzy przybyli złożyć cesarzowi powinszowania z powodu zwycięstwa pod Jeną. Była blisko dziesiąta, oczekiwaliśmy od-

dawna i zaczynaliśmy się już domyslać, że zaszło coś niezwykłego, gdy wtem drzwi otworzyły się z hłasem i ujrzelśmy grubych Holendrów w szkarłatnych szatach, raczej wracających się, niż wchodzących. Cesarz popychał ich, krzycząc głośno:

— Idźcież naprzód! Idźcież naprzód!

We drzwiach zrobił się zapewne tłok w chwili, gdy Napoleon w nich się ukazał, gdyż szedł on bardzo szybko, jak to miał we zwyczaju. Biedni posłowie stracili głowę i pchali się jedni na drugich.

W każdej innej chwili ta zabawna scena pobudziłaby do śmiechu; ale głos władcy i wyraz jego twarzy nie dodawały otuchy i, prawdę mówiąc, wolelibyśmy nie widzieć tej sceny. Muzyka jednak uspokoiła cesarza odrazu; pod koniec koncertu odzyskał swój uprzejmy uśmiech i okrążył salon, zwracając się z miłymi słowami do pań, które wyróżniał, zanim zasiadł do stolika whistowego.

Zebranie, jak to już mówiłam, kończyła gra. Cesarz zawsze rano wymieniał damy, mające grać z nim wieczorem, wybór ten padał zwykle na jedną z najstarszych i dwie najmłodsze. Nauczono mnie grać jakkolwiek i za pierwszym razem, gdy spotkał mnie ten zaszczyt, wymknęła mi się odpowiedź dość nierozważna, która widocznie podobiała się Cesarzowi, gdyż od tego dnia miejsce moje było stałe.

W chwili, gdy dawano karty, Napoleon, zwracając się w moją stronę, zapytał:

— O cóż gramy?

— Ach, Wasza Cesarska Mość, o jakieś miasto, jakąś prowincję, jakieś królestwo!

Zaczął się śmiać.

— No, a gdybym ja wygrał? — zapytał z dowcipnem spojrzeniem.

— Wasza Cesarska Mość posiada dosyć, może zapłacić za mnie.

To zdarzenie ustaliło względy dla mnie, które nigdy mnie nie opuściły, zarówno w Polsce, jak i w Paryżu. Napoleon przyjmował mnie zawsze z wyróżnieniem i traktował nadzwyczaj uprzejmie.

Zauważono, że pani Walewska nie grywała nigdy i to zachowanie konwenansów podziwiano ogólnie.

Było to rzeczywiście ciekawe widzieć tych wszystkich książąt niemieckich, idących pod różnemi pozorami za głównym oddziałem, jak wyczekiwali, stojąc podczas cesarskiej partyi. Był między nimi następca tronu królestwa Bawarskiego, całujący z uszanowaniem rękę Napoleona za każdym razem, gdy mógł się do niej dostać, ale miał on i śmiałość kochać się w pani Walewskiej! Napoleon nie trzeszczył się wcale o to współzawodnictwo. Mówiono

nawet, że się tem bawił. Książę, straszliwie upośledzony przez naturę, był nadto głuchy i jąkała.

Szczególną jest rzeczą i trudno temu uwierzyć, ale wszyscy, którzy tworzyli orszak cesarza, co mieli najwięcej godności i pochlebiali mu najmniej słuźalczo, nie byli ludźmi ani o wielkich nazwiskach arystokratycznych, przywiązanych do jego losów, ani książętami zagranicznymi, co szli za nim, żebrząc o korony, ale były to całkiem nowe znakomitości: marszałkowie i dygnitarze jego kreacyi. Jeden tylko Savary zdawał się błagać o spojrzenie, wszyscy inni byli wogóle z uszanowaniem, ale bez uniżoności.

Z wyjątkiem obcych ministrów i kilku wysokich dygnitarzy, umieszczonych za stołami gry, nikt nie siadł w obecności cesarza, nawet jego szwagrowie. Zdaje się, że to nie gniewało księcia Murata, który korzystał z tej sposobności, aby przybierać postawy, jakie uważał za najwłaściwsze do uwydatnienia piękności swojej figury; ale mały Borghese wściekał się o to, a jednak nie miał odwagi usiąść.

Po grze następowała kolacja. Napoleon nigdy nie siadał do stołu, ale krążył, aby rozmawiać z damami, zabawiając się zadawaniem mnóstwa pytań, które czasami wprowadzały w kłopot ze względu na nadzwyczajną dokładność, jakiej wymagał w odpowiedziach. Chciał wiedzieć, czem się zajmowano,

co czytano, o czem najczęściej myślano, co najbardziej lubiono.

Pewnego dnia, albo raczej pewnego wieczoru, gdy oparty o poręcz mego krzesła, zabawiał się wypytywaniem w ten sposób o moją lekturę, mówił mi o powieściach i rzekł, iż ze wszystkich, jakie mu wpadły pod rękę, najżywiej go zajęła powieść *Irabia de Comminges*¹⁾. Czytał ją dwa razy i był nią zawsze wzruszony do łez.

Nie znałam tej książki i łatwo się domysleć, że gdy przyszedłam do domu, pierwszym mojem zajęciem było przerzucenie biblioteki mego teścia. Na nie-szczęście, powieści tej nie było. Dopiero znacznie później po tej rozmowie dostałam ją i płakałam również.

Moja świekra, będąc jedyną warszawianką, która zachowała sobie salon, ujrzała się zmuszoną do wydawania wieczorów tańczących. Mnóstwo cudzoziemców, przybyłych w orszaku ciała dyplomatycznego, pragnęło tylko się bawić. Tak zwani *książęta krwi* nie opuszczali ani jednego z tych zebrzań, nie narażając jednak swej godności, gdyż tańczyli tylko *na balach dworskich!*...

¹⁾ Chodziło zapewne o romans Klaudyny Aleksandry Guérin, margrabiny de Tencin, ur. 1681, zm. 1749 r. Tytuł właściwy „*Mémoires du comte Comminges*“.

Ponieważ stan mój nie pozwalał mi odlać się temu rodzajowi rozrywki, byłam skazana na zabawianie najmniej zabawnych; jest to prawie zawsze los osób, wezwanych do robienia honorów domu.

Księżę Murat bynajmniej nie zniechęcony niepowodzeniem swego śmiesznego usiłowania, pochwycił tę sposobność, aby ze mną mówić i zasypywać mnie ckliwościami. Zupełnie nie starałam się ukrywać znudzenia, jakiego doznawałam; wreszcie, chociaż trochę za późno, spostrzegł się; przybrawszy wówczas melodramatyczną minę, wyrzekł do mnie to zdanie tak śmieszne—podniesione jeszcze przez jego gaskoński akcent, a które tak bardzo rozśmieszyło moich przyjaciół

— *Pani Aleksandro! nie jest pani ambitną, nie kocha pani książąt!*

W Paryżu opowiadano mi równoważnik tej anegdoty. W dniu, w którym Murata ogłoszono królem neapolitańskim, jakaś piękność, wzruszona jego wielkością, naznaczyła mu schadzkę. Ponieważ kłopoty jego królestwa nie zabierały mu jeszcze wiele czasu, przyszedł na nią zawczasie, a niecierpliwiąc się oczekiwaniem, podniósł rękę do czoła, wołając:

— Czyż widziano kiedy nieszczęśliwszego monarchę?

Kiedy myślę, jak bardzo ci wszyscy książęta rodziny Napoleona wydawali nam się małymi i śmie-

sznymi obok olbrzyma, zakrywającego ich swym cieniem, powtarzam sobie tę prawdę, stwierdzoną wiekami, że tylko wielkie charaktery lub wielkie czyny mogą uprawnić przed ludźmi nagłe wyniesienie.

VI.

E y l a u.

Różowa relikwia. — Maret, książę Bassano. — Książę Dalberg. — Urodzenie Natalii Potockiej. — Pani Walewska w głównej kwatery w Osterode. — Szale Józefiny. — Sąd wydany przez Napoleona o *Corynnie*. — Bitwa pod Eylau. — Powrót francuzów. — Wielki czyn wojskowy księcia Borghèse.

Nie mówiono już o wojnie. Wielu myślało nawet, że cesarz oczekiwał wiosny, aby nanowo rozpocząć kroki wojenne, gdy on, gwałtowny w swoich postanowieniach, jak i w swoich czynach, wyjechał nagłe 5 lutego, a wojsko otrzymało rozkaz wyruszenia.

Pożegnanie jest niebezpieczną rafa... Bardzo trudno jest wówczas nie zdradzić uczucia, które się ciągle powstrzymuje. Na szczęście, nie byłam sama!

Napisano do mnie pod pozorem oddania mi jakiegoś pugilaresu, którego nie chciano narazić na koleje wojny. Zawierał on listy matki, głęboko kochanej, która pisała z niezwykłym wdziękiem. Przy koń-

cu blagano mnie, abym nie odmówiła, jako dowodu *świętej przyjaźni*, relikwii (mającej, jak mówiono, własność odwracania kul), różowej wstążki, którą miałam w wigilię dnia. Myśl ta nakazała milczenie moim skrupułom, pozwoliłam wziąć wstążkę! Ludzie, idący na wojnę, mają prawo tyle wymagać!... Zmuszono mnie przyrzec, że będę czasami pisywała. Proszono o pozwolenie zawiadamiania mnie o postępach wojska, mającego walczyć z zapalem za sprawę, która była naszą.

Prośbę tę przedstawiłam memu mężowi — ponieważ nie miał nic przeciwko niej — przyrzekłam, i p. F. odjechał.

Ciało dyplomatyczne, na czele którego stał Talleyrand, otrzymało rozkaz pozostania w Warszawie.

Nie mówiłam jeszcze o Marret, księciu Bassano, ministrze i sekretarzu stanu; należał on do liczby tych, co rzadko opuszczali cesarza. Tym razem jednak musiał oczekiwać wypadków.

Znalazłszy się na wysokiem stanowisku, być może, był jedynym w tej epoce nagłych wyniesień, który nic nie zachował ze stanu, z jakiego wyszedł, nie nadużywając niczego z tego, do czego doszedł. Jego manieri, ubiór, rozmowa, wszystko, z wyjątkiem olbrzymich tydek, znamionowało człowieka z dobrego towarzystwa. Jeśli jego umysł nie posiadał rozległości i subtelności Talleyranda, to doskonały

talit, połączony z niepospolitym sądem, przychodzi mu w pomoc i czynił go zdolnym sprostać najrzeczniejszemu... Nadto, jako człowiek nieposzlakowany i szlachetny, zdobył sobie prawo noszenia głowy wysoko.

Z powodu interesów zostawał on w stosunkach z moim teściem, to też widywaliśmy go często. Po długiej pracy przychodził do salonu, aby z nami przez chwilę porozmawiać; te krótkie przerwy nazywał swojemi rekreacyami. Jego grzeczność wpływała z serca; nie omijał żadnej sposobności pozyskania ludzi. Obwiniano go; że zaufanie swoje dawał takim, którzy byli tego mało godni — to możebne; prawdziwa dobroć ma tę słabość, że łatwo daje się nadużywać.

Nie mogę pominąć, mówiąc o naszych codziennych gościach, najdowcipniejszego z nich, księcia Dalberg (1773—1833). Był on ostatnim potomkiem tej dawnej rodziny, która zdawała się czekać z wygaśnięciem, aż będzie niepotrzebną przy koronacyjnem namaszczeniu cesarzów, których władza miała się ku upadkowi. Można by powiedzieć, że te dwa świetne wspomnienia przeszłych wieków miały zniknąć razem ¹⁾.

¹⁾ Historya mówi nam, że w chwili namaszczenia cesarzów niemieckich, herold zbrojny miał obowiązek zawołać do-

Powróciwszy do Francyi, ożenił się z panną Brignolle, z której miał tylko jedną córkę, zmarłą w młodym wieku. Podczas swego pobytu w Polsce powziął głęboką namiętność dla osoby, która nie mogła go ocenić, czy zrozumieć, gdyż natura odmówiła księciu darów, zdolnych ująć istotę ograniczoną. W tej okoliczności okazał się egzaltowanym, jak niemiec, i delikatnym, jak francuz. Cierpliwie s'uchałam jego zwierzeń, gdyż kładł w nie cały wdzięk swego umysłu. Była to szczególna osobistość, pół-illuminat, pół-filozof ośmnastego wieku, miał on stosunki ze wszystkimi najoświecieńszymi i najradykałniejszymi ludźmi w Europie. Nadmiernie nieostrożny, mówił wszystko, co mu przeszło przez głowę, nie oszczędzając nikogo, nawet Napoleona, którego nazywał *tyranem* i *przywłaszczycielem*. Jego rzeczywistym zajęciem było czuwanie nad sprawami Niemiec, co dosyć zaniedbywał, odkąd miłość zawładnęła całą jego duszą.

Przypuszczony do zaufania Talleyranda ubolewał często razem z nim nad bieżącemi wypadkami! A jednak szczerze życzył sobie odbudowania Polski, gorąco pragnąc wyzwolenia Niemiec — dwóch rzeczy równie trudnych do pogodzenia, jak wszystkie inne jego uczucia.

nośnym głosem: *Ist ein Dalberg da?* Jeśli odpowiedź była przecząca, namaszczenie nie było ważne. (Przypisek autorki).

Dowodem jednak, że Napoleon nie był tak złym, jak twierdził książę, jest to, że o Dalberga nigdy się nie niepokoił; nie można było jednak przypuszczać, aby jego sposób myślenia był nieznany cesarzowi.

* * *

18 marca (1807), o trzeciej rano, wydałam na świat śliczną dziewczynkę; spełniła ona wszystkie nasze pragnienia. Dziecko to, mające sześć lat w chwili, gdy to piszę, było pięknem od samego urodzenia. Jej drobne rysy posiadały całkiem poprawność biustu starożytnego; niewątpliwie Helena, przychodząc na świat nie była piękniejszą. Rozwija się ona dalej z tą doskonałą klasycznością rysów, którą przypisuję memu zamilowaniu do sztuk pięknych. Byłam wciąż otoczona najpiękniejszymi modelami, z rozkoszą oglądałam wspaniałe obrazy, znajdujące się u mego teścia; nic zatem dziwnego, że dziecko moje było odbiciem moich nieustannych rozmyślań. Matka moja trzymała ją do chrztu. Nazwałam ją Natalią; imię to podobało mi się i odpowiadało jej greckiej twarzyczce.

Nie wiem, jak mogłam pominąć wzmiankę o chrzcie mego syna, obchodzonym z całą okazałością, przeznaczoną dla chłopców, a nadewszystko dla najstarszych. Książę Józef Poniatowski i marszałek Potocki, brat mego teścia, byli jego chrzestnymi ojcami; piękna hrabina Zamoyska i hrabina Tyszkiewi-

czowa, siostra księcia Poniatowskiego, jego matkami. Książę Józef Poniatowski memu synowi zrobił dar wspaniały, który przechowujemy starannie i który, mam nadzieję, nigdy nie wyjdzie z rodziny. Jest to szabla Zygmunta I-go, która służyła przy koronacji naszych królów.

Świątność nie jest związana z losem kobiety, przeznaczenie jej już od kolebki jest inne. Natalię ochrzczono w moim pokoju, bez okazałości i ceremonii. Jeśli kiedyś uczuje się tem dotkniętą, niech pomyśli o radości, jaką nappełniło mnie jej urodzenie i o zachwycie, jaki już wtedy wzbudzała jej pięknosc.

* * *

Cesarz, urządziwszy główną swoją kwaterę w Osterode, zawezwał księcia Bassano, a wkrótce potem Talleyranda. Zostało nam ciało dyplomatyczne, licząc w to jednego ambasadora tureckiego i jednego ambasadora perskiego; chodzono oglądać, jak te wschodnie osobistości jadły, paliły, modliły się; był to rodzaj przedstawienia, przed drzwiami ich stały szeregi.

Wiadomości z głównej kwatery były, jak się łatwo domyśleć można, bardzo częste. Nieprzyjacieli oddalił się, aby zebrać większe siły. Cesarz, pewien zwycięstwa, nie niepokoił się tem i zdawał się oczekiwać zaczepki. Ponieważ pora była jeszcze bardzo

ostra, a Napoleon nie wiedział, czem zabić czas, posłał po panią Walewską.

Brat piękności, stawszy się nagle z porucznika pułkownikiem, podjął się potajemnie sprowadzić ją do głównej kwatery. Niepodobna utrzymać sekretu, gdy próżnujący świadkowie starają się wszystko wiedzieć, aby o wszystkim opowiadać. Wiedzano więc prawie natychmiast, że powóz ze starannie spuszczonego firankami przyjechał, a reszty się domyślano. Jedna rzecz, jaka została utajoną, było miejsce, dokąd zawieziono podróżną.

Oto szczegóły, opowiedziane mi w jakiś czas potem przez niedyskretną przyjaciółkę pani Walewskiej.

Cesarz kazał dla niej przygotować gabinet tuż obok swego pokoju. Z wyjątkiem krótkich chwil, podczas których Napoleon i pani Walewska rozmawiali z sobą, spędzała ona czas w smutku i samotności. Nikogo zupełnie nie widywała, jedynie tylko ksiązę Neufchâtelski widział ją raz jeden w chwili, gdy wmykała się z gabinetu Napoleona, z którym jadła śniadanie.

Widząc na tacy dwie filiżanki, Berthier pozwolił sobie uśmiechnąć się.

— Cóż to? — rzekł Napoleon, z miną człowieka, który chce powiedzieć: *Nie wtrącaj się nie do swoich rzeczy.*

I minister wojny natychmiast rozpoczął ważną kwestyę, dla której przyszedł, obiecując sobie na przyszłość korzystać ostrożnie z przysługującego mu prawa wchodzenia do cesarza bez oznajmiania.

Jeśli zdarzyło się, że pani Walewska nie była gotową do śniadania, wołała, aby Napoleon nie wchodził, a on podawał jej czekoladę, nie ośmielając się spojrzeć do pokoju, i otwierał drzwi tylko tyle, ile trzeba było, aby wsunąć tacę.

Kiedy pani Walewska znajdowała się w Osterode, ambasador perski przysyłał prezenty, które należało przyjąć w imieniu pana. Wśród innych wspamiętałości, było mnóstwo szali, przeznaczonych dla cesarzowej Józefiny. Jej niewierny małżonek chciał oddzielić z nich jedną część, wielokrotnie nastawał nawet, aby jego kochanka wybrała najpiękniejsze. Ale na próżno, ona stanowczo odmawiała, a gdy on uczuł się dotknięty uporem, jaki widział w jej odmowach, wzięła wreszcie szal niebieski, najprostszy i najmniej drogocenny ze wszystkich—mówiąc, iż ma przyjaciółkę, która lubi niebieski kolor i że z powrotem ten szal jej ofiaruje.

Ta bezinteresowność podobala się Napoleonowi.

— Wasi mężczyźni są dzielni i poświęcający się — rzekł z miłym uśmiechem—a kobiety piękne

i bezinteresowne. To stworzy piękny naród. Przyrzekam pani wcześniej, czy później, przywrócić Polskę.

A gdy ona rzuciła się na kolana, gorąco mu dziękując, rzekł:

— Ach! ach! ten podarunek przyjąłabyś bez ceremonii!... Ale poczekaj, trzeba mieć cierpliwość, nie robi się polityki tak, jak się wygrywa bitwy, nie jest to tak łatwo i wymaga czasu.

Kiedy się rozpoczęły wstępne kroki wojenne, Napoleon oddalił panią Walewską. Wróciła tak, jak przyjechała. Brat odwiózł ją na wieś i otoczył jej podróż taką samą tajemnicą. Zdaje się, że cesarz był przekonany, iż nikt nie wiedział o tem, co się stało.

Osoba, która mi opowiadała te wszystkie ciekawe szczegóły, posiadała listy, pisane później przez cesarza do pani Walewskiej, wówczas, gdy miał już pewność, że zostanie ojcem. Nazywał ją to *drogą Maryą*, to *Panią* i zalecał jej *bardzo się szanować*, raczej rozkazującym, niż czułym tonem. Widać było, że więcej troszczył się o dziecko, niż o matkę. Nie tak to pisywał niegdyś do Józefiny.

Pojawił się romans *Corynna*; ponieważ narobił on wiele hałasu, przysłano go z Paryża do głównej kwatery. Przybył on w nocy z mnóstwem depesz, które natychmiast oddano cesarzowi.

Przejrzawszy najważniejsze z tych listów, Napoleon rzucił okiem na romans i kazał obudzić Talleyranda, aby mu go przeczytał.

— Kochasz tę kobietę — powiedział do niego — zobaczymy, czy ma ona zdrowy rozsądek.

Posłuchawszy pół godziny, zniecierpliwił się.

— Ależ tam niema uczucia, to kupa frazesów, przewrócona głowa. Czyż nie widzisz, że ona sądzi, iż kocha tego Anglika, Marego, dlatego, że jest zimny i obojętny?... Połóż się spać... to czas stracony. Zawsze, gdy autor uosabia się w swojej pracy, dzieło nic nie warte... Dobranoc.

Nazajutrz dał *Corynnę* księciu Bassano, który mi ją przysłał, sądząc, że my nie mamy jeszcze w Warszawie tej książki.

Starannie przechowywałam ten egzemplarz, który stał się historycznym.

Wkrótce po mojej chorobie posłaniec przywiózł wiadomość o bitwie pod Eylau; śpiewano *Te Deum*, chociaż stracono trzydzieści tysięcy ludzi. W Petersburgu również panowała radość i składano dzięki Opatrzności, która pozwoliła, że plac boju wydzierano sobie długo i krwawo. Uchodziło to za zwycięstwo...

Potem miałam list ¹⁾, który mię upewnił o losie

¹⁾ Od pana Flahault.

tych, co mię obchodzili. Zawierał on więcej pytań o moje zdrowie, aniżeli szczegółów bitwy. Mówiono mi tylko, że walka była śmiertelna, że nieprzyjacieli stawiał silny opór i że trzeba było mieć wyjątkowe szczęście, aby uniknąć wielu kul i granatów, jakie padały przez długie godziny trwania bitwy. To wyjątkowe szczęście przypisywano pewnej wstędze różowego koloru, której przyznawano własność chronienia przed wszelkiem niebezpieczeństwem. Radzono mi nawet, abym ubierała moją córkę w tę barwę, przyznając jej pierwszeństwo nad innemi, gdyż przekonano się, że przynosiła ona szczęście; ale Natalia poślubiła kolor błękitny.

Podczas krótkiego pokoju, jaki nastąpił po bitwie pod Eylau, przybyło do nas z głównej kwatery wielu oficerów. Panowie ci pod różnemi pozorami przybywali trochę się odświeżyć i obejrzeć przedmioty swych uczuć, gdyż prawie wszyscy zrobili wybór, i muszę na nieszczęście przyznać, że niewielu z nich trafiło na okrutne. A jednak te, co się takimi okazały, wzbudziły uczucie daleko trwalsze i bardziej rycerskie... Było nawet kilka małżeństw, ale mało; ówczesni Francuzi nie mieli czasu zakładać domowego ogniska.

Wśród znajomych, którzy do nas wrócili, znajdował się książę Borghèse, rozpromieniony swoim wojskowym powodzeniem. Ponieważ był on dopiero

pułkownikiem, a cesarz chciał go posunąć z pewnym pozorem sprawiedliwości, pchnięto jego pułk w małą utarczkę, w której było więcej sławy do zyskania, niż rzeczywistych niebezpieczeństw. Pułkownik był bardzo dumny, że po raz pierwszy dobył szabli i zupełnie poważnie mówił do spotkanego u mnie pana de la Vaugivon:

— Niechże pan powie hrabinie, jakem dobył swej *szabli!*...

Ten wielki czyn wojenny wciągnięto do biuletynu, ogłoszono z pompą, a wkrótce po bitwie, jego cesarska wysokość otrzymał w nagrodę swych zasług gubernatorstwo Turyńskie, gdzie odpoczywał przez całe życie po trudach wojny, nie mając innych trosk nad liczne i *sluszne* niepokoje, jakie mu sprawiała księżna, jego żona.

VII.

T y l ż a.

Rozdanie sztandarów trzem legionom polskim.—Księżę Poniatowski.—Zwycięstwo pod Frydlandem.—Hrabia Stanisław Potocki podczas spotkania w Tylży.—Łzy królowej pruskiej.—Zręczność Aleksandra.—Uczta.—Utworzenie Księstwa Warszawskiego.

Wzięto się z takim zapalem i z taką gorliwością do uorganizowania armii, że już była gotowa wkrótce po wyjściu Napoleona do Warszawy.

3 Maja 1807 roku trzy legiony, utworzone jakby za dotknięciem różdżki wielkiego czarodzieja i zapalu powszechnego, otrzymały swoje orły i sztandary.

Widziałam od tej pory wiele okazałych występów; byłam obecną przy najwspanialszych uroczystościach; brałam udział w radości z tryumfów i patrzyłam z upojeniem na niejedną apoteozę; ale nie pozostawiło we mnie tak głębokiego wrażenia, jak to, które uniosłam z tego wielkiego obrzędu, odbytego na placu Saskim. Wokoło ołtarza, w po-

ważnym stylu wzniesionego na środku placu, cisnęło się to wojsko młode i dumne, słuchające ze skupieniem mszy, odprawianej przez arcybiskupa.

Nic niema piękniejszego i bardziej godnego poważania nad uniesienie patryotyzmu, połączonego z wiarą i ze sławą.

W chwili błogosławienia przyniesiono sztandary przed wysokich dygnitarzy, którzy mieli, według dawnego obyczaju, wbić w nie gwóźdź.

Księżę Poniatowski w charakterze naczelnego dowódcy przewodniczył temu obrzędowi. Nigdy twarz szlachetniejsza nie wyrażała z większą wspólnością blasku urodzenia, odwagi i wielkomyślności. To też słowa nie mogą oddać wrażenia, jakie wywarł, kiedy oddając tej pięknej armii jej nowe chorągwie, przemówił do niej, odwołując się do uczuć honoru, jakich był przedstawicielem.

Księżę pragnął, aby panie nie były obce aktowi, który im przygotowywał tyle okropnych niepokojów i gorzkich żalów. Cała młodzież pobiegła do wojska i nie było matki, nie było żony lub siostry, któraby nie drżała o kogolwiek ze swoich. I my zatem miałyśmy zaszczyt wbić gwóźdź w te sztandary, przez nas haftowane.

Ponieważ wojna wciąż trwała, oczekiwano, żeby armia polska otrzymała rozkaz niezwłocznego wyruszenia.

Wiele serc biło w tem oczekiwaniu, jedno nadzieją, inne obawą; kiedy dzieci nie mogły powstrzymać radości, matki rozpaczały.

17 Czerwca, kurier wysłany, jak zwykle, z pola bitwy, przyniósł wiadomość o zwycięstwie pod Frydlandem, które zdecydowało o pokoju. Cesarz udał się do Tylży, aby ułożyć i ustanowić warunki, na jakich zezwoliłby na podpisanie pokoju.

Nie będę wiele mówiła o tem sławnem spotkaniu. Ale wiem od mego teścia, hrabiego Stanisława Potockiego, kilka ciekawych i mało znanych szczegółów. Wezwano hrabiego do Tylży, aby tam zredagował pod okiem Napoleona poprawki stosowne lub *konieczne* w konstytucyi 3 Maja ¹⁾, którą chciał nam nadać z formami mniej więcej cesarskimi.

Wielu ludzi myślało, że rozgłos, jaki cesarz starał się nadać temu aktowi, stanowił niby straszidło, mające przerazić wyobraźnię cesarza Aleksandra, któremu Napoleon ukazywał zawsze Polskę, jako widmo groźne, co wcześniej czy później, rzuci swój całun i upomni się o swe prawa.

Spotkanie w Tylży było z pewnością jedną z najświetniejszych chwil w panowaniu cesarstwa. Król pruski z królową przybyli z błaganiami. Za-

¹⁾ Konstytucja ta, wzorowana na konstytucyi angielskiej, była ostatnim przejawem życia politycznego Polski.

(Przypisek autorki.)

wdzięczali Aleksandrowi zachowanie ich królestwa, które było blizkie zniknięcia z listy narodów, czego myśmy sobie życzyli z całej duszy.

Piękna królowa chciała jakoby upaść na kolana; Napoleon pośpieszył podać jej rękę i zaprowadził ją do apartamentów.

Dwaj monarchowie towarzyszyli mu w milczeniu... Królowa, odwoławszy się cicho do wspamiętaności zwycięzcy, uciekła się do łez. Napoleon wydawał się wzruszonym tym dowodem pokory i boleści, nie mógł jednak powstrzymać się od oświadczenia dostojnej panującej, że zapamiętał skutki jej *bezsilnej* nienawiści i ubierając tę wymówkę w najgrzeczniejszą formę, powiedział jej, że widząc ją, nie dziwił się już licznym nieprzyjęciom, jakich na niego podburzyła, i zaciekleści, z jaką Niemcy powstały przeciwko niemu. Aleksander, czując konieczność zmienienia biegu rozmowy, która zaczęła stawać się niebezpieczną, odparł z tą zręcznością, która była jedną z najważniejszych cech jego charakteru, że wszystkie jej usiłowania zostały bez skutku z powodu geniuszu tego, przeciwko któremu były skierowane, przyznając skromnie, że ten tylko może chcieć mu się opierać, kto go nie zna.

Tak się skończyło to pierwsze spotkanie, po którem nastąpiła królewska uczta. Na tę uroczystość królowa zdjęła żałobę, a przywdziała dyadem i pur-

purę, które nosiła z rzadką godnością. Cesarz poprowadził królowę do stołu i umieścił ją po prawej ręce. Łącząc z dużym dowcipem przyzwyczajenie mieszania się do najważniejszych spraw, postanowiła ona pozyskać sobie tego, w ręku którego spoczywały losy państwa Pruskiego.

Przy pożegnaniu, Napoleon, oczarowany ujmującym zachowaniem Aleksandra — którego nazywał najpiękniejszym i najręczniejszym z Greków, i żalącą pięknnością królowej, zrobił jej dar ze Szlązka, przekreślając *jednem posunięciem* pióra punkt traktatu, na mocy którego prowincję tę odłączono już od Prus; tej hojności zwycięzcy Talleyrand wcale nie pochwalał.

Co do króla pruskiego, jego nicość kazała mu milczeć. Podjął wojnę, aby zadowolnić ambitne pragnienia królowej, zawarł pokój szczęśliwy, że wróci do swych ciasnych przyzwyczajzeń, nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, coby mógł stracić lub zyskać.

Z tych wszystkich układów wypłynęło dla nas tylko utworzenie skromnego Księstwa Warszawskiego. Było to mniej, niż wróżyły nam nasze nadzieje i nasze wysiłki. Ale myślano o przyszłości, aby wytrwać w teraźniejszości.

VIII.

Marszałek Davout.

Marszałek Davout, gubernator Warszawy. — Marszałkowa. — Anatol Montesquiou. — Jenerał Picard. — Książę Murat i jego liberya. — Odjazd p. F... — Jego list. — Zakończenie wspomnień dzieciństwa. — Śmierć pani Krakowskiej (1808).

Cesarz wrócił do Francyi, ażeby się nacieszyć upojeniem, jakie zrodziła wojna pruska, tak krótka, a tak świetna. Jeszcze się nie znużono zwycięztwami. Zostawił nam marszałka Davout, który objął rządy miasta i miał wpływ polityczny, na jaki mu pozwalały jego dosyć szczupłe środki. Był to, bądź co bądź, jeden z najlepszych ludzi w armii. Można przypuszczać, że Napoleon, znając nawskroś wszystkich swoich marszałków, wyznaczył tego, gdyż był pewien zarówno jego poświęcenia, jak i moralności. Nie chciał na rabunek wydać kraju, którym w przyszłości mógł się posłużyć, jako potężną tamą przeciw swym nieprzyjaciółom.

Za dobrze zrozumiał on w tym krótkim prze-

ciągu czasu olbrzymie liczne korzyści, jakieby mógł wyciągnąć z narodu, zawsze gotowego do najenergiczniejszych wysiłków (i do największych poświęceń od chwili gdy mu ukazywano, że mógłby odzyskać swą niezależność), aby sobie nie zachował tej potężnej dźwigni w razie potrzeby.

Marszałek otrzymał zatem rozkaz oszczędzania, bawienia nas i pochlebiania nam. Sprowadził on swoją żonę, aby utrzymywać dom na wielkiej stopie, i otrzymał jako uposażenie, Księstwo Łowickie.

Marszałkowa ¹⁾, surowa piękność, była kobieta niepospolitą. Wychowana u pani Campan ²⁾, nabrała tam dystygowanych manier, jak również tonu dobrego towarzystwa, na czym zbywało jej mężowi, ale nie dała się ona lubić, gdyż była niezbyt przyjemna. Mówiono o niej, że dręczyła się nieustanną zazdrością o przelotne miłostki marszałka, który, jak i wszyscy Francuzi, szalał za Polkami i wydawał się skrepowanym obecnością swej żony, gdyż miał on nadto jakąś Francuzkę, o której twierdzono, że była kropla w kroplę podobna do marszałkowej i dzięki

¹⁾ Amancya Leclerc, siostra generała Leclerc'a, pierwszego męża Pauliny Bonaparte.

²⁾ Pani Campan, ur. 1752, zm. 1822 r. Była słynną wychowawczynią. Napoleon mianował ją przełożoną instytutu dla córek i krewnych członków legii honorowej w Ecouen. Z licznych jej pism najważniejsze są: „Pamiętniki o życiu prywatnem Maryi Antoniny“, oraz „Rady dla panien“ (Conseils aux jeunes filles).

tym prawnym pozorom, jeździła za armią, ku wielkiemu niezadowoleniu cesarza.

Wszystkie te okoliczności, razem wzięte, sprawiły, że księżna niewiele się troszczyła, aby dom swój uczynić przyjemnym, i że jej małżonek szukał rozrywek gdzieindziej.

Sztab marszałka nie obfitował w osobistości godne uwagi. Pan Anatol Montesquiou, wtedy jeszcze bardzo młody, był jedynym z adjutantów, którego widywaliśmy z przyjemnością; jego wykształcenie odpowiadało jego nazwisku.

Pomiędzy generałami, znajdującymi się w tym korpusie, jeden tylko naprawdę był znakomity i dziwił mnie, że nie mówiono o nim więcej, gdy jego wyższość nie ulegała wątpliwości. Generał Ricard, niegdyś przyjaciel i towarzysz Napoleona, ściągnął na siebie jego niełaskę, zachowawszy wierność dla Moreau, pod którym służył i dla którego miał gorący zachwyt. Nie starał się bynajmniej ukrywać swych uczuć w chwili, gdy Moreau opuścili wszyscy. Ta szlachetna i odważna wierność nie przeszkadzała mu zupełnie oddawać głośno sprawiedliwości geniuszowi i wielkim talentom Napoleona, którego, być może, czczył mniej jako cesarza, niż jako głównodowodzącego, kiedy Bonaparte, podbiwszy Włochy, zadziwiał świat swoją wielką zręcznością.

Generał Ricard zaćmiewał swych towarzyszków,

choć wogóle byli to ludzie przyjemni. Ówczesni Francuzi namiętnie lubili się bawić i wszystko robili z zapalem. Grywano komedye, tańczono, urządzano szlichtady.

Trzeba było korzystać z tej chwili wypoczynku; pokój za Napoleona zawsze był tylko krótkim zawieszeniem broni, którego używano, aby odpocząć i odświeżyć się, a potem za pierwszym wezwaniem tem ochotniej rzucić się do broni. Nie wszystkim dostał się los jednakowy, wielu smutnie spędziło zimę w obozach na Szlązku. Pan F... znalazł się w ich liczbie. Gdy książę Murat wymyślił, aby swych adiutantów ubrać w kolory swej liberyi, tworząc rodzaj uniformu *fantazyjnego*, pan F... ściągnął na siebie jego niełaskę, przyłączywszy się do tych, co nie chcieli przywdziać tej liberyi; wolał być odesłanym do swego pułku, w chwili, gdy książę powracał do Paryża, z czołem ozdobionem laurami, gotów już otrzymać koronę.

Oporny oficer napisał do mnie i opowiedział mi swoje nieszczęście. Oznajmiał, że wcale nie pragnął wrócić do Paryża i że odwoła się do marszałka Davout, aby otrzymać pozwolenie przepędzenia jakiegoś czasu w Warszawie; w razie gdyby marszałek odmówił, pan F... był zdecydowany tajemnie przyjechać, jeśli tylko, jak mówił, jedyna władza, której się poddawał bezwzględnie, nie zechce mu tego zakazać

i jeśli się upewni, że tym, których pragnął widzieć, nie będzie się to niepodobało.

List ten przeraził mnie. Robiłam szczerę usiłowania, aby wygnać z mej pamięci uczucie tak niebezpieczne; spostrzegłam, że budziło się ono w groźny sposób. Na szczęście, przybyła moja przyjaciółka ¹⁾). Pokazałam jej list, udając, że nie biorę do siebie zawartych w nim domyslników. Przypisywałam podróż pana F. bardzo naturalnemu pragnieniu rozerwania i zabawienia się. Bardzo żywo wzięłam w obronę tego, którego nikt nie napadał.

Moja przyjaciółka pozwoliła mi mówić i nie sprzeciwiała mi się; ale gdy spostrzegła, że się uspokoila, spojrzała na mnie przeciągle i odwołując się do mojej szczerości, zapytała mię tylko, czy rzeczywiście nie miałam najmniejszej wątpliwości co do celu tej podróży. Dodała, że gdybym dała swoje przyzwolenie, z góry już podpisałabym swą porażkę.

Odpowiedziałam żartami na podstępny list i uczyniłam to tak dobrze, że oddaliłam wszelką myśl zbliżenia.

W kilka miesięcy potem zawezwano pana F. do Paryża wskutek starań pewnej osoby bardzo wysoko położonej, która kochała go oddawna, czego on się nie domyślał.

¹⁾ Sobolewska.

Sztafeta, przysłana przez moją matkę, znajdującą się w Białymstoku, wkrótce zmieniła bieg moich myśli. Oznajmiono mi, że pani Krakowska, będąc bardzo chora, wyraziła życzenie ujrzenia nas, aby nas pobłogosławić raz jeszcze. Natychmiast wyjechaliśmy. Znajduję w moich papierach wyjątek z dziennika, który pisałam w 1808, w czasie, kiedy jeszcze nie myślałam opowiadać swych wspomnień. Wiernie go opisuję.

Białystok, 9 lutego 1808.—Otóż jestem w tym zamku, gdzie spędziłam tyle lat szczęśliwych i spokojnych. Na każdym skraju odnajduję jakieś wspomnienie i czuję żal. Uczucie to jest jednocześnie miłe i przykre... wszystko minęło!... wszystko więc minie!

Widzę tę ukochaną ciotkę; drzę o jej życie. Po raz pierwszy stanęła przedemną śmierć. Ten pokój tak smutny i ciemny, te ustawiczne łkania i ten niemy przestrah, uczyniły na mnie wrażenie, którego nic nie zatrze.

Biedna Amelia ¹⁾ płacze gorąco i słusznie, ona ją tak kochała! Reszta rodziny zachowuje się tylko przyzwoicie.

10-go rano. Nie mogłam zamknąć oczu... a może być, że jutro będę żałowała tej nocy, która mi się wydawała tak długa! Przynajmniej jeszcze teraz żyję!

¹⁾ De Bassompierre.

Dzisiaj rano przygotowano ją do moich odwiedzin. Zdawało się, że wiadomość o naszym przybyciu ożywiła ją. Około południa przyszedł po nas lekarz. Mój Boże! jakże ja mogłam zbliżyć się do niej z odwagą, uśmiechać się, mówiąc do niej, i nie rozpląnąć się w łzach, kiedy dała mi rękę do ucałowania?

— *Nie mam siły wypowiedzieć ci, jak cię kocham!*— powiedziała do mnie głosem bardziej wzruszonym, niż gasnącym. Później mówiła mi o moich biednych dzieciach, o których nie pomyślałam od dwóch dni. Ponieważ mąż mój nie zbliżył się, nie widziała go z powodu ciemności, panującej w tej obszernej komnacie, obitej pąsowym adamaszkiem ze złotymi szlakami. Powiedziała mi, abym go przywołała, i chociaż wydawała się zmęczoną, zastanowiwszy się przez chwilę, uściśnęła mu rękę i głosem dość silnym rzekła:

— Powierzam ci wszystko co mi drogiego zostało w świecie: twoją żonę i jej matkę. Szczęściem ich zajmuj się zawsze.

Dała znak, aby się oddalono, ale zaraz mnie przywołała i patrząc na mnie z niewymowną dobrocią tym wzrokiem świętej, który był jej właściwym podczas choroby, rzekła:

— Wywieź ztąd swoją matkę, usuń ją, zaklinam cię; co za widok dla niej!

A gdy starałam się dodać jej otuchy, oznajmiając, że nie wyjedziemy, aż ona zupełnie wyzdrowieje, potrząsnęła głową, błogi uśmiech wykwitł na jej wargach i wyciągnawszy do mnie rękę, dodała:

— Nie masz nawet wyobrażenia jaką pociechę mi sprawiasz, zwracasz mi spokój, a ponieważ zdecydowałaś się na to, zostań jeszcze kilka dni, to nie potrwa długo. Teraz umrę spokojnie, tak się dręczyłam o twoją biedną matkę.

Widząc, że jest zupełnie spokojna, spróbowałam mówić jej o rozmaitych rzeczach, o których myślałam, że mogą ją zająć. Słuchała mnie z uwagą.

Jestem cały dzień w jej pokoju, lub w przyległym gabinecie. Nie płaczę i nawet zaczynam się przyzwyczajać do tego smutnego widoku; ze staraniami, jakimi otaczamy ukochaną osobę, łączy się jakaś słodycz, wobec której milkną wszystkie inne uczucia. Będę jej towarzyszyła aż tam, gdzie się kończy życie. Ta dusza, tak czysta, da mojej powność, której tak potrzebuję.

Właśnie odbyła spowiedź i przyjęła Sakramenta Św. Nie mogłam znieść przygotowań do tej ceremonii. Ale ona z jakimże spokojem do niej się przygotowywała! — Możliwe powiedzieć, że to jakaś biesiada, której oczekuje z niecierpliwością. Wcale nie żałuję życia, a jednak wydaje się czasem, że ma fizyczny

strach wobec śmierci i odpycha myśl zniszczenia. Jednak to bardzo trudno jest umrzeć...

12-go wieczorem. Czyż to podobna, ażeby do wszystkiego przyzwyczaić się można? Nie czuję się już ani tak smutną, ani tak oszłomioną; może to dlatego, że nadzieja zaświtała w moim sercu. Niepodobna pogodzić się z myślą utracenia drogich nam — i zaledwie niebezpieczeństwo się oddaliło, zdaje się nam, że już nie istnieje. Miała jedną noc znośną i przyjęła trochę pożywienia. Lekarz jednak niema miny pocieszającej, uważa, że ma się bardzo źle. Ale zapewniają, że lekarze często się mylą. Zaczyna ją zajmować wszystko, o czem mówią. Mój Boże, jakże jestem szczęśliwa, widząc ją uśmiechającą się! Ta chwila jest, być może, jedną z tych, o których zachowam najmiłsze wspomnienie. Czuję się kochaną i potrzebną. To zachęca do życia. Mówię: *zachęca* nie dlatego, abym była zmęczona istnieniem, ale rozumiem, że przywiązuje się do niego wagę wtedy tylko, gdy się jest *konieczną* dla szczęścia innych.

13-go w południe. Ma się bardzo źle! Noc przepędziła straszną; słabnie widocznie i mówi tylko wtedy, gdy koniecznie potrzebuje; ale jest zupełnie przytomna, wszystkich poznaje.

Poczta nie przyszła i nie mam żadnych wiadomości o moich dzieciach — w każdej innej chwili byłabym niespokojną i zrozpaczoną, gdyż moja teścio-

wa przyrzekła nam pisywać przez wszystkich kuryerów. Dzisiaj nie pozwalam sobie myśleć o niczem, co mię wiąże z życiem w tym pokoju, gdzie wszystko mówi o śmierci, rozłączeniu, wieczności.

Kiedy jestem w jej pokoju i słyszę jak dzwoni ten zegar Boule'a, drzę mimowolnie na myśl, że wydzwoni on wkrótce okropną godzinę!

O północy. — Niema już nadziei. Od dwóch, czy trzech godzin miała straszliwe męczarnie!

Nie mogła sobie znaleźć miejsca, aby złożyć głowę. Od czasu do czasu pytała słabym głosem, czy noc jest jasna i czy dużo jest gwiazd!... Kiedy zbliżyłam się, aby pocałować jej rękę, znalazłam ją zupełnie zlodowaciałą. Podniosłam ją łagodnie, aby położyć sobie na czole. Myślę, że mnie zrozumiała i błogosławiła; później powiedziała mi pocichu, abym odeszła i nic do niej nie mówiła. Myślę, że się modliła.

Okropnie jest patrzeć, jak cierpiała... Czyż to taka śmierć sprawiedliwego? — Teraz zasnęła, a lekarz zapewnia, że dożyje do jutra rana. Mój Boże! co za straszna noc!

14-go. — Wszystko skończonę! skonała około drugiej godziny. Skon jej był łagodny, jak jej życie, a twarz jej zachowała ten wyraz dobroci, który ją czynił tak drogą. Na kilka minut przed śmiercią

jeszcze mówiła. Ogień dogasał, nie kazała dokładać drzewa, pragnąc zupełnego milczenia i spokoju.

Spostrzegłszy, że jedna z jej kobiet płacze, podała jej swoją chustkę, dając jej znak, aby nie mówiła. — Pytała bardzo często, czy noc jest piękna — biedna, święta, myślała o swojej *podróży*. Wydawała się śpieszyć z opuszczeniem ziemi, co chwila pytała o godzinę. Około drugiej spokojnie zasnęła i już się nie zbudziła!...

Ponieważ lekarz zapewnił moją matkę, że chora nie była jeszcze bliską śmierci, odeszliśmy, aby trochę odpocząć, o czwartej godzinie zbudził mnie głos dzwonów, zadrżałam, ale nie śmiałam badać. Pobiegłam do mojej matki... Łzy nasze doniosły nam o tem, o co bałyśmy się pytać.

17-go. — Jutro wyjeżdżamy. Nigdy więc już nie zobaczę tego pokoju, w którym piszę i który zamieszkiwałam w najpiękniejszych latach mego życia. Ja także przeżyłam już, być może, połowę swego. I dla mnie przyjdzie ta chwila, której się tak obawiamy! Ale ona mi pomoże, ona będzie czuwać nademną! Oby życie moje zasłużyło na taką opiekę!

20-go w Warszawie. — Oto jestem z powrotem. Czasami zdaje mi się, że prześniłam sen okrutny. Zwarzył on mi serce, rozczarował mnie do życia. Unikam śmierci — tylko moje dzieci są dla mnie miłe.

Przypisek. — W lat kilka potem spadkobiercy

pani Krakowskiej, do których należał Białystok, sprzedali tę wspaniałą posiadłość cesarzowi Aleksandrowi I, który kazał starannie utrzymywać zamek i zaciągnąć do szeregu cesarskich rezydencji.

Cesarz Mikołaj I zmienił zamek na pensjonat i kazał przenieść do Petersburga cudowne drzewa pomarańczowe. Znaczna część najstarszych między nimi zmarniała w ciągu długiej podróży.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

*1/11-92 r.
JHR*

Dotychczas wyszły:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tulące**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Wługa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psycholog'a rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księżtwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perełka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Rembowski*.
20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.

Tom.

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
24. Roman Pleniewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochrowicza*.
25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
30. Julian Ochrowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłmaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.

Anna hr. Potocka.

Pamiętniki.

TŁMACZYŁA

J. A.

Z PRZEDMOWĄ

Piotra Chmielowskiego.

TOM II.

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Swiat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Апрель 1898 года.

CZĘŚĆ TRZECIA.

PODRÓŻ DO FRANCYI

w roku 1810.

I.

Przedwstępne kroki do małżeństwa z Maryą-Ludwiką.

Śmierć hrabiego Tyszkiewicza, ojca hrabiny Potockiej. — Wyjazd do Wiednia. — Towarzystwo wiedeńskie. — Pałac de Ligne. — Dowcip księcia de Ligne. — Jego małżeństwo. — Hrabia Karol Damas. — Hrabina Palfy. — Wiadomości z Paryża. — Sprzeczki w arystokracji wiedeńskiej. — Przybycie Berthier'a. — List Napoleona do arcyksięcia Karola.

Tym, co piszą swoje pamiętniki, zbywa wogóle na szczerości względem czytelników. Prawie wszyscy spisują swoje wspomnienia zapóźno i układają je jednolicie. Słusznie, czy nie, ja zostawiłam swoim całą ich niedoskonałość i nie chciałam zacierać cech czasu. Jednem słowem, wcale ich nie przerabiałam. Znajdzie się tedy w nich przejście bardzo wyraźne i ostre odcienia, jakie zdarzeniom naszym nadają la-

ta. Wszystko, aż do różnicy pisma, potwierdza wiarogodność tych stroniec.

Tutaj można zauważyć pierwszą przerwę. Pochłonięta boleścią, jaką mi sprawiła wiadomość o nagłej chorobie mego ojca, straciłam z oczu wszelkie inne zajęcia i odrazu zdecydowałam się zażądać paszportu do Wilna. Zwłoka, doznana ze strony rządu rosyjskiego, pozbawiła mnie pociechy znalezienia ojca przy życiu i otrzymania od niego przynajmniej ostatniego błogosławieństwa. Przyjechałam zapóźno.

Powróciłam do Warszawy, ale tam już nie zastałam mojej matki. Od śmierci pani Krakowskiej zamieszkała w Wiedniu. Nie chcąc się prezentować u dworu, osiadła stale w Baden, pragnąc żyć tam nieznana. Całem jej towarzystwem była jakaś rodzińska szwajcarska, do której się przywiązała.

W samym środku dość ostrej zimy moja kochana matka zaprosiła nas, abyśmy ją odwiedzili w Baden. Po miesiącu, wyobrażając sobie, że robimy zbyt wielką ofiarę, wyrzekając się rozrywek stolicy, zmuszała nas, abyśmy resztę zimy spędzili w Wiedniu. Przyrzekała nam, że niezadługo przyjedzie tam za nami. Przyjęłam chętnie propozycję mojej matki, tembardziej, że męża mego zaczynała nudzić jednostajność naszego trybu życia.

Pałac książąt de Ligne był wówczas ogniskiem, około którego się gromadzili wszyscy znakomici cudzoziemcy. Ubiegano się o zaszczyt, ażeby być tam przedstawionym. Przyjęta z wyjątkową dobrocią i pobłażliwością, bawiłam się tam lepiej niż gdzieindziej. Ten skromny salonik, te słomiane krzesła, które brano z przedpokoju, jeśli ich brakło w salonie, te oszczę-

dne kolacye, których jedyną ozdobą była rozmowa, ta czarująca prostota, wszystko to zasługuje, abym się nad tem zatrzymała z upodobaniem, a niedopełnienie tego byłoby niewdzięcznością.

Sławny książę de Ligne, mający z górą siedm-dziesiąt lat, był jeszcze jednym z najdowcipniejszych i najbłyskotliwszych gawędziarzy swego salonu, nie-skończenie więcej zasługujący na uwagę ze względu na swoją rozmowę, niż na swoje dzieła. Pobłażliwy, łatwy, dobry, był ubóstwiany przez swe dzieci i kochał je dlatego, że były miłe; przywiązywał wagę tylko do tego, co służy do uprzyjemnienia życia, gdyż w dobrej wierze sądził, że przyszedł na świat *jedynie* tylko po to, aby się bawić. Jeśli w swojej młodości ubiegał się o sławę, to dlatego tylko, że obiecywała mu ona nowe powodzenia, że czasem wygodnie jest napisać miłosny bilecik na liściu wawrzynu. Posiadacz znacznego majątku, który roz-trwonił na różne sposoby, tak samo, jak i swoje życie, znosił ze stoicką wesołością niewygody, na jakie skazała go jego rozrzutność. Jego skromne słomiane krzesła, jego barani udziec, nieśmiertelny kawałek sera, dostarczały mu sposobności do tysiąca dowcipnych żartów, bardzo dobrze przyjmowanych. Można by powiedzieć, że na wesołości zyskał to, czego mu zbywało na majątku, i że na podobieństwo tego starożytnego wędrowca, co rzucił w morze swoje skarby, aby być szczęśliwym, chciał być biednym.

Księżna nie miała nic z tego, czego trzeba, ażeby być taką filozofką; zdawało się, że mąż i żona nie mówili tym samym językiem i nigdy nic sobie nie powiedzieli.

Księżna pochodziła z jednej z najdostojniejszych rodzin niemieckich, ale była uboga, jak wszystkie szlachcianki tego kraju i również pozbawiona wdzięku i dowcipu; niepodobna było pojąć, co zmusiło księcia do tego małżeństwa, tembardziej, że bynajmniej nie pochwalał sojuszków niemieckich. Jego starzy przyjaciele przytaczali zdanie, które mu się wymknęło, gdy po raz pierwszy zawiózł swoją młodą małżonkę do Brukselli, gdzie stał jego pułk. To zdanie maluje jego złośliwość i jego wyjątkową lekkomyślność. Gdy oficerowie zgromadzili się, aby być przedstawionymi księżnej, rzekł do nich:

— Jestem bardzo wzruszony, panowie, waszą uprzejmością, ujrzenie ją; uprzedzam was, że, niestety, nie jest ona zupełnie ładną, ale przynajmniej bardzo dobrą i łagodną, nikomu nie będzie zawadzać, *na wet mnie!*...

W czasach, o których mówię, bardzo już podeszła w wieku, łatwo wpadała w zły humor, ale nikt się tem nie niepokoił, było nawet w zwyczaju zostawiać ją przy jej dywanikach, a kiedy ona robiła najobrzydliwsze hafty, grupowano się około księcia i jego córek i rozmawiano wesoło, ze swobodą pełną smaku i wdzięku, jakiej gdzieindziej nigdy nie spotykałam. Według zdania ówczesnych Francuzów, rozmowa z salonów paryzkich, odkąd Rewolucya wygnała ją z mieszkań stolicy, gdzie niegdyś było jej ognisko, schroniła się do tego skromnego pałacyku. To pewna, że nie spotkałam w Paryżu tak miłego kółka; duch stronnictwa zepsuł tam ducha salonów. Z liczby codziennych gości, odwiedzających pałac de Ligne, przytoczę hrabiego Karola Damas, który trwa-

jąc uparcie przy emigracyi, z wszelką pewnością oczekiwał powrotu Burbonów. Zamieszkały od wielu lat w Wiedniu, raz tylko jeden wyjechał podczas tego, co nazywał *najazdem błękitnych*.

Zaledwie Francuzi opuścili miasto, powrócił, by, tak jak poprzednio, zamieszkać u swoich starych przyjaciół, ale z trudem zaledwie przebaczył księciu de Ligne, że przyjmował *zbląkanych współziomków*. Tak nazywał wszystkich, co się przyłączali do nowego rządu. Pełnemu dowcipu, ale podlegającemu dziwacznyemu kaprysom, przebaczano wszystkie jego szaleństwa, ze względu na szlachetny charakter i krańcowe dziwactwo. Słyszałam go używającego całej swej wymowy, aby dowieść, że wolno czasem przybierać *zły ton*, z warunkiem, żeby się nigdy nie miało *złego smaku* i dlatego uważał się upoważnionym do mówienia wszystkiego.

Myśleliśmy raz, że pomrzemy ze śmiechu, kiedy opowiadał nam najpoważniej w świecie, że druga z rzędu córka księcia de Ligne, hrabina Palffy, anioł cnoty i czystości, pobudziła go do zrobienia *złych znajomości*, wskazując mu mieszkanie najślawniejszych „nimf,” aby, jak mówiła, uratować opinię uczciwych kobiet, do których mógłby się zwracać. Tymczasem zaś podbródek, którego połowę zostawił przy oblężeniu Belgardu, i pięćdziesiątka biednego bohatera, były dostatecznymi rękojmiąmi.

Niezależnie od pałacu de Ligne, doskonale spędzało się czas u niektórych naszych rodaków. Jednym z najprzyjemniejszych domów, albo raczej z najwytworniejszych, był dom hrabiny Lanckorońskiej,

choć, prawdę mówiąc, pani domu pokazała się zbyt wielką austriaczką.

Pewnego wieczoru, kiedyśmy zgromadzeni koło herbatnego stołu, gwarzyli bardzo żywo o zaszłych wypadkach, ktoś przyszedł, oznajmiając, że przybył kuryer z Paryża. Wiedeń bardzo ucierpiał na pobycie Francuzów; był on jeszcze pod wrażeniem przykrych wspomnień, a tajemnica, kryjąca się w świeżo przysłanej depeszy, wywołała w mieście wzburzenie.

Z wyjątkiem kilku Polaków, zebranych w tym świetnym salonie, wszyscy zgromadzeni niecierpieli Napoleona niesłychanie. Najgwałtowniejszym, a zarazem najniebezpieczniejszym jego wrogiem, był bez zaprzeczenia korsykańin, Pozzo di Borgo ¹⁾, który sam jeden umiał lepiej mówić i nienawidzić, niż wszyscy Niemcy, obecni przy tej rozprawie. Słuchaliśmy jego przypowiedni, gdy oznajmiono hrabiego Rozumowskiego, ambasadora Rosyi.

Wszyscy pobiegliśmy na jego spotkanie i zarzuciliśmy go pytaniami. Wyraz jego twarzy nie dawał otuchy, wydawał się wzburzonym, brakło mu głosu. Dopiero po kilku chwilach przedwstępnego milczenia mógł nas zawiadomić, że tajemniczy kuryer, przyczyna obecnej trwogi, tylko o kilka godzin wyprzedził marszałka Berthier, którego misja nadzwyczajna miała na celu prośbę o rękę arcyksiężniczki Maryi-Ludwiki dla jego dostojnego pana. Nadto ten żołnierz-parweniusz, ten książę wczorajszy, był wyznaczony na to, ażeby mieć wielki zaszczyt repre-

¹⁾ Karol Andrzej hrabia Pozzo di Borgo (1764 — 1842).

zentowania cesarza i króla w tej pamiętnej okoliczności.

Ten rażący krok był skutkiem tajemnych układów, jakie zawarł i podpisał w Paryżu Metternich z upoważnienia i w imieniu cesarza Franciszka. Książę Neufchâtel znalazł na granicy jednego z największych panów kraju, księcia Pawła Esterhazy'ego ¹⁾.

Te szczegóły, opowiedziane z gorączkowym gniewem, musiały być prawdziwe. Możliwy powiedzieć, że piorun, padłszy na drut elektryczny, stał na prochu jednostki, cisnące się około pana Rozumowskiego. Niebawem przyszła reakcja; po chwili milczącego osłupienia, w całym salonie rozległ się jednogłośny krzyk oburzenia. Krzyczano na nieprzyzwoitość i poziołość związku, oddającego w moc *najniegodziwszego przywłaszczyciela* pierwszą księżniczkę w Europie.

Były tam tylko stłumione przekleństwa i łkania. Panie podostawały nerwowych ataków, panowie pozwalali sobie przejść stopniowo od oburzenia do wściekłości. Krzyczano, że nie można już spodziewać się sprawiedliwości na tym świecie. Kobiety mówiły, że potrzeba chyba opuścić Europę i osiedlić się w Ameryce. *Najczulsze* zapewniały, że młoda księżniczka tego nie przeżyje i że taka profanacja nie spełni się. Inne przypuszczały, że Napoleon oszaleje z radości i że niebo na to chyba dopuści ten skandal, ażeby z tem większej wyżyny zdruzgotać nowożytnego Nabuchodonozora.

¹⁾ Książę Paweł Antoni Esterhazy galantha (1786—1866) reprezentował Austrię, jako ambasador, po kolei w Dreźnie i w Londynie.

Ja byłam spokojna wśród tej burzy. Nagła myśl owładnęła moją wyobraźnią.

— Jakby to było zajmującym—pomyślałam—pojechać teraz do Paryża, aby przyjrzeć się temu światnemu mezaliansowi.

Resztę wieczoru spędziłam na rozbieraniu tego projektu i wróciwszy do siebie, zwierzyłam się z nim natychmiast memu mężowi.

Na nieszczęście, nie zajmowało go nic, co go odrywało od zwykłych zajęć; pragnął wrócić do Polski. Chociaż nie zbijał mojego żądania, które w gruncie rzeczy było dopiero marzeniem, napisał do swoich rodziców, a ci pospieszyli przysłać mi nietylko stanowcze zezwolenie, ale dołączyli do niego instrukcje, dotyczące pewnej ważnej sprawy, której miałam dopilnować.

Nazajutrz po tem burzliwym zebraniu zgromadziły się o tej samej godzinie te same osoby w tem samem miejscu, gdyż wciąż jeszcze ostro ganiąc to, co się działo, umierano z żądzę poznania najmniejszych szczegółów. Łatwo zrozumieć, że nie opuściłam tego zebrania.

Książę Esterhazy zawiózł ambasadora do cesarskiego pałacu, gdzie wbrew przyjętemu zwyczajowi i etykiecie, mieszkanie było dla niego przygotowane. Aby oficjalnie wjechać do miasta, musiał przejść przez most, zbudowany naprędce na ruinach szaniec, które przy odejściu zburzyła armia francuska. Tego samego dnia marszałek był przyjęty u cesarza Franciszka na osobnej audyencji i dokonał uroczystej prośby o rękę.

Zaraz potem ambasador oddał arcyksięciu Ka-

rolowi własnoręczny list cesarza Napoleona, który upoważniał tego księcia do zaślubienia w jego imieniu arcyksiężniczki. Miałam wiele trudu z wystaraniem się o kopię tego listu, bądź co bądź posiadałam ją. Oto ona:

„Kochany Panie Kuzynie!

Winienem podziękować Waszej Cesarskiej Wysokości, że zgadza się na reprezentowanie mnie przy zaślubinach arcyksiężniczki Maryi Ludwiki. Wasza Cesarska Wysokość wie, że mój dawny szacunek oparty jest na jego wysokich zaletach, zarówno jak na jego wielkich czynach. Pragnąc niezmiernie dać mu jawny tego dowód, proszę go o przyjęcie wielkiej wstęgi Legii honorowej, jak również krzyża tegoż orderu, który zawsze sam noszę i którym jest ozdobionych dwadzieścia tysięcy żołnierzy, odznaczonych na polu bitwy.

Pierwsza z tych oznak jest hołdem dla twego geniuszu, jako generała, a druga dla twojej waleczności, jako żołnierza...”

Na trzeci dzień przystąpiono do spisania kontraktu cywilnego i wypłacenia posagu, wyznaczonego od niepamiętnych czasów arcyksiężniczkom. Posag ograniczał się do pięciuset tysięcy franków w zlocie.

11 Marca (1810) odbyła się w kościele Augustyanów ceremonia religijna, po niej nastąpiła uczta cesarska, na której był obecny ambasador, wbrew etykiecie dworu wiedeńskiego, nie dopuszczającej w żadnym razie cudzoziemców na *uroczystości rodzinne*.

II.

Pan Narbonne.

Pantofelek Maryi Ludwiki. — Pan Narbonne u księcia de Ligne. — Opiekun. — Przybycie do Monachium. — Kąpiel. — Celadon. — Hrabina wyjeżdża sama do Strasburga.

Gdy się to działo, przybył hrabia Ludwik Narbonne w charakterze ambasadora nadzwyczajnego, aby towarzyszyć, albo raczej poprzedzać młodą cesarzową, czuwać nad zwykłym w takich razach ceremoniałem i *w niczem* nie odstępować od tego, jaki zachowywano od przyjazdu Maryi Antoniny.

Niezbyt uposażona od natury, Marya Ludwika miała tylko zadziwiająco piękną nogę. Anatol Montesquiou, wysłany kurierem do Napoleona, aby mu oznajmić o zawarciu ceremonij małżeńskich, jak również o dniu naznaczonym na wyjazd dostojnej narzeczonej, otrzymał tajemnie od pana Narbonne polecenie pokazania jego cesarskiej mości pantofelka księżniczki, jako portretu. Ta grzeczność w zupełnie nowym rodzaju miała na dworze francuskim wielkie powodzenie. Twierdzono nawet, że Napoleon

przycisnął do serca ten pierwszy zakład miłości, niestety, ulotnej.

Rzucony między arystokrację austriacką, aby swojemi manierami wielkiego pana i zachowaniem się dworaka równoważyć pospolitość i szorstkość Berthier'a, hrabia Narbonne był przyjmowany z wyróżnieniem.

Widywałam go codziennie w pałacu de Ligne, gdzie założył swoją, jak ją nazywał, główną kwaterę. Tam, zaznaczając swoją godność ambasadora nadzwyczajnego, zabawiał nas często kosztem *wysokich osobistości*, z któremi miał stosunki, a które w głębi duszy oburzone na to, co się działo, nie wiedziały dobrze, jak się zachować, aby nie sięgnąć na siebie otwartej nagany.

Jako starzec niezmiernie miły, miał on za swojej młodości świetne powodzenie na dworze francuskim. Porwany przez Rewolucję, zdawał się dobrowolnie łączyć z cesarskim rządem i ubiegał się o sławę mniej błahą, ale również mniej łatwą do zdobycia.

Zatwierdzony ministrem wojny przez Ludwika XVI, utrzymał się na tem wysokiem stanowisku zaledwie przez trzy miesiące. Umiarkowani rojaliści obwiniali go o angłomanię, twierdząc, że nie należy zezwalać na wpływy cudzoziemskie. Z drugiej strony kluby obwoływały go ze wściekłością za wroga Rewolucyi i Jakobinów. Schronił się do Szwajcaryi i pośpieszył popłynąć do Anglii, gdzie się dowiedział o śmierci Robespierre'a. Był jednym z pierwszych, co głosowali za wywyższeniem Napoleona po jego powrocie z Egiptu.

Hrabia Narbonne należał do tych ludzi, szczo-

drze obdarzonych, ale przechodzących przez dzieje bez zajmowania zaszczytnego miejsca, jakie mogłyby im zapewnić ich talenta. Niepospolity w sprawach wojskowych, zręczny dyplomata, posiadał wszystko, aby odegrać ważną rolę w tych burzliwych czasach.

Sława Napoleona oczarowała go, a od chwili, gdy ujrzał swoją ambicję zaspokojoną, swoje sprawy uporządkowane, swoje długi spłacone, przywiązał się do zwycięzcy. Słyszałam nawet, jak niejednokrotnie twierdził, że Napoleon posiadał nie tylko niezwykle geniusz, ale *nawet dużo dowcipu*. Było to bezporównania więcej, niż mu przyznawały piękne panie wiedeńskie. Zdarzyło się, że byłam obecną przy dyskusji, która miała przekonać faktami wrzekomo *pewnemi, że potwór był tchórzem* i że wkrótce stanie się on idyotą, gdyż cierpiał na wielką chorobę.

Naprzekór tym śmiesznym potwarzom i wciąż pozwalając sobie na najniedorzeczniejsze manifestacje, wielcy panowie austriacy roztaczali z okazji zaręczyn przepych i świetność, jakich przedtem nie widywano. Miliony, któremi szafował Napoleon, żeby jego przedstawiciel mógł sprostac temu dziezicznemu zbytkowi, nie potrafiły zetrzeć nowożytnego pokostu, stanowiącego cechę każdej nowej dynastii.

Powracam do pana Narbonne, odgrywającego pewną rolę w moich wspomnieniach, gdyż był opiekunem, któremu powierzył mnie mój mąż. Po przybyciu do Paryża miał mnie on odwiedzić do mojej ciotki, hrabiny Tyszkiewiczowej, od wielu lat zamieszkałej w stolicy, na opuszczenie której nie mogła się zdecydować.

Oczekiwaliśmy z wyjazdem tylko na ceremonię zaślubin.

Poszłam do mojej matki prosić ją o błogosławieństwo i pożegnać się z nią. Zdziwił ją ten nagły wyjazd, ale nie ganiła go, dowiedziawszy się, że mąż mój i jego rodzice nie tylko nie stawiali mi w tem przeszkód, ale mnie nawet do niego zachęcali.

Złatwiłam się ze swemi przygotowaniami do podróży bardzo prędko. Wyjechałam w dniu oznaczonym, poprzedzana przez jego ekscelencyę pana ambasadora nadzwyczajnego, który podjął się chętnie zajmować moimi końmi i moimi noclegami. Nie można było świetniej rozpocząć.

Na drugim popasie towarzysz mój poprosił mnie o pozwolenie zajęcia miejsca w moim kocu, aby wysłać naprzód swoje ekwipaże.

Zgodziłam się na to tem chętniej, że siedząc sama w olbrzymim powozie, miałam więcej miejsca niż mi było potrzeba. Zapewniałam sobie nieocenione towarzystwo. Pan Narbonne, świadek wielkiego dramatu Rewolucyi, znał wszystkie ważne osobistości tej epoki; doskonale umiał on wtajemniczać swoich słuchaczy we własne wrażenia, gdyż w wysokim stopniu posiadał dar opowiadania. Co za niespodziana korzyść w długiej podróży!

W innym razie wydałby mi się zbyt wyszukany w swoim dowcipie i zbyt mdłym w swoich frazesh, wskutek przestarzałej galanteryi, ale na gościńcu mniej się jest wymagająca. Zresztą, nadzwyczaj miły, dobry, łagodny i usłużny, rządzony przez

swego kamerdynera, prawdziwego lokaja z komedyi, który go rujnował, dogadzając jego zamięłowaniu w zbytku, nigdy nie był markotnym, lecz zawsze w dobrym humorze.

Przyjechaliśmy do Monachium, zatrzymując się tylko, aby zjeść lekki posiłek, bardzo wykwinnie podawany przez zręcznego Frontina¹⁾, a przygotowywany przez marszałka ambasadora.

Ten sposób podróżowania podobał mi się tembardziej, że daleka byłam od domyslenia się, co było sprężyną działania mego opiekuna i jaką cenę chciał nałożyć za swoje grzeczności. Przypisywałam je wiekowi, w którym pan Narbonne rozpoczął swe życie światowe, myśląc dobrodusznie, że każdy Francuz dawniejszych czasów byłby tak samo postępował.

Na jednej ze stacyj pod Monachium hrabia wyprzedził mnie i podjął się chętnie wynaleźć dla mnie nocleg, co nie było łatwem, gdyż wszystkie hotele były przepelnione licznym orszakiem królowej Neapolu, jak również służbą, przeznaczoną dla młodej cesarzowej.

Przybyłam do Monachium o dzicwiałej wieczorem, uprzedzona biletem, zostawionym na rogatkach, żebym się udała do pałacu książęcego. Znalazłam tam nietylko wytworny apartament, ale nawet gotową kąpiel.

Zaledwie weszłam do wody, kiedy drzwiczki, ukryte za zwierciadłem, otworzyły się pocichu i ku

¹⁾ Zwykła nazwa lokajów u Molier'a.

memu wielkiemu przerażeniu do pokoju wsunął się mężczyzna i upadł na kolana tuż obok wanny. Wydałam okropny krzyk, moja pokojówka właśnie wyszła, aby mi przygotować toaletę, ale zostawiła mi, na szczęście, dzwonek, którym konwulsyjnie potrząsałam. Zanim mnie usłyszała, mogłam się przypatrzyć sprawcy mej naglej trwogi. Był to biedny pan Narbonne sam we własnej osobie! Przerażony wrażeniem, jakie wywołał, trwał nieruchomy w swojej pokornej postawie. Przez chwilę myślałam, że oszalał i spoglądałam na niego z mieszaniną litości i strachu.

Zmienił strój. Nigdy nie widziałam go tak ubranego wyszukanie; aby uzupełnić tę szczególną maskaradę, przemieniającą sześćdziesięcioletniego starca w modnego eleganta, uróżował się!

Niepohamowany śmiech zastąpił przerażenie, jakiego doznałam, gdy mój stary Celadon spróbował wypowiedzieć mi swoje zapęły. Moja pokojówka, na którą nie przestawałam dzwonić, przybiegła wreszcie, a biedny bohater tej śmiesznej przygody, podniósłszy się z trudnością, wymknął się strasznie zmieszany.

Po tem, co zaszło, niepodobna nam było podróżować razem bez strasznego zakłopotania; kazałam zatem zawołać mego kuryera i powiedziałam mu, że postanowiłam wyjechać o świcie. Kazałam zapłacić hojnie i milczeć o moim projekcie. Wszystko spoczywało jeszcze we śnie w pałacu, gdy usadowiona w moim koczku, wyjeżdżałam wprost do Strasburga, gdzie chciałam zwiedzić katedrę i grobowiec mar-

szalka saskiego. Podróż ta, zajmująca sama przez się, była nią najbardziej dla mnie z powodu różnych okoliczności; zresztą opuszczałam Polskę po raz pierwszy, gdyż dotąd moje podróże ograniczały się na Wiedniu, dokąd jeździłam odwiedzać moją matkę.

III.

Uroczysty wjazd do Paryża.

Hrabina Tyszkiewiczowa. — Przeszkody ceremonialne. — Żarty paryżkie. — Orszak. — Portret Maryi Ludwiki. — Słódko Napoleona. — Gwardya. — Paziowie. — Wrażenia tłumu. — Przedstawienie pani Souza.

Ciotka ¹⁾ najęła dla mnie apartament na placu Ludwika XV, w pięknym gmachu, który nazywano Garde-Meuble. Znajdowało się tam mieszkanie umeblowane, dokąd wprost się udałam.

Hrabina Tyszkiewiczowa odwiedziła mnie na-
zajutrz po moim przyjeździe. Żywo zajęta bieżącymi wypadkami, pragnęła dowiedzieć się, co mówiono w Wiedniu.

Gdy zaspokoiłam jej ciekawość, rzekła do mnie:
— Napoleon sam jest zdziwiony wielkością swego przeznaczenia.

Ciotka moja nie lubiła Napoleona, ale się go

¹⁾ Marya Teresa Poniatowska, hrabina Wincentowa Tyszkiewiczowa, siostra księcia Józefa Poniatowskiego, ur. 1765, zm. 1834.

obawiała i tylko pocichu objawiała swoje zdziwienie w sposób mało poważania zdradzający.

— Cóż za szczęście ma ten człowiek! Więc to prawda, że mu się nic nie oprze? — mówiła — a gdy wzburzył świat, zwyciężył Austrię, wysadził w powietrze szanśce stolicy, do tego stopnia upokorzenia doprowadził nieszczęśliwego monarchę, że ten daje mu jeszcze swoją córkę, błagając o pokój!

Ciotka moja, trzymająca tajemnie z przedmieściem Saint-Germain, gdzie ją wprowadził Talleyrand, sądziła, że wie wszystko, co się działo w Tuileries, za pomocą stosunków, jakie on tam utrzymywał. Zapewniła mnie, że cesarz z początku był olśniony blaskiem tego związku; ale niepojęte postępowanie Maryi Ludwiki szybko rozwiało ten urok, i po dwóch dniach wyszukana grzeczność Napoleona ustąpiła przyzwyczajeniom wielkiego człowieka, czasami trochę zbyt zdobywczym, lecz tym razem usprawiedliwionym przykładem Henryka IV. Udał się na spotkanie swej młodej narzeczonej i zamieszkał w Compiègne, gdzie przez powolność bardzo niewczesną względem tego, który spodziewał się wzbudzić w niej pewnego rodzaju odrazę, księżniczka rozczarowała bohatera i zawiodła wszystkich tych, co chcieli ją uważać za ofiarę poświęconą dla spokoju Europy.

Przyjęciem w Compiègne zajmowali się Paryżanie co najmniej tydzień. Krytykowano bez miary azyatycki zbytek, jaki cesarz rozłożył w urządzeniu pałacu.

Gotownia była obwieszona najpiękniejszemi szalami indyjskimi; utrzymywano złośliwie, że te, co

tworzyły najpiękniejszą ozdobę, były to szale Józefiny; stwierdzono jednak z czasem, że Napoleon nigdy nie naruszył darów, jakimi obsypywał pierwszą swoją żonę.

Oskubawszy drobiazgowo wszystkie szczegóły, komunikowano sobie *na ucho prawdopodobne wyniki*. W niecałe dwie godziny Paryż wiedział, co sądzić o młodej monarchini, i niemało była zdziwiona swobodą rozmów, krążących po salonach. Nie odmawiano sobie ani uszczypliwych żartów, ani gry słów. Ponieważ nadchodził wielki tydzień, pozwolono sobie mówić, że przyszła cesarzowa chciała zrobić wjazd *en saïente*, a ten złośliwy dwuznacznik miał powodzenie, gdyż Francuzi, bardzo wymagający na punkcie dowcipu, jaki się posiada, nie są zbyt wymagającymi co do tego, jaki się wypowiada.

Zbliżające się uroczystości ślubu i zabawy, jakie miały po nim nastąpić, dały myślom inny kierunek.

Musiałam wybierać między dwoma widowiskami ciekawymi: oglądaniem uroczystego wjazdu do stołnej pary wśród tłumów ludności, która ją oczekiwała na Polach Elizejskich, lub zamknięciem się od rana w galowej toalecie w kaplicy Tuileryjskiej, dokąd chciała mnie zaprowadzić moja ciotka. Zdecydowałam się na *wjazd*, tembardziej, że nie mogąc być jeszcze przedstawioną, uważałam za nieprzyzwoite ubieganie się o bilet i przywłaszczanie sobie miejsca.

Z okna mojego widziałam orszak królewski. Cesarz w kostymie hiszpańskim, tym samym, który wybrał na koronację, siedział w zwierciadlanej ka-

recie, całej złoconej, zaprzężonej w osiem andaluzyjskich koni, rzadkiej piękności. Ich maść izabellowata doskonale zgadzała się z zieloną barwą kosztownych uprzęży, zrobionych z złota i jedwabiu. Szły one stępa i wydawały się dumne z roli, jaka im przypadała.

Marya Ludwika, pokryta dyamentami *Golkondy*, siedząca po prawej stronie cesarza, nie zdawała się wyłącznie go zajmować; był jakiś stroskany i zajęty wrażeniem, jakie wywierał na tłum ten wspaniały widok i z roztargnieniem słuchał niewielu słów, z jakimi zwracała się do niego młoda małżonka, której ukłony na sposób austriacki mogłyby szpecić twarz daleko przyjemniejszą od jej oblicza. Francuzi, zepsuci wdziękiem Józefiny, a przytem niezbyt zadowoleni z tego związku, pozostali chłodnymi i nieczułym. Nie było zupełnie zapалу, a bardzo mało okrzyków. Twierdzono, że Napoleon, wszedłszy do swego gabinetu, miał zawołać:

— Tak zepsułem Paryżan niespodziankami i niepodobieństwami, że nie zdziwiliby się, gdybym zaślubił Madonnę.

Mówić o licznych generałach, marszałkach, którzy konno w paradnych mundurach poprzędali i postępowali za cesarską kareta, byłoby nudnem i prawie równie niełatwem, jak wymienianie królów i królowych, którzy się zjechali, aby wziąć udział w tem wspaniałem widowisku. Ich świetne ekwipaże, ich liczne świty, bogactwo i rozmaitość strojów, piękność kobiet, blask dyamentów, wszystko było imponujące ale nie, według mego zdania, nie wyrównało wspa-

niałemu szeregowi, złożonemu z gwardyi cesarskiej, zestarzałej już pod bronią i odznaczonej na wielu polach bitwy, która prowadzona przez sławny szary płaszcz, wielokrotnie decydowała o zwycięstwie. Ona jedna z zapalem okrzykiwała swego wodza, którego widziała w całym blasku majestatu.

Wokoło karety cesarskiej paziowie, „zaledwie wyszli z dzieciństwa“, ubrani bogato i ustawieni symetrycznie na stopniach, podobni do motyli gotowych odlecieć za najmniejszym ruchem, poetyzowali ciężki pojazd. Czyż mógł kto z nas przypuszczać, że kiedy krata ogrodu Tuilleryjskiego, otwierająca się tylko raz na rok w chwili udawania się cesarza do ciała prawodawczego, zamknęła się za orszakiem królewskim, już się nie otworzy dla tryumfów? Niestety! kończyły się piękne dni. Zbliżała się burza.

Iluminacye i fajerwerki przeciągnęły się długo w noc. Wino lało się strumieniami, rozrzucano pełnemi garściami złoto i medale, wszystko było świetne i wspaniałe, ale nie było ani radości, ani szczego rego wesela.

Jedni, i ci byli najliczniejsi, żałowali Józefiny, która przez swą wyjątkową dobroć i miłe zachowanie stała się drogą narodowi; inni uważali przybycie księżniczki austriackiej za wróżbę nieszczęścia. Wszyscy prawie, znużeni wojną, tryumfami, zdobyczami, postanowili nie być zadowolonymi z niczego, a nie mogąc już niczego pragnąć, dawali przystęp niezadowoleniu, które podtrzymywał w łonie rodzin wciąż odnawiający się pobór do wojska. Dlatego też tłum zdawał się uczestniczyć w tej świetnej uroczystości jedynie przez mimowolną ciekawość.

Ktokolwiek pisał swoje pamiętniki, musiał doznać pewnego kłopotu, mówiąc o sobie. I tak ja nie zrobiłam jeszcze wzmianki o mojem widzeniu się z panem F... Po wielu bezowocnych usiłowaniach u mego odźwiernego, pogwałcił on wreszcie zakaz i zjawił się nagle we drzwiach mego salonu. Na schodach spotkał księcia Dalberg, wychodzącego odemnie, i sądził, że miał prawo do odwiedzenia mnici!

Przyznaję, że to ukazanie się zmieszało mnie. Mówiliśmy o wszystkim, co chciałam obejrzyć i zrobić. Ofiarował mi swoje usługi i swoje rady i powiedział, że matka jego pragnęła mnie poznać; chciała mi podziękować za dobroć, jakiej syn jej doznał od moich rodziców podczas pobytu Francuzów w Warszawie.

Zaproponował mi, że jutro rano złoży mi razem z nią wizytę. Zgodziłam się z tem większą chęcią, że byłam bardzo ciekawa poznać osobę, której romanse i listy zachwycaly mnie.

Bardzo naturalnie, że czyniłam wszystko, aby wydać się przyjemną, ale bardzo rychło spostrzegłam bezużyteczność moich usiłowań. Pani Souza zajmowała się *wylącznie* sobą, uważała na każde swoje zdanie i wtrącała do rozmowy zgrabne i błyskotliwe słowa, które wyglądały na *przygotowane*; w sposobie jej wyrażania się nie było ani wdzięku, ani zanie dbania; chętniej czytało się jej dzieła, niż słuchało rozmowy. Byłam nadto uderzona jakąś poufałością, którą od pierwszego dnia chciała wprowadzić między nas *troje*. Była zarozumiała ze swego syna. Moznaby jej wybaczyć *dumę*. Ale pewność, z jaką wróżyła mu

powodzenie, nie była w dobrym guście; on sam wydawał się nią zakłopotanym i napróżno usiłował wprowadzić swoją matkę na ton poważniejszy i przyzwoitszy. Dotknęła mnie ta śmiałość tak mało ukrywana i okazałam się uprzejmą, lecz chłodną; rozstałyśmy się niezbyt z siebie zadowolone.

IV.

D w ó r.

Cesarz.—Marya Ludwika.—Szczególny wygląd dworu.—Eliza.—
Paulina Borghèse.—Królowa neapolitańska.—Księżna Talleyrand.—
Salon hrabiny Tyszkiewiczowej.

Od chwili zamieszkania cesarzowej w Tuilleries przystąpiono do prezentacyj. Jako cudzoziemka, musiałam być przedstawiona nietylko cesarzowi i cesarzowej, ale wszystkim królowym i księżnom rodziny. Każda miała swój dzień; trzeba było zatem co rano rozpoczynać długą i utrudzającą toaletę i spędzać najpiękniejsze godziny dnia na wkładaniu i zdejmowaniu *sukni dworskiej*. Wieczorem wypoczywano.... na przedstawieniu.

Cesarz przyjmował koło południa w swoim gabinecie.

Po złożeniu trzech ukłonów zwyczajowych wymieniano nazwisko. Cesarz, stojąc z ręką opartą na biurku, czekał, obrzucając cię uprzejmym wzrokiem, jeśli byłaś ładna i młoda. Był to tylko wstęp do aktu jeszcze trudniejszego do wykonania. Przy wyjściu składało się trzy ukłony, ale cofając się. Trudność

polegała na tem, że trzeba było nieznacznym ruchem nogi odrzucać tren nadzwyczajnej długości; w tym ruchu można było wykazać wdzięk i dystynkcyę. Po trzech lekcyach nabrałam już dostatecznej wprawy.

Cesarz przyjął mnie z niezwykłą dobrocią, co znacznie zmniejszyło przykrość ceremoniału. Raczył zapytać mnie o wiadomości, tyżące się członków mojej rodziny, i mówił ze mną głównie o moim wuju, księciu Poniatowskim.

Mimo uwagi, z jaką przyjmowałam każde jego słowo, nie mogłam się powstrzymać od rzucenia okiem z zachwytem na wspaniałą *Sybillę* Guercin'a wiszącą nad biurkiem; przywieziona z Kapitolu, miała ona tam, niestety! powrócić.

Napoleon, którego uwagi nic nie uchodziło, natychmiast spostrzegł moje *przelotne* roztargnienie i rzekł mi, uśmiechając się, że jeśli lubię sztuki, powinnabym zaznajomić się z panem Denon i pójść do Muzeum.

— Ale przedewszystkiem — powiedział — spodziewam się, że przygotuje się pani do uroczystości, które mają się zacząć, i żadnej z nich nie opuści.

Poczem uklonił się nam.

Po wyjściu z gabinetu cesarza przeszliśmy do salonu przyjąć cesarzowej, gdzie zebrało się już mnóstwo ludzi. Wyszła ona ze swych apartamentów, a za nią liczny i świetny orszak. Smak, z jakim była ubrana, uczynił ją trochę *mniej brzydką*, ale wyraz twarzy pozostał ten sam. Ani uśmiech uprzejmy, ani spojrzenie ciekawe nie ożywiały tego drewnianego oblicza. Okrążyła ona zebrane, idąc od jednej do drugiej, jak ta lalka mechaniczna, poruszająca się

tak, jak się ją nakręciło, ukazując figurę sztywną, duże oczy porcelanowe, blado niebieskie i wciąż nieruchome.

Cesarz siedł koło niej, aby podpowiadać jej, co miała powiedzieć, głównie do osób, które chciał wyróżnić. Kiedy przyszła kolej na mnie, a osoba, przedstawiająca mnie, powiedziała młodej monarchini moje nazwisko, usłyszałam wyraźnie słowa: *pełna wdzięku*, które podszeptał Napoleon. Powtórzyła je tak sucho i z takim niemieckim akcentem, że byłam tem niezbyt zachwycona.

Dwór ten, tak wspaniały zdaleka, zblizka tracił. Można w nim było zauważyć jakieś zamieszanie i nieład, wyplaszające pozór wielkości i blasku, które spodziewano się słusznie tam znaleźć. Obok kobiet bardzo eleganckich i bardzo bogato wystrojonych, zasiadały żony marszałków, niezbyt przyzwyczajone do noszenia dworskiego płaszcza. Prawie tak samo było z ich mężami, których haftowane mundury, tak świetne na paradzie, tak piękne na placu boju, nieprzyjemne stanowiły przeciwieństwo ze słowami i manierami niezbyt dworskimi. Pomiedzy nimi a panami *dawniejszymi*, którzy połączyli się już z obecnym rządem, panowała uderzająca różnica. Możnaby pomyśleć, że się jest na próbie, a aktorzy przemierzają swoje kostiumy i powtarzają role. Ta szczególna mieszanina pobudzałaby do śmiechu, gdyby główna osobistość nie przejmowała jakimś poważaniem i strachem, które zacierały myśl o śmieszności, lub przynajmniej tłumili jej skutki.

Siostry Napoleona nie były wcale do siebie podobne.

Eliza, wielka księżna Toskańska, łączyła z rysem swego brata daleko surowszy wyraz. Przyznawano jej wiele rozumu i charakteru, a jednak nigdy nie słyszałam, żeby przytaczano coś, co ona powiedziała lub zrobiła. Wielcy mają zawsze koło siebie echa, gotowe powtórzyć to, co one wyrzekną choćby trochę zasługującego na uwagę. Milczenie jest jakby zaprzeczeniem. Dlatego nie byłam nią zachwycona.

Księżna Paulina Borghèse przedstawiała typ piękności klasycznej, takiej, jaką widzi się w greckich posagach. Mimo, że robiła wszystko, aby przyspieszyć *zniszczenie czasu* wieczorem za pomocą odrobiny sztuki, miała jeszcze za sobą głosy wszystkich i żadna kobieta nie śmiałaby ubiegać się razem z nią o *jabłko*, jakie jej przynał Canowa ¹⁾, przypatrzwszy się jej, jak powiadają, *bez zasłony*.

Z rysami najdelikatniejszymi i najregularniejszymi, jakie można sobie wyobrazić, łączyła formy godne podziwu i *zbyt często podziwiane*. Dzięki tylu wdziękom nie zwracano uwagi na jej umysł; mówiono tylko o jej przygodach miłosnych i doprawdy, był to temat do długich rozmów.

Najmłodsza z trzech, Karolina, królowa neapolitańska, daleko mniej miała rysów klasycznych, niż jej siostra, ale twarz jej była nieskończenie ruchliwsza, miała olśniewającą cerę blondynki, figurę, ramioną, ręce bez zarzutu, a chociaż nie była wysoka, miała postawę królowej. Możnaby powiedzieć, że przyszła na świat zupełnie przygotowana do roli, jaką los jej wyznaczył. Co do jej inteligencji, dosyć

¹⁾ Znakomity rzeźbiarz.

jest przytoczyć zdanie Talleyranda, który twierdził, że ta główka ładnej kobiety spoczywała na barkach *męża stanu*.

Nikogo nie zdziwiło, że cesarz ją wybrał, aby pojechała naprzeciw jego narzeczonej. Ta olbrzymia różnica, jaka istniała pomiędzy Maryą-Ludwiką a Karoliną, sprawiła, że nigdy nie mogły się zrozumieć, ani pokochać.

Hortensya, królowa holenderska, była nieobecna, zarówno jak jej bratowa, żona wicekróla włoskiego; wyjechały wkrótce po mojem przybyciu, mogłam więc odpocząć.

Ciotka moja ¹⁾ skorzystała z tego, aby mnie zawieźć do Talleyranda, którego już około ćwierć wieku była niewolnicą. Zatrzymany na dworze obowiązками swego urzędu, Talleyrand nie mógł wrócić na czas, aby nas przyjąć i kazał przeprosić; to było bardzo zwyczajne i nikt nie myślał o to się obrażać. Ale dziwniejszem nam się wydało, że wszedłszy do salonu, znalazłyśmy tam tylko *damę honorową* księżnej, która oznajmiła nam, że jej książęca wysokość *zwabiona promieniem słońca*, tylko co wyszła, aby się przejechać po lasku. Zaproszeni przybywali jedni za drugimi; czekaliśmy przeszło godzinę.

Wymówki nie byłyby nie na miejscu; ale obawiając się, aby nie *uchybić* sobie, gdyby się okazała grzeczną, księżna weszła z majestatyczną powagą, mówiła z nami o pięknej pogodzie, o balsamicznem powietrzu, zdając się uważać za całkiem naturalne, żeśmy na nią czekały.

¹⁾ Hrabina Wincentowa Tyszkiewiczowa.

Unikałam później widywania się z panią Talleyrand — niegrzeczne księżne nie są w moim guście, nadewszystko, kiedy są parweniuszkami. Ta, znana w całym Paryżu pod imieniem pani Grand, była ni-cością, której zatrzeć nic nie mogło, nawet jej wyniesienie; przytaczano jej brednie tak samo, jak do-wcipy jej męża.

W tym czasie miała najmniej sześćdziesiąt lat; bądź co bądź, jej stanowisko zjednywało jej pochleb-ców, zapewniających ją, że była jeszcze piękna. Dla-tego też chodziła w szynionie i stroiła się w kwiaty.

Kiedy Talleyrand zasiadał do gry lub się odda-łał, w salonie tym panowały śmiertelne nudy. Rzad-ko przedtem doznawałam takiego wrażenia. A jednak większość z tych, co zwykle przychodzili do tego domu, byli to ludzie uczeni. Księżna do swej ni-cości przyrodzonej dodawała pretensjonalność wiel-kości, jak niemniej drobiazgi etykietalne, które czy-niły ją nieznośną. Dlatego też wszyscy, którzy cie-szyli się niezależnością i nie mieli z księciem stosun-ków urzędowych, odwiedzali go wtedy tylko, kiedy byli pewni, że zastaną go samego.

Prawie co tydzień towarzystwo Talleyranda zbierało się u mojej cioki, gdzie się bynajmniej lepiej nie bawiłam. Zapraszała ona z kolei znakomitych współziomków i przejezdnych cudzoziemców. Dom jej miał wiele wziętości.

Nie mogę pominąć niemiłej niespodzianki, ja-kiej doznałam, widząc, że całą przyjemnością była tam gra o bajeczne sumy. Bank trzymali nieznajo-mi, z którymi nikt nie rozmawiał; roztaczali oni swe

bogactwa, ażeby kusić przytomnych. Zdawało się, że obawiano się zetknięcia z nimi, traktowano ich jak paryasów. Ich podejrzliwe spojrzenia przesuwaly się z jednych na drugich, ani na chwilę nie spuszczaając z oczu rąk graczy. Było w tem wszystkim coś upokarzającego i szatańskiego. Żądza zysku sama jedna przewodziła w tej dziwnej rozrywce. Skurczone twarze graczy, ponura, nieruchoma postawa bankierów, milczenie, panujące w tym salonie—gdzie ryzykowano często jednej nocy los całej rodziny—wszystko wydało mi się ohydne. Nie mogłam się powstrzymać, by nie wyrazić mojego zdziwienia, a może *nawet naiwnego oburzenia*, ale ciotka moja odparła mi chłodno, że widać, iż *przybywam z daleka*, że takie zabawy odbywały się wszędzie, i że *księżę*, dużo pracując, u niej znajdował rozrywki, których jego stanowisko wzbraniało mu u siebie.

Przy tym to przeklętym stoliku spotkałam po raz pierwszy starą księżnę de Luynes ¹⁾, zbudowaną jak żandarm i ubraną, jak najpospolitsza kobieta; grała z zapamiętałością, miała głos stentorowy, śmiała się do rozpuku, kłóciła się z rzadką gburowatością— a wszystko uchodziło za *oryginalność*. Przyjętem było nawet podziwiać szlachetność i stałość jej charakteru i niezmiennosc jej przekonań. Co do mnie, nigdy nie mogłam się przyzwyczaić do tej męskiej powierzchowności i dobrego tonu żołnierskiego.

Ach! ileż razy przychodził mi na myśl mój ko-

chany pałac de Ligne! Snopy światła nie oświetlały tego skromnego salonu; oszczędne kolacye w niczem nie były podobne do tych uczt, jakie podawano tym sybarytom, ale jakaż obfitosc dowcipu, jaka miła i szczerza wesołość! O ileż przekładałam ten stół pu-
stelniczny nad te smutne biesiady!

¹⁾ Elżbieta Józefa de Laval-Montmorency, księżna de Luynes, ur. 1755 r.

V.

Z a b a w y.

Zabawa w Neuilly u księżnej Pauliny Borghèse. — Zamek Schoenbrunn. — Wzruszenie Maryi Ludwiki. — Bal w ambasadzie austriackiej.

Księżna Paulina Borghèse pierwsza wydała bal dla znakomitej pary. Było to w połowie maja; zdało się, że Neuilly, gdzie mieszkała, ustroiło się w kwiaty na przyjęcie świetnego tłumu, przybywającego ze wszystkich punktów kuli ziemskiej, aby przypatrzeć się wszystkim tym cudom.

Od sztachet parku powozy miały rozkaz podjeżdżania przed salą widowiskową, zaimprovizowaną przez wróżki. Przezroczyste i lekkie galerie, darniowe schody, przyozdobione egzotycznymi roślinami, łoże ustrojone w girlandy kwiatów, zajęte przez piękne kobiety, niebo gwiazdziste, całe otoczenie poetyczne i pełne niespodzianek nasuwało myśl o ogrodach Armidy¹⁾. Młoda cesarzowa, która wogóle nie za-

¹⁾ Czarodziejka w poemacie Tassa: „Jerozolima wyzwolona.“

chwycła się niczem, nie mogła powstrzymać lekkiego okrzyku przy wejściu do tej sali, gdzie ją oczekiwano.

Cesarz z większym wdziękiem i niedbałością wyraził swoje zdziwienie i zadowolenie, i czule podziękował siostrze.

Najlepsi aktorowie teatru Francuskiego zagrali sztukę, której nikt nie słuchał; najslawniejsi tancerze wykonali balet, na który nikt nie patrzył!.. Trzeba tu było harf złotych, śpiewów melodyjnych, muzyki niebiańskiej.

Kiedy przedstawienie się skończyło, Paulina wzięła pod rękę swoją siostrę i królewski orszak, za którym myśmy postępowali, zmierzył do sali balowej, przechodząc przez park oświetlony tysiącami lampionów, zasłoniętych splotami kwiatów, których woń balsamiczna rozlewała się w powietrzu.

Kilka orkiestr, rozrzuconych z niewypowiedzianą sztuką, odpowiadały sobie ustawicznie, naśladując echa górskie; ta muzyka w nowym rodzaju wywoływała rozkoszne wrażenie; przechodziliśmy w ten sposób z czarów w czary. Raz była to wytworna świątynia, gdzie Amor budził się zaskoczony przez Gracye; to pustelnia o surowym wyglądzie: pielgrzymi wracający z Palestyny prosili o gościnę, pustelnik otwierał zakratowane drzwiczki swej sielskiej kaplicy i rozpoczynały się śpiewy. Wszystkie talenta wezwano na tę uroczystość. Gracye przybyły z opery, a pielgrzymi z konserwatorium.

Śpiewy i tańce miały tylko na celu wysławianie doskonałości młodej monarchini i głoszenie na wszelkie sposoby radości, jaką zrodził jej przyjazd. Amor

ofiarowywał jej koronę z róż, odebraną Gracyom, a trubadurowie śpiewali romanse pełne pochwał i życzeń.

Nieznacznie ścieżka zwęża się, gaj staje się ciemniejszym, dźwięki harmonijne milkną, a czarodziejka, która przygotowała te cuda, udaje wielkie niezadowolenie i utrzymuje, że zbłądziła i prowadzi nas dziękami drożynami.

Przechodzimy przez most wiszący, pod którym woda tworzy kaskadę tak umiejętnie oświetloną, że wydaje się jakby w ogniu.

Wśród milczenia rozlega się głos cesarza, który skarży się na ciemność i ma minę, jakby wierzył, że siostra jego istotnie zgubiła drogę, kiedy nagle na zakręcie labiryntu znajdujemy się bezpośrednio na trawniku, oblanym światłem tak jasnym, że możnaby rzec, skradzionem słońcu.

Na końcu trawnika wznosił się zamek Schoenbrunn, ze swoim obszernym dziedzińcem, fontanami, portykami, a nadto z ruchem i życiem, którego brak tej okazałej rezydencji. Były to przygotowania do uroczystości: powozy, tłumy przechodniów, skromne mleczarki w tradycyjalnych złotych czepkach, lokaje usłużni w cesarskich liberyach, a grupy Tyrolczyków przy dźwięku kobz, zbliżywszy się, tańczyły walca narodowego. Sztuka, z jaką odtworzono w oddaleniu kształty tego obszernego zamku, efekt światła i cieniu umiejętnie połączonych, wszystko to tak dobrane ludziło wzrok, że można było uwierzyć w czary i ci, co jak ja, znali Schoenbrunn, mogliby pomyśleć, że się znajdują w tym królewskim pałacu.

Dworacy zapewniali, że na ten widok cesarzowa *zalała się łzami*! Byłoby to całkiem naturalne;

wspomnienia dzieciństwa powinnyby jej wycisnąć parę łez, ale ja zaświadczam, że jej wzruszenie, jeśli go nawet doznała, było bardzo przemijające, gdyż w chwili kiedy na nią spojrzałam, nie spostrzegłam najmniejszego śladu rozczulenia na tej zimnej i *nie-ruchomej* twarzy. Co do cesarza, kilkakrotnie dziękował swojej siostrze i był jej nieskończenie wdzięczny za trudy, jakich dołożyła w przygotowaniach do tej uroczystości, pierwszej i najpiękniejszej ze wszystkich, które się odbyły na cześć Maryi-Ludwiki.

Księżę Schwartzenberg, ambasador austriacki zdecydował się ustąpić pierwszeństwa tylko bratowej młodej monarchini. Bal, który wydał, nastąpił zaraz po uroczystości w Neuilly i swoją sławę zawdzięcza strasznej katastrofie, co go uczyniła historycznym. Ponieważ lokal ambasady nie był dość obszerny, ażeby mógł pomieścić dwa tysiące zaproszonych osób, wzniesiono pośród ogrodu olbrzymią salę balową, łączącą się z apartamentami za pośrednictwem eleganckiej galeryi. Sala ta i galerya, zbudowane z tarcic, były pokryte płótnem smołowem i przybrane na wewnątrz draperiami z różowego jedwabiu i srebrnej gazy. W chwili, kiedy ukazał się ogień, znajdowałam się w tej galeryi i być może, że zawdzięczam moje ocalenie przypadkowi, który mi zrobił żywą przykrość. Miałam suknię z gładkiego tiulu, u dołu której był bukiet z białego bzu, przymocowany do mego paska łańcuchem poszczepianych z sobą brylantów, składającym się z lir; kiedy tańczyłam, łańcuch ten rozpinął się. Hrabina Brignole, która mi matkowała na tym wieczorze, widząc, że mam walcować z wicekrólem, uprowadziła mnie na galeryę, ażeby pomódz

mi odpiąć ten nieszczęsny łańcuch. Podczas kiedy ona była zajęta tą czynnością, spostrzegłam jedną z pierwszych lekki dym, spowodowany kandelabrem umieszczonym pod festonem z gazy; ponieważ zgromadziło się około nas wielu młodzieńców, pośpieszyłam zwrócić uwagę ich na to, co było dopiero tylko groźbą. Natychmiast jeden z nich wskoczył na ławkę, aby zapobiedz niebezpieczeństwu, zerwał gwałtownie draperyę, która uniósłszy się nagle nad żyrandole, zapaliła się i udzieliła płomienia sufitowi ze smołowego płótna. Na szczęście dla mnie, pani Brignole nie lekceważyła niebezpieczeństwa, pochwyliła mnie za rękę, biegiem przebyła wszystkie salony i nie czekając ani chwili, zbiegła ze schodów i odetchnęła dopiero, przebywszy ulicę i schroniwszy się do pałacu pani Regnault, położonego naprzeciw ambasady. Tam, padając na fotel, wyczerpana biegiem i wzruszeniem, ukazała mi balkon, ażebym zdała jej sprawę z tego, co się działo. Nie rozumiałam tego niespodziewanego przerażenia, gdyż chętniebym dalej tańczyła, tak dalece wydawało mi niepodobnem, aby nam groziło poważne niebezpieczeństwo w miejscu, gdzie się znajdował cesarz!...

Wkrótce kłęby dymu otoczyły salę balową i tę galeryę, którą właśnie opuściliśmy. Muzyki nie było już słyhać, głośny zgielk powstał bezpośrednio po świetności zabawy, krzyki i jęki dochodziły aż do nas; wiatr przynosił wyraźnie słowa, okrzyki rozpacz, wołano się, szukano, chciano się upewnić o losie tych, których kochano i którzy byli wystawieni na to straszliwe niebezpieczeństwo.

W liczbie ofiar znalazła się księżna Schwar-

tzenberg, bratowa ambasadora, która nie widząc koło siebie swojej córki, rzuciła się w płomienie; przygniótł ją żyrandol, którego sznur się obsunął. Niestety! dziecko jej wolne od niebezpieczeństwa, przyzywało ją głośnie krzykami... Księżnę Leyen spotkał ten sam los, ale przeżyła kilka dni. Ponieważ córka jej była zaręczona, nie pamiętam już z którym księciem niemieckim, miała ona tyle siły woli, ażeby wymódz, że ślub odbył się u stóp jej łoża boleści. Zginęło wiele innych osób; mówiono o nich mniej, gdyż nie znano ich nazwisk, ponieważ wiele z nich, przybywszy z obcych krajów lub z prowincyi, przypłaciło życiem chwilę przyjemności. Wiele kobiet ujrzało się ograbionemi ze swych klejnotów, rabusie, przelazłszy przez mur, oddzielający ogród od ulicy, uprawiali swe rzemiosło z całem bezpieczeństwem dzięki ogólnemu popłochowi.

W kilka chwil salon pani Regnault Saint Jean d'Angely napełnił się ranionymi. Był to widok zarażem okropny i dziwny, gdy się patrzyło na te wszystkie osoby przybrane w kwiaty, w sukniach balowych, wydające jęki, które tak rażąco stanowiły kontrast z ich strojem.

Spędziłyśmy większą część nocy na pocieszaniu ich i niesieniu im pomocy, o ile było to w naszej możności. Za nadejściem dnia trzeba było wracać. Służba i powozy zniknęły. Osoby, mogące chociaż, musiały pójść pieszo w balowym stroju i w trzewikach z białego atlasu. W tej samej godzinie ulice były zatłoczone wózkami ogrodników; wzięto nas zapewne za waryatki i trzeba nam było znieść pociski conceptów.

Jakkolwiek bądź Paryżanie są lekkomyślni, katastrofa ta wywarła żywe i głębokie wrażenie. Wywołała ona gadaniny wszelkiego rodzaju; chciano w tem widzieć machinacye podłej polityki. To tylko pewna, że gorliwi dworacy namawiali cesarza, aby się oddalił, zanim tłum opanuje wszystkie wyjścia, starając się rzucić w jego umysł ohydne podejrzenie; ale Napoleon, zawsze spokojny w niebezpieczeństwie, nie posłuchał tych nędznych potwarzy; odprowadziwszy cesarzową do powozu, wszedł do ambasady, mówiąc księciu Schwarzenberg, że przyszedł pomódz mu w *gaszeniu ognia*.

Zdanie to wywarło wielkie wrażenie, przejęło Austryaków podziwem i wdzięcznością, wszyscy Niemcy, obecni na zabawie z ambasadorem na czele otoczyli cesarza i ten szaniec serc mniej lub więcej wrogich być może na tę chwilę dorównał oddziałowi gwardyi cesarskiej.

VI.

Salony.

U Denon. — Stopa mumii. — Salon wicehrabiny Laval. — Petrarka i Laura. — Państwo Davout w Savigny. — Kuropatewki marszałka. — Pan F...t. — Śniadanie u pani Souza. — Labédoyère. — Księżna kurlandzka. — Talleyrand i jego seraj.

Raz rzuciwszy się w świat, byłam pochłonięta towarzyskimi obowiązkami i zaledwie rankiem tylko mogłam znaleźć czas na zwiedzanie muzeów i pracowni. Spotkałam pana Denon; — miał on doskonały smak, zachwycającą wesołość i sprzeczności bez granic. Z chęcią zgodził się towarzyszyć mi do Luwru, który w tym czasie zbogacił się arcydziełami, zabranymi z Włoch. Wkrótce potem uprzejmy przewodnik zaprosił mnie na śniadanie, aby mi pokazać swoje własne małe *muzeum*, to jest zbiór cennych przedmiotów, jakie pozbierał w różnych krajach, a szczególnie w Egipcie. Z upodobaniem zwracał uwagę naszą na maleńką nóżkę mumii, tak cudną, tak drobną, tak ładnie zoksydowaną przez czas, że miałam chęć ukraść ją, aby sobie zrobić z niej przycisk.

— Proszę patrzeć — rzekł pan Denon — co za cudo! Otóż, trzeba wiedzieć, że według wszelkiego

prawdopodobieństwa, pochodzi ona w linii prostej z rodziny Faraonów.

— Któż to może wiedzieć — powiedziałam — może to jest noga jednej z żon Sezostrysa?

— Niech będzie Sezostrysa — odparł — ale w takim razie żony, którą najbardziej kochał i po której płakał całe swoje życie.

Ciotka moja przedstawiła mnie swoim przyjaciołom; wszyscy prawie mieszkali na przedmieściu Saint-Germain, to jest należeli do opozycji. Szarpano tam wszystko, dużo wzdychano i zupełnie się nie bawiono; ja także bawiłam się tam tylko średnio. Jedynym przyjemnym domem, do którego mnie wprowadziła, był dom wicehrabiny Laval. Ta dowcipna kobieta brała rzeczy z dobrej strony; chępiła się, że tak powiem, swoim ubóstwem, nigdy nie mówiła o tem, co straciła, nie zdawała się uważać za złe, że inni się z bogacili; trzeba było, żeby majątek pocieszył ich za to, że nie byli z Montmorency. W tem rzecz.

Wyborowe towarzystwo, z którego młodzież wszelkich stronnictw nie była wyłączona i gdzie nawet ubiegała się ona, aby być przyjętą, zbierało się często w saloniku wicehrabiny; chodzić tam, znać było mieć patent na uprzejmość i dobry smak. Dom — chcę mówić o służbie — składał się z lokaja i murzynki, zajmującej pośrednie miejsce między niewolnicą a powiernicą; ona robiła herbatę. Na tych przyjęciach bardzo skromnych spotykałam wszystko, co Paryż zgromadził z ludzi znakomitych. Talleyrand i księżna kurlandzka ¹⁾ należeli do gości najpilniej

¹⁾ Anna Karolina Dorota Medem, księżna kurlandzka, ur. 1761—1821.

uczęszczających. Pani Talleyrand nigdy tam nie chodziła: *oddawała sobie sprawiedliwość*. Tam tylko słyszałam mówiących bez przymusu, polityka i duch stronnictw były wygnane. Pani Laval z niewymowną zręcznością poddawała temat do rozmowy; kiedy spostrzegła, że aktorzy są na scenie, milkła i zdawała się być pochłoniętą swoją robotą drutową z grubej welny, przynajmniej dotąd, póki jej nie poruszyła jakaś kwestya niezwykle zajmująca. Wówczas inni milkli z kolei; mówiła ona z wdziękiem tak oryginalnym i tak dowcipnie, że wszyscy byli pod urokiem. Musiała być niegdyś bardzo ładna; jej oczy czarne, mądre i łagodne, zachowały jeszcze blask zadziwiający. Słyszałam jak opowiadano, że jej stary szwagier, książe Laval, znany ze swoich głupstw, chcąc kiedyś wypowiedzieć jej swój zachwyt, jakiego doznawał przy tem aksamitnem spojrzeniu, zawołał:

— Trzeba przyznać, moja siostro, że masz oczy koloru aksamitnych spodni.

Znałam tego biednego księcia, bardzo steranego, umierałam ze śmiechu przy jego bredniach, powzięłam nawet myśl zebrania ich, gdyż w istocie były one niezwykle; na nieszczęście, albo bardzo szczęśliwie, głupstwa zapomina się szybko.

Opowiem przecież następującą anegdotę:

Było to na obiedzie u Talleyranda. Siedzieliśmy przy stole, gdy przyszedł książe Laval, na którego długo czekano. Pan domu, bez porównania grzeczniejszy od swojej żony, rozpytywał się w przeprosinach. Książe w tym czasie miał manię skupowania starych portretów; przyznał szczerze, że zapóźnił się z powodu targu o obraz.

— Złożę się — rzekł Talleyrand — że zrobies pan jeszcze nabytek z jakiegoś starego bohomazu.

— Ależ tak! — żywo odparł książę z powagą. — Jest to jeden z tych bohomazów, którybyś chętnie przyjął dla przyozdobienia swej biblioteki. Są to portrety dwóch sławnych osobistości.

— Ba! — powiedział Talleyrand, pogardliwie wydymając usta. — I cóż to są za osobistości?

— Poczekaj pan chwilę — rzecze biedny amator widocznie zmieszany, jedząc supę, aby zyskać na czasie i ochłonać; — kobieta ma to samo imię, co pani Regnault Saint-Jean d'Angely: jest to jakaś Laura. Co do pana, zapominam zawsze jego imienia; jest to coś podobnego do *Patragnel*!

Wszyscy umilkli; była to jedna z tych zdradzieckich ciszy, które poprzedzają wybuch szalonego śmiechu.

Lecz amfityryon nastaje na lichą pamięć biednego księcia, bez najmniejszego względu na współbiesiadników, po których prowadzi wzrokiem spokojnym, lecz pełnym złośliwości.

— Naucz - że się raz na zawsze imion swych bohaterów, mój drogi przyjacielu; chciałeś zapewne powiedzieć Laura i *Plutarch*.

— Tak, tak, właśnie ten niepoń Plutarch, zawsze go zapominam. Przy targu byli tacy, co mówili Petrarka, o ile mi się zdaje, ale to nieuki, którzy nie lepiej odemnie znali *imię rzeczywiste* kochanka Laury, Plutarch!... wszyscy to wiedzą... i ja także wiedziałem, przecież to historycznel!

Tego było za wiele; wybuchy śmiechu, długo powstrzymywane, stały się homerycznymi. Tylko ie-

den Talleyrand pozostał obcy tej wesołości i rzucając na całe towarzystwo surowe wejrzenie, miał chętność zapytać księcia, co znaczy ta wesołość, której przyczyny udawał, że nie *odgaduje*.

Pani Souza, której syn był niezdrow, opuściła nas nagle, szczęśliwa, że może czemś rozerwać swego chorego. W istocie nie widziałam od kilku dni pana F., ale co rano oddawano mi Lukiet fijołków razem z programem na cały dzień: albo było coś ciekawego, co wypadało wiedzieć, albo coś niezbędnego, czego nie należało zaniedbać. Dlatego pojechałam do marszałkowej Davout, która mię zasypywała grzecznościami podczas swego pobytu w Warszawie, kiedy mąż jej był gubernatorem w Polsce. Ponieważ lato przepędzała ona w Sarigny, tam trzeba było jej szukać. Posłałam do jej pałacu w mieście z zapytaniem, która godzina będzie najdogodniejsza do złożenia wizyty, i odpowiedziano mi, że w ciągu dnia. Udałam się więc do Sarigny podczas szalonego upału, niedobrze osłonięta malutkim kapelusikiem, przybranym fijołkami i bardzo skrępowana w liliowych ciżemkach, doskonale przystosowanych do sukni pod szyję z grodenablu tej samej barwy; pani Germont, wyrocznia mody, sama skombinowała całą moją toaletę.

Ta ranna elegancja wydawała mi się dość niewłaściwą.

Obiecywałam sobie jednak miłą wizytę, gdyż pałac marszałkowej w Paryżu dał mi dobre wyobrażenie o jej smaku i jej dostatkach i myślałam, że urządziła się zbyt kownie w Sarigny. Przyjechałam koło trzeciej. Zamek, otoczony fosą i murem, miał

jako wejście bramę szczelnie zamkniętą, w rowach rosła trawa, możnaby powiedzieć, że to posiadłość opuszczona od niepamiętnych lat. Kiedy mój lokaj znalazł wreszcie sznur od dzwonka, przybiegła po kilku minutach dziewczynka źle ubrana z zapytaniem, czego sobie życzę.

— Czy pani marszałkowa jest w domu?

— Przepraszam, *one są*, ale pan marszałek także, odrzekła dziewczeczka,

I pobiegła szybko zawołać jednego z ludzi zamkowych, który za nią poszedł, nie spiesząc i poprawiając wciąż swoją libryę.

Kazałam się zameldować i wciśnięta w róg powozu, czekałam jeszcze dość długo, nie wiedząc dobrze, czy mam czekać, czy poprostu zostawić kartę.

Po kwadransie prawie zjawił się w końcu u drzwi czek karety kamerdyner i wprowadził mnie na obszerny dziedziniec; tłómaczył się z powolności usługi, zapewniając mnie bez ceremonii, że w chwili, gdy przyjechałam, ludzie pracowali w ogrodzie, i że on sam był zajęty oczyszczaniem sadu.

Prowadzono mnie przez kilka salonów zupełnie pozbawionych mebli, a pokój, do którego mnie wprowadzono, wcale nie lepiej był przyozdobiony, jak poprzednie, ale przynajmniej stała tam kanapa i krzesła. Marszałkowa nie zwlekała ze zjawieniem się. Łatwo spostrzegłam, że ubrała się dla mnie, gdyż zapinała jeszcze kilka haftek stanika. Po kilku minutach ociężałej rozmowy zadzwoniła, aby uprzedzono jej męża. Później podjęliśmy naszą mozolną gawędę. Nie dla tego, aby pani Davout brakowało wprawy, lub była pozbawiona tego rodzaju dowcipu, który ułatwia sto-

sunki pomiędzy dwiema osobami z jednego świata, ale była w niej jakaś sztywność, którą można było wziąć za dumę. Nigdy nie zapomniała o *marszałkowstwie*; nigdy uprzejmy uśmiech nie ożywił rysów jej surowej twarzy. Była to zawsze homerowska Junona, albo raczej kobieta silna, która może śmiać się ze wstyśkiego.

Marszałek przyszedł spocony, co świadczyło o jego pośpiechu; siadł cały zadyszany i trzymając swoją chustkę do nosa, żeby sobie obetrzeć czoło, musiał ją poślinić, aby tem pewniej zetrzeć kurz, którym była pokryta jego twarz. To zaniedbanie, cokolwiek żołnierskie, nie zgadzało się z wykrochmalonymi manierami jego małżonki; była tem widocznie dotknięta. Uważając się za zbyt uczoną w tej niemej scenie, podniosłam się i chciałam się pożegnać, ale poproszono mnie, abym została na śniadaniu. W oczekiwaniu na posiłek, przeszliśmy się po parku. Nie było tam ani jednej uliczki wygracowanej, trawniki były z bardzo wysokiego zielska, mogącego utworzyć stogi siana, drzewa, ścięte podczas rewolucji, odrastały w kształcie krzaków, na każdym z krzewów zostawiałam strzępy moich falban, a moje liliowe ciżemki przybrały zielonawą barwę. Marszałek dodawał nam odwagi, głosem i gestem przyrzekając cudowną niespodziankę!... Jaki był mój zawód, kiedy na skrócie kępy młodych dębów znaleźliśmy się naprzeciwko trzech budek z łożyl! Książę uklęknął na jedno kolano i zawołał:

— Ach! oto one... oto one!...

Później zmieniając głos:

— Pi... pi... pi...

Natychmiast chmara kuropatewek zaczęła latać około głowy marszałka.

— Nie wypuszczajcie innych, aż wejdą najmłodsze i dajcie chleba tym paniom. Zabawią się, jak królowe,—powiedział do dryblasa, spełniającego funkcyę gajowego;—oto my pod piekącym słońcem karmimy kuropatewki!

Księżna z niewzruszonym spokojem i godnością opróżniła koszyk, który jej podano. Co do mnie, o mało co nie zemdlalam i nie mogąc już wytrzymać, zauważyłam, że niebo się chmurzy i że grozi nam burza.

Wracając do zamku, spostrzegłam mularzy, białych jedną z wieżyczek, która aż dotąd uniknęła świętokradztwa odnawiania i miała jeszcze tę powłokę, jaką może nadać tylko czas. Nie mogłam się powstrzymać od wyrażenia pewnego rodzaju krytyki. Marszałkowa zrozumiała mnie; sądzę nawet, że jej spojrzenia i pogardliwy uśmiech odgadłam, gdy toczyła się sprzeczka w sprawie wieżyczki; mąż nie ukrywał, że moje uwagi nie przypadły mu do gustu. Powstał nawet bardzo *energicznie* przeciwko manii zachowywania starych murów.

Po skończonem śniadaniu wymknęłam się z największym pośpiechem, przyrzekając sobie po niewczasie, że mnie już na to nikt nie weźmie.

W drodze rozmyślałam nad wszystkim, co widziałam i zawyrokowałam w duchu, że piękna Francya przedstawiała dziwne sprzeczności, że wielcy panowie z dawnych czasów byli śmieszni, njeuki, a dzisiejsi bohaterowie, oplaciwszy krwią wła-

sną swoje bogactwa, korzystali z nich w mizerny sposób.

W kilku słowach zdałam sprawę z mojej wizyty temu, co mi radził, abym jej nie opuściła. Prawie od dwóch tygodni przestał mnie odwiedzać; napisał do mnie, że z powodu choroby piersiowej zabroniono mu wychodzić. Spotykałam jednak często jego matkę, która nie wydawała mi się niespokojną.

Po pewnym czasie uczułam się zdrowym i oznajmiłam mi, że jego lekarz pozwolił mu wyjść na powietrze pod warunkiem, że wróci przed zachodem słońca. Było to dla mnie dosyć, ażebym odgadła, że przyjdzie w ciągu dnia. Oczekiwałam go i przyznaję, że po raz pierwszy powzięłam podejrzenie co do prawości jego postępowania ze mną. Wyobrażałam sobie, że przedstawiając się cierpiącym i smutnym, chciał rozbroić moją dumę i miałam się na baczności. O trzeciej przed bramą zatrzymał się kabriolet; na bieg konia zabiło mi serce.

Było to przy końcu maja, ale zrobiło mi się tak dotkliwie zimno, że kazałam rozpalić ogień; chcąc sobie dodać pewności, zaczęłam go poprawiać. Przysunął sobie fotel i siadł koło mnie, nie przerywając milczenia. Podniosłam wówczas oczy i boleśnie mnie uderzyła zmiana, wywołana tą krótką chorobą. Jednakże zebrałam się na szorstkość, mówiąc mu:

— Więc pan rzeczywiście był chory?

— Nie — odrzekł — nie bardzo, a teraz jestem zdrow zupełnie.

Te parę słów, wyrzeczonych słabym głosem, zbu-

rzyło nagle gmach nieufności i surowości, jaki zbudowałam z wielkim trudem.

— Przepraszam!—powiedziałam—przepraszam!... Zapomnij pan o tem śmiesznym pytaniu. Odpowiedz na moje szczerę zajęcie, na moją żywą przyjaźń, zapomnij o tem zdaniu banalnym i śmiesznym. Mów, dla Boga, o sobie... Co panu jest?

— Nic, rzeczywiście. Cierpiałem, ale to już przeszło. Ile razy doznam głębokich wzruszeń, pluję krwią, oto wszystko.

I stał nieruchomy, patrząc w ogień.

— Spodziewam się, że pan nie wątpił o mojem współczuciu?—odparłam—myślałam o panu więcej, niż sądzisz. Czując, że się rumienię, mimowolnym ruchem ukryłam twarz w dłoniach.

— Ach! niech mi pani tego nie mówi — zawołał—niech pani do mnie tak nie przemawia... Proszę mnie zawsze traktować, jak starego przyjaciela; żądałaś pani odemnie tylko tytułu.

Nie wiedziałam, co mam myśleć, byłam boleśnie dotkniętą i gubiłam się w domysłach.

Chcąc zapewne przerwać rozmowę, zarówno kłopotliwą dla nas obojga, wyjął zegarek i zwrócił uwagę na wskazówkę, która przeszła z trzeciej na czwartą godzinę.

— Niech pani popatrzy—rzekł—widzi pani, jak to prędko idzie! a przecież i życie biegnie tak samo; ci co cierpią, powinni być cierpliwymi. Przyrzekłem mojej matce, że wrócę o godzinie naznaczonej przez lekarza; chciała mi nawet nie pozwolić wyjść z powodu zimna, ale byłoby to zbyt wielkie wymaganie. Mam rozsądku więcej, niż przypuszczają — dodał

z melancholijnym uśmiechem — ale nie tyle, abym ciągle tylko myślał o sobie.

Wziął mnie za rękę, przycisnął ją do serca i gwałtownie się podniósł, nie pozwalając mi przyjeść do słowa. Znalazłszy się przy drzwiach, rzekł:

— Niech pani będzie tak dobrą i przyjedzie jutro na śniadanie do mojej matki; będziemy mieli także Labédoyère'a, który wyjeżdża do Hiszpanii; bardzo pragnie widzieć panią, niech mu pani zrobi tę łaskę; jest tego godny, zapewniam.

Skinęłam głową, a on wyszedł, zostawiając mnie w nieokreślonym smutku, którego przyczyny nie mogłam sobie wytłumaczyć. Nic się nie zmieniło w naszych stosunkach; nie dowiedziałam się niczego, co by mogło mnie zasmucić. Dwa miesiące prawie upłynęło tak wśród duchowych radości i uroku uczucia pełnego tajemnicy, upiększającego najprostsze czynności mego życia. Ale pryzmat rozbił się!... Czemuż nie potrwał dłużej tak krótki przeciąg czasu, który pozostał w mych wspomnieniach jako najszczęśliwszy z mojego długiego życia? Niestety! miałam ponure przeczucie i coś mi mówiło, że dramat miał się rozpocząć.

Od tej pory, przyznaję, towarzystwo straciło dla mnie główny swój powab.

Bądźcobać, ponieważ konwenanse wymagały, abym w niczem nie zmieniła trybu mego życia bez słusznej przyczyny, w dalszym ciągu bywałam w świecie, z przymusem poddawałam się rozrywkom i zabawom, chciałam się zagłuszyć.

Nazajutrz udałam się na śniadanie. Widziałam

młodego Labédoyère'a tak pięknego, tak dzielnego, tak szczęśliwego.

Pan F... był daleko mniej ponury, niż wczoraj; zauważyłam nawet, że silił się w obecności matki i swego przyjaciela na wesołość, która nie była mu wyczajną, i wywnioskowałam, że zachował swoją tajemnicę. Kiedy zakaszłał, matka wyrzucała mu, że wyszedł wczoraj.

— Niestety!—rzekł—jestem za to zbyt ukarany, ponieważ doktor skazał mnie na tydzień więzienia. Ale kiedy pozwolą mi wyjść, zawiozę naszych znakomitych podróżnych do Malmaison.

Pod tem szumnem mianem rozumiał księżnę kurlandzką i mnie. Księżna była wdową po ostatnim z książąt i po śmierci swego małżonka utraciła swe stanowisko. Rosya pozostawiła jej tytuł i olbrzymią fortunę, którą książę zawarował swej żonie kontraktem ślubnym. Przyjechała do Warszawy nie wiem już z jakiego powodu i została świetnie przyjęta przez Stanisława Augusta, wówczas króla. Księżna obchodziła się ze mną życzliwie ze względu na wspomnienie księcia, który ją ugościł tak wytwornie; towarzyszyłam jej na dwór i uroczystości oficjalne. To mnie zachwyciło, że jej ekwipaż nie trzymał się przepisanej kolei. W czasie, o którym mówię, księżna schodziła z pola, ale zachowała ostatki piękności, zapewniające jej spóźnione powodzenia. Jej książęca fortuna pozwalała jej utrzymywać dom na wielkiej stopie; wszyscy ubiegali się o zaszczyt jej znajomości. Talleyrand, który nie był nieczuły na wdzięki tej kobiety, umieścił ją pomiędzy zaufanymi pierwszego rzędu pani Laval, a w tym

salonie przyjętem było zachwycić się wszystkim, co zrobiła księżna—zachwycano się przedewszystkiem jej wykwintnemi toaletami i jej brylantami. Widywam ją często, jak przyjeżdżała o północy, przychodziła pokazać swoją balową toaletę i nowy klejnot, tak jakby to była dwudziestoletnia kobieta. Jej stary wielbiciel czekał na nią zawsze i przyglądał się jej z zachwytem, co mogło doprowadzić do śmiertelnej zezdrości cały jego seraj, do którego należała moja ciotka, Tyszkiewiczowa.

VII.

Przechadzki po Paryżu.

Hrabina Mniszchowa. — Pasaż panoram. — Królowa Polski. — Wizyty w pracowniach malarzy. — David. — Girodet. — Gérard. — Autorki *Pamiętników*. — Ksiądz Morellet. — Panna Lenormand. — Pani Souza i mała wróżka. — U pitonissy. — Burzliwa młodość. — Przepowiednia urodzin hrabiego Maurycego Potockiego.

Miałam jeszcze drugą ciotkę w Paryżu: hrabinę Miniszchową¹⁾, stryjecną siostrę mojej matki i siostrzenicę ostatniego z naszych królów. Zajmowała ona znaczną część mojego czasu. Bardzo dobra osoba, ale niezbyt inteligentna i od dzieciństwa próżna, czuła się w prawie wymagania przywilejów *księżniczek krwi* i z tego powodu miała wiele przykrych zajęć. Ani smutny koniec króla Polski, ani podział naszego nieszczęśliwego kraju, nie mógł wyleczyć jej z tej pretensyi. Cesarzowa rosyjska w czasie, kiedy obdarzała swemi względami Polaków, przysłała jej wstęgę świętej Katarzyny. Ciotka moja

nosiła gwiazdę od niej przy wszystkich sposobnościach, tak, że w Wiedniu przewano ją *Hrabiną z Gwiazdą*. Wystarczało jej za pomocą przepychu podtrzymywać blask urodzenia. W Paryżu na usługach jej był marszałek dworu nieszczęsnej księżniczki de Lamballe. Sekretarz jej, pan de Ville, był to jeden z dawnych panów, którego stosunki, zarówno niezaprzeczalne, jak zapomniane, miały używać, jak sądziła, wiele świetności jej domowi. Wydawała pyszne kolacye, bardzo nudne, ale wspaniałe, na które zapraszała nie nieznaczących wielkich panów i nieznanym literatów. Dlatego też wymykano się, jak tylko na to pozwalała przyzwoitość, co jej wcale nie dogadzało, gdyż mniemała, że obowiązkiem jej jest podtrzymywać rozmowę. Nie wiedząc dobrze, jak się do tego wziąć, poleciła, żeby nie zdejmowano obrusa.

— Najbardziej ożywione rozmowy—mówiła—prowadzi się przy nakrytym stole.

Dwa lata spędziła we Francyi i zamyślała o wyjeździe; chciała więc przed opuszczeniem swego wybranego kraju zwiedzić wszystko, co jej wskazano jako rzecz godną widzenia.

Otworzono właśnie pasaż Panoram. Należało do dobrego tonu robić tam sprawunki. Ciotka moja zaprowadziła tam swoje córki—a najmłodsza i najdowcipniejsza z córek księcia Ligne (księżniczka Flora) towarzyszyła nam. Orszak nasz był świetny i liczny. Miałymy dwóch lokajów w liberyi szkarłatnej, z galonami na wszystkich szwach, murzyna i strzelca. Zatrzymywano się na ulicach, aby się nam przypatrzyć.

¹⁾ Z domu Zamoyska, była córką Ludwiki, starszej siostry króla Stanisława Augusta.

Szlachetny sekretarz jechał za nami w małym powoziku, zaopatrzony w woreczek dobrze napełniony. Kiedyśmy tylko wysiadli, otoczyła nas chmara uliczników; przy każdym sklepie, do którego wchodziliśmy, tłum stawał się gęstszy, wchodzono na balustrady magazynów, aby nas lepiej widzieć. Moja biedna ciotka, zelektryzowana wrażeniem, jakie mnie mała, że wywiera, podwoiła wybryki, kazała odkładać na stronę najnowsze i najdroższe rzeczy, zalecając panu Ville *bardzo głośno*, żeby się nie *targował*, gdyż ten *gminny* zwyczaj był dla niej wstrętnym. Zwracając się tak do księżniczki Flory, jak i do mnie i do córek swych, błagała nas o wybranie sobie tego, co by mogło zrobić nam przyjemność i obsypywała nas podarunkami.

Nie trzeba było nawet tyle, aby wzbudzić ciekawość gapiów; wkrótce ulicznicy ustąpili miejsca próżniaczym paryżanom, krążącym bezustannie, ażeby nie wymknęło się im nic, co by mogło być opowiedziane w jakim dzienniku.

Nie obliczywszy się ze skutkiem nierozważnego słowa, księżniczka Flora powiedziała do jednego ciekawskiego, zaglądnącego przez ramię:

— Czy wiecie, kto jest ta pani?... *To królowa polska.*

Słowo to natychmiast pobiegło z ust do ust; przeskakują kontuar sklepu, otaczają nas, duszą; powstaje nieopisane zamieszanie, a ucieczka jest niemożliwa. Na szczęście, poczciwy kupiec spostrzegłszy bezskuteczność wysiłków, jakie robiła nasza służba, aby utorować nam przejście, otworzył ukryte drzwiczki i tym sposobem dał nam możliwość wy-

mknięcia się. A moja ciotka, nie wiedząc o figlu, wyplatany przez księżniczkę Florę, powtarzała bezustannie, że *niektóre osoby nie mogą bezkarnie ukazywać się publicznie.*

Postanowiwszy obejrzeć wszystko, obeszliśmy pracownię. Malarze rodzajowi wydali mi się bardzo miłymi. Szczegóły ich obrazów były bardzo powabne, lecz teś mój nauczył mnie zachwycać się tylko szkołą włoską i zdziwiłam się, że mając przed oczyma najpiękniejsze wzory, malarze szkoły francuskiej zrobili tak małe postępy, nawet, rzecz można, nie zrobili ich wcale; w najnowszych utworach nie można było spostrzedz nic wielkiego, nic szlachetnego, nic śmiałego. Młodzi malarze byli rzeczywiście mniej zmanierowani od Boucher'ów¹⁾ i Vanloo'ów²⁾, ale nie zmierzali ani do poprawności Lesueur'a³⁾, ani do śmiałości Poussin'a⁴⁾, ani do kolorytu Lebrun'a⁵⁾, możnaby pomyśleć, że geniusz wyszedł z mody!

¹⁾ Franciszek Boucher, ur. 1704, zm. 1770 r., zwany „malarzem Gracyj“, niewyczerpany w przedstawianiu zmysłowo-złotnych obrazów.

²⁾ Jest to nazwisko licznej rodziny malarzów holenderskich, z których najgłośniejsi: Jan Chrzecieli i Karol Andrzej.

³⁾ Piotr Lesueur, ur. 1636, zm. 1716 r., znakomity drzeworytnik francuski.

⁴⁾ Mikołaj Poussin, ur. 1594, zm. 1665, był jednym z najznakomitszych francuskich malarzy historycznych i pejzaży-stów; odznaczał się wykończoną techniką.

⁵⁾ Karol Lebrun, ur. w Paryżu 1619, zm. 1690 r. Odznaczał się bogactwem wyobraźni i wielką umiejętnością układu.

Szkoła nowoczesna okazywała jakby pogardę dla tych wielkich mistrzów. Jeden tylko David ¹⁾ był kłasykiem; bądźco bądź, jego trupi koloryt przynosił ujmę dokładności rysunku, obrazy wyglądały na płaskorzeźby. Obraz, który, według mego zdania, zapewnia David'owi nieśmiertelność, jest historycznym portretem Napoleona, wdzierającego się na górę Świętego Bernarda na czele swego wojska, które widać w wozie. *Siedzi on spokojnie na ognistym koniu* ²⁾.

Girodet powinien był umrzeć, skończywszy „Dydonę”; żadne z jego dzieł nie jest warte tego małego obrazka. Co prawda, Eneasza jest trochę drewniany, brak mu życia, ale na drugi schodzi on plan, tak przyciąga grupa dwóch kobiet.

Gérard ³⁾ zrobił kilka pięknych portretów — celuje w tym rodzaju. Ale daje się pociągnąć chęci malowania zbyt wielu szczegółów, za dużo poświęca dla przypodobania się chwilowemu smakowi i zbyt starannie maluje szale kaszmirowe i ażurowe pończochy. Suknie dworskie, bogato haftowane i ubrane koronkami, włosy w grajcarek i krótkie stany sprawia, że jego dzieła wyjdą z mody. Zręczny malarz

¹⁾ Jakób Ludwik David, ur. 1746, zm. 1825 r. Malarz, stanowiący epokę w rozwoju malarstwa francuskiego, do którego wprowadził wysoki nastrój, powagę i siłę.

²⁾ Ten wspaniały portret, porwany przez Blücher'a, znajduje się teraz w Jablonnie. (Przypisek autorki.)

³⁾ Franciszek Gérard, ur. w Rzymie 1777, zm. w Paryżu 1824 r., znakomity malarz historyczny, naśladowca David'a. Najznakomitsze są jednak jego portrety.

powinien tak robić, żeby jego portrety były obrazami.

Byłam bardzo zdziwiona widząc, że pracownie tych panów przepełnione są rozpoczętymi płótnami, znając olbrzymie ceny, jakie malarze tej epoki nakładali na swoje dzieła. Były to prawie wszystko szkice, kreślone z natury, przedstawiające rodzinę cesarską lub bogatych cudzoziemców; Francuzi nie pozwalali sobie zupełnie na te drogie przyjemności.

Młode kobiety, opowiadające swoją podróż, czują się prawie wszystkie w obowiązku poświęcić jeden lub dwa rozdziały *głębokim rozmyśleniom* nad postępami cywilizacyi, nauk etc. Po większej części dysertacje te są ściągnięte z jakichś zapomnianych książek, albo są ułożone przez jakiegoś *uczonego* lub *przyjaciela*. Czasami zwracają się do nieznanych pisarzy, którzy dają wypracowania po tyle a po tyle za stronicę. Co do mnie, postanowiwszy być szczerą w całym znaczeniu tego słowa, muszę przyznać, że nie szukałam literatów. Aby ocenić ich według istotnej ich wartości, wystarcza sądzić o nich z tego, co wydają na widok publiczny. Jedna wizyta wydawała mi się zawsze zarówno niepotrzebną, jak i niestosowną. Nie należy chodzić oglądać uczonego, jak *osobliwość*. Ten powierzchowny zwyczaj wyproszenia sobie zdania prawie zawsze ma za побudkę głupią próżność. Wróciwszy do siebie, osoba ta pisze:

„Taki to pan, znany dobrze ze swoich znakomitych dzieł, przyjął mnie w sposób najbardziej zachwycający; rozmawialiśmy przeszło godzinę; był *zdziwiony* łatwością, z jaką wyrażałam się jego je-

zykiem i poradził mi spisywać swoje wspomnienia. Jest to człowiek rzadkich zasług; ma wiele dowcipu etc., jednym słowem, jest to jeden z tych uczonych, których spotyka się tylko we Francyi i pomiędzy Francuzami; gdzieindziej trzeba skupować naukę za cenę nudów etc. etc.”

To mnie zdziwiło, że w towarzystwie rzadko spotykało się sławy najświeższe. Za takiego władcy *niwelatora*, jakim był Napoleon, który pragnął, aby wszelka zasługa miała prawo do zaszczytów, powinoby się było spotykać w salonach więcej artystów i literatów.

U pani Souza widywałam zawsze tylko księdza Morellet¹⁾. To on, o ile mi się zdaje, ocalił się podczas Rewolucyi 1799 od powieszenia na latarni dowcipem: „Czy będzie wam przez to widniej?” W bardzo podeszłym już wieku, niewiele mówił i przychodził na obiad jedynie, ażeby zaspokoić okrutny apetyt; po obiedzie odbywał siestę. Chrapał przez dobrą godzinę i w końcu budził się; wówczas proszono mnie o odwiezienie go aż do bramy; wywiązywałam się z tej misyi chętnie, gdyż mieszkał w mojem sąsiedztwie. Zachowywaliśmy zazwyczaj najgłębsze milczenie, ale w chwili, kiedy lokaj mój otwierał drzwiczki, ksiądz poczuwał się do obowiązku podziękowania i już ze stopni swego powozu zwracał się i mówił swoim nosowym głosem:

— Dziękuję, moja miła i piękna panil

A ja mu życzyłam dobrej nocy.

¹⁾ Ksiądz Morellet, przezwany przez Voltera *Morelles*, jeden z najradykalniejszych pisarzy XVIII w., ur. 1727—1819 r.

Na tych obiadach, gdzie rozmawiano wesoło o wszystkim, ktoś zaczął mówić o panie Lenormand—z powodu przepowiedni, zrobionej cesarzowej Józefinie, przepowiedni, której *połowa* już się spełniła.

Wyraziłam wielką chęć zobaczenia tej sławnej Sybilli, ale mnie zniechęconó, zapewniając, że wyrocznie mierzyła umówioną zapłatą i że przyszłość tak otaksowaną sprzedawała po dwanaście do trzydziestu sześciu franków. Złudzenie nie mogło się oprzeć tej prozie.

Pani Souza, która nie zapierała się, że jest bardzo przesadna, opowiedziała nam, iż zna wróżbiarkę znacznie lepszą od panny Lenormand; jak mówiła, przepowiedziała jej ona nadzwyczajne rzeczy.

— Gdybym *nie bała* się powtórzyć ich--dodała pani Souza — bylibyście ogromnie zdumieni, tak dalece są one nieprawdopodobne.

Jeden ze współbiesiadników ośmielił się zapytać, czy ta wróżbiarka nie oznajmiła upadku cesarstwa? Pani Souza potrząsnęła tylko głową i nie chciała nic powiedzieć.

Ażeby przerwać te niedyskretne pytania, zaproponowała mi, że mnie zaprowadzi do kabalarki. Zgodziłam się chętnie i na trzeci dzień wprowadziłyśmy w czyn ten projekt. Nie przypominam już sobie, gdzie mieszkała ta kobieta. Poszłyśmy pieszo, o zmroku, dobrze zakutane, dobrze przebrane. Moja przewodniczka przebyła pierwsza z rzadką nieustraszonością cztery piętra straszliwie stromych schodów. Szłam za nią, trochę zawstydzona.

Na hałas, sprawiony przez nas, wyszła kobiet-

ka jeszcze dość młoda i zapytała, czego sobie życzymy.

— To ja — rzekła moja towarzyszka — przyprowadzam pani jedną z moich krewnych, która przybywa z prowincyi i pragnie dowiedzieć się, jaki los czeka ją w Paryżu.

Kobietka zdawała się namyślać, a nie mogąc poznać pani Souza, wytłumaczyła się z tego tak:

— Przychodzi do mnie tyle osób — powiedziała — nic zatem dziwnego, iż twarze mieszają mi się, tembardziej, że ponieważ nikt nie wymienia swego nazwiska, nie nie dopomaga mojej pamięci.

Zachwycone tym dyskretnym początkiem, rzekliśmy, że wolno zapominać o przeszłości, kiedy ma się dar czytania w przyszłości. Nie zdawało się, aby komplement ten pochwilił jej, sądzę nawet, że go nie zrozumiała, będąc bardzo prostą tak umysłem, jak i wyrażaniem się.

Moja towarzyszka, chcąc dodać mi odwagi, pierwsza zabrała miejsce przy czarodziejskim stole, prosząc o karty, a nie o fusy z kawy. Nie rozumiem, z jakiego powodu mała wróżka zabawiała się *przeszłością*, zamiast zająć się przyszłością. Dowiedziałam się *potem*, że pani Souza miała burzliwą młodość — była bardzo czarująca i nie zawsze okazywała się obojętną na hołdy, składane jej dwoćcipowi. Przeszłość stawiała się niebezpieczną, trzeba było przezwyciężać niedyskretne odkrycia.

— Ma pani jednego tylko syna, a syn ten, czule kochany, będzie narażony na wielkie niebezpieczeństwo — powiedziała Sybilla do mojej towarzyszki.

Biedna matka nie mogła powstrzymać okrzyku przerażenia.

„Niech się pani uspokoi — dodała kobieta — jest ocalony! Moznaby powiedzieć, że niebo uczyniło cud! Gwiazda jego należy do najszczęśliwszych. Mogę twierdzić, że niebezpieczeństwo, na jakie w tej chwili był wystawiony, nie pochodziło z przyczyny *ludzkiej*: walczył przeciwko żywiołom; nie potrafiłabym dokładnie oznaczyć, czy to jest woda, czy ogień, ponieważ karty moje nic dość pewnego nie mówią mi w tym względzie, ale niech pani będzie spokojna, dowiesz się przez wdowę jednego ze swoich przyjaciół o szczegółach tej przygody, w której syn twój nie sam był zagrożony.

Spoglądałyśmy na siebie w milczeniu. Nie chcąc nic więcej wiedzieć, towarzyszka moja zmusiła mnie do zajęcia swego miejsca. Nie mogę się pochwalić, ażebym nie była wystraszona, ale powzięłam szybko postanowienie i zdecydowana nie odmawiać sobie niczego, poprosiłam i o karty i o fusy, ciągle sobie powtarzając, że trzeba będzie wypowiadać się z tego przestępstwa względem przykazań kościelnych.

Przeszłość moja składała się jeszcze z tak niewielu faktów. Życie moje było spokojne i ciche, wypełniały je obowiązki i uczucia, nad którymi zbierała się burza wprawdzie, ale i ta ominęła mnie następnie. Dwoje moich zachwycających dzieci zatem stało na pierwszym planie tego rodzinnego obrazu. Postawiłam za warunek, ażeby nie mówiono mi, jak długo będzie trwało życie drogie mi osób. Po długim namyśle i kombinowa-

niu fusów z kartami mała wróżka zapewniła mnie, że los moich dzieci podobny będzie do mojego. W jej słowach jednak zauważyłam jakiś odcień wahania, który mnie przeraził. Trzeba wielkiego zuchwalstwa, aby nie obawiać się podniesienia dobroczynnej zasłony, kryjącej przed nami przyszłość; niestety! aż nadto się dobrze przekonałam, jak wiele obawiać się miałam w przyszłości ¹⁾.

Kobieta spostrzegła zapewne strach, jaki mną owładnął, gdyż powiedziała mi:

— Nie mówmy o dzieciach, jakie pani ma; los ich, powtarzam, nic nie zawiera nadzwyczajnego, ale po powrocie do kraju, wydasz na świat syna, o którym będą mówili. Nie wiem właściwie, z kąd pani przyjeżdża, ani jaka jest twoja ojczyzna, ale najpewniej jest pani z *miejsca*, gdzie nigdy nie jest się spokojnym, a w moich kartach widzę wojnę i krew. Otóż syn ten, który przyjdzie na świat pod najszcześniejszą z gwiazd, będzie dowódcą potężnego stronictwa, może nawet zostanie królem.

Zacęłam się śmiać i spojrzałam na panią Souza; myślałam, że to ona przygotowała tę mistyfikację i podyktowała wszystkie te głupstwa. Ale ona przysięgła mi, że od wielu lat noga jej nie stała w tym domu. Kobiątka, domysławiając się moich podejrzeń, wydała się niemi dotkniętą i aby dodać swoim przepowiedniom więcej wagi, przedstawiła mniemane próby, za pomocą których mogłabym się upewnić o prawdziwości jej wróżb.

¹⁾ Jest to aluzja do przedwczesnej śmierci Natalii Potockiej, księżnej Sanguszkowej.

— W kilka miesięcy po powrocie do kraju zostanie pani brzemienną i na krótko przed słabością zdarzy się pani wypadek, którym nie należy się jednak niepokoić; dziecko pani przyjdzie w czasie oznaczonym, urodzi się w *czepku*, będzie piękne, silne i będzie miało znak bardzo widoczny na lewym boku. Nadto, mogę panią zapewnić, że będzie obdarzone tem, co nazywamy *miłością ludzi*; wszędzie, w każdym wieku, będzie kochane zarówno przez starych, jak i przez młodych, biednych, jak i bogatych, przez mężczyzn tyle prawie, co przez kobiety; urok jego będzie nieprzeparty i będzie zależał głównie od jego dobrego charakteru.

Te słowa wyryły się w mojej pamięci i mogę zapewnić, że wszystkie przepowiednie sprawdziły się. W czasie mej ciąży miałam lekki wypadek; dziecko urodziło się zupełnie zdrowe, w *czepku*, a znamię zapowiedziane, podobne do maliny, bardzo jest widoczne.

Gdybym była rozmyślała nad tą przepowiednią, mogłabym przypuścić, że wyobraźnia podziałała na naturę, ale wyjechawszy z Paryża, nie myślałam już o tem wcale. Miałam inne radości i inne troski. Dopiero w chwili, gdy syn mój przyszedł na świat, wszystkie te słowa małej wróżki stanęły mi w pamięci.

VIII.

Malmaison. — Wyznanie.

Józefina. — Sypialnia Napoleona. — Smak Józefiny. — Galeria obrazów. — Ogrody i cieplarnie. — Zaproszenie cesarza. — Rozmowa Napoleona z ministrem wojny — List Karola F... — Wyjaśnienie. — Miłość oficera. — Nieznajoma.

Wkrótce po tej wyprawie przyjechaliśmy zwiedzić Malmaison, które opuściła Józefina, udając się do Szwajcaryi. Ponieważ cesarz często składał wizyty ex-monarchini, Marya Ludwika obraziła się, postanowiono więc, żeby Józefina natychmiast się oddaliła. Pragnęłam być jej przedstawioną, ale nie przyjmowała obcych; ukazywała się tym tylko, którzy przez swoje stałe przywiązanie okazali się godnymi jej zaufania i życzliwości. To biedne, zbolełe serce zamykało się w sobie; o ile Józefina lubiła dawniej świat, o tyle teraz szukała samotności. Przynajmniej w Malmaison nie prześladowała jej niedyskretna ciekawość; zapewniano, że dużo płakała i bynajmniej nie starała się ukrywać swego smutku. Będąc głęboko przywiązaną do Napoleona, daleko więcej żał jej było jego samego, niż świetnego stanowiska, którego ją pozbawiono.

Pokazano nam Malmaison od dołu do góry. Nie potrafiłabym wypowiedzieć, z jakim zajęciem i z jaką chciwą ciekawością oglądaliśmy te miejsca, będące świadkami najważniejszych wypadków.

Tyle miłości i tyle sławy! Bajeczne sprawozdania, niezliczone tryumfy, upojenia, jakim równych nie był! Cały dramat życia bohatera rozwinął się tam w ciągu lat dziesięciu ¹⁾, a te drgające jeszcze wspomnienia nadawały teraźniejszości jakby odbłask minionych czasów.

Sypialnia Napoleona, ta, w której jako pierwszy konsul marzył już o sobie jako o cesarzu, o panowaniu nad światem i w której następnie, jako już monarcha absolutny, kołysany chwałą, szukał spoczynku, jest jeszcze teraz taką samą, jaką opuścił, aby już do niej nie wrócić! Józefina zabroniła tam wchodzić ciekawym. I tylko przy pomocy złota i upornych nalegań pokazano ją nam.

Gdyby kiedyś *świętokradzka moda* ośmieliła się zmienić urządzenie tego pokoju, byłby to jeden z tych występków, któreby potomność miała prawo wyrzucić narodowi, że temu nie zapobiegł. Malmaison powinienoby stać się własnością narodową.

Pominawszy już zajęcie, jakie obudzają zawsze najdrobniejsze szczegóły z życia wielkiego człowieka, pokój ten sam przez się był jednym z najpiękniejszych, jakie można było widzieć. Rzeźbione łóże ma formę starożytną, prostą i bez zarzutu; stoi ono na wzniesieniu, pokrytem olbrzymią skórą tygrysią nadzwyczajnej piękności. Wspaniały namiot, zastępujący

¹⁾ Malmaison nabyła Józefina w roku 1798.

firanki, podtrzymują trofea wojenne, z których każde przypomina jakieś zwycięstwo lub jakiś podbój. Nie są to nic nie znaczące oznaki wojskowe, ani bogate ozdoby; to jakby żywa kronika, opowiadająca o wielkich czynach żołnierskich i chwale wojownika, którego były zdobyczą.

Wszystko, co przemawia do wyobraźni, mimowoli wywołuje szacunek i skupienie ducha. Przez cały czas, kiedyśmy rozglądali się w szczegółach tej komnaty odtąd historycznej, milczenie było przerywane tylko głosem kustosa, do którego od czasu do czasu zwracaliśmy się cicho z pytaniami; możnaby było pomyśleć, że pan świata mógłby nas usłyszeć.

Apartament Józefiny niczem nie zwracał na siebie uwagi, chyba brakiem smaku, gustu i harmonii, jaki w nim się rozpościerał. Urządzenie jest złożone z wszelkich barw i wszelkich stylów; — jest to kupa cacek, gdzie nie dostrzega się ani wytwornej prostoty, ani artystycznego zmysłu — niema wcale wspomnień, wszystko tam jest wczorajsze. Moda, tak potężna w Paryżu, panuje tu wszechwładnie. Nie mogłam obronić się uczuciu próżności, porównywając apartament Józefiny z tym, który urządziłam w Napolinie.

Jedna tylko galerya obrazów nie podlega najmniejszej krytyce. Łatwo odgaduje się, że kierował nią artysta, pełen smaku i zręczności. Szkoła flamandzka znacznie przewyższa tu szkołę włoską. Nie chcąc pozwolić sobie na jeden z tych uciążliwych opisów, co nudzą nieświadomych, a nigdy nie zadowalają znawców, poprzestanę na zanotowaniu, że galerya ta mieści najpiękniejsze obrazy Klaudyusza

Lorrain ¹⁾, wspaniałego Ruysdaëla ²⁾, wiele płócien Pawła Pottera ³⁾ i mnóstwo zachwycających Wouverman'ów ⁴⁾.

Co do architektury domu, jest ona nie tylko błędna, ale pospolita. Korpus gmachu, zgnieciony i niski pod dachem ze stryszkami, okna wąskie i małe, drzwi wąskie, trochę niezgrabnych ozdób — słowem, lichota bez prostoty i pretensje bez wielkości.

Ogrody, a głównie cieplarnie nie są zachwycające. Tyle jest rzadkich roślin ze wszystkich części świata, iż możnaby pomyśleć, że się jest pod zwrotnikiem.

Kiedy się w przybliżeniu obliczy olbrzymie koszty założenia i utrzymania tych ogrodów, nie można już wątpić, że nad wszelki zbytek, jakim się otaczała Józefina w ciągu lat dziesięciu, krzewiła zbytek w roślinach i kwiatach. Nie zaniebdywała elegancyi i toalet, ale istotną namiętnością cesarskiej było zamieszanie do parku i cieplarni. Ileż czaru musiał dodawać ten zakątek, załotnie ustrojony, zabawom i romansowym intrygom świetnego i lekkomyślnego dworu!...

¹⁾ Klaudyusz Lorrain (właściwie Gelée), jeden z najznakomitszych pejzażystów francuskich, ur. 1600, zm. 1662 r., przewany został „Lorrain“, ponieważ był rodem z Lotaryngii.

²⁾ Jakób Ruysdaël, największy pejzażysta holenderski, zachwycający nieopisaną tęsknotą i głębią nastroju, ur. 1635, zm. 1681 roku.

³⁾ Paweł Potter, holenderski malarz zwierząt, zwłaszcza wołów i krów, ur. 1625, zm. 1654 r.

⁴⁾ Filip Wouverman, najznakomitszy malarz koni, ur. 1620, zm. 1668 r. Większa część tych obrazów znajduje się teraz w pinakotece monachijskiej.

Powróciwszy do siebie, znalazłam zaproszenie, które mnie równie zdziwiło, jak mi pochlebilo. Był to list od szambelana dworu, oznajmiający, że został mi udzielony zaszczyt obiadowania w Saint-Cloud z ich cesarskimi mościami o godzinie szóstej; była dziesiąta¹⁾. Nic nie było rzadszego, jak taka łaska, szczególnie zaś względem cudzoziemki. Cesarz po ożenieniu się trzymał się dawnej etykiety dworu francuskiego i obiadował tylko w kółku rodzinnem. Przyrzekłam sobie, że nie pozwolę, ażeby me żale pozostały nieznane. Na szczęście, bal w ministerium wojny, na którym musiał być obecny cesarz, dawał mi sposobność do *wytlómaczenia się*. Spodziewałam się, że Napoleon, według swego zwyczaju, raczy przemówić do mnie kilka słów. Postarałam się więc pojechać wcześniej na tę zabawę, ażeby dobrze się ulokować. Chcąc być pewną zwrócenia na siebie uwagi cesarza, postarałam się o ubranie we wszystkie moje brylanty i o toaletę bardziej jaskrawą, niż te, jakich dotąd używałam, może być dlatego, żeby się wyróżnić. Jak przypuszczałam, cesarz, spostrzegłszy mnie, zwrócił się w moją stronę, przybierając nadąsaną minę.

— Ach! pani hrabina — rzekł — wróciłaś pani wczoraj do siebie zapewne bardzo późno; spodziewaliśmy się pani i miejsce jej zostało niezajęte!

Ośmielona tem uprzejmem przyjęciem, próbowałam wyrazić żal, jakiego doznałam, otrzymawszy

¹⁾ List ten znajduje się w moim okrągłym pugilaresie; zachowałem go, jak również wiele innych papierów; wszystkie pochodzą z tych ciekawych czasów. (Przypisek autorki.)

list, który mnie objaśnił o tem, czego pozbawiła mnie moja nieobecność. Ponieważ słuchał mnie z uśmiechem, dodałam, że lepiej byłoby, gdybym nie była przyjeżdżała do Paryża....

Pozwolił mi mówić, bawił się mojem zmartwieciem i wreszcie pocieszył mnie, mówiąc z zachwycającą dobroduszością, iż znam zapewne stare przysłowie: *że co się odwlecze, to nie uciecze* i że na drugi raz *zawczasu się to urządzi*.

Rozmowa ta, dosyć długa, aby obudzić zazdrość, wywołała najniestosowniejsze gadaniny. Niejedna kobieta zazdrościła mi tego, co nazywano mojem *stanowiskiem*, i wiele potajemnie ubiegało się o łaskę, którą niby to pogardzały.

Przez kilka następnych dni otrzymałam mnóstwo wizyt; wiele osób, co przedtem nie myślało zrobić mi tej grzeczności, złożyło u mnie swoje karty, i powiedziałam sobie, że pod względem nikczemności wszystkie dwory są sobie podobne, tak najnowsze, jak i najstarożytniejsze. Jakże dalecy byli od odgadnięcia tego, co mnie zajmowało! Wyjechawszy z balu, nie pomyślałam już o tem drobnem zdarzeniu próżności.

Od czasu swego wyzdrowienia Karol nie odwiedzał mnie już tak często; wybierał godziny, kiedy przyjmowałam ludzi obojętnych, będąc pewnym, że nie zastanie mnie samą. Był wszakże bardzo dokładnie powiadomiony o tem, co robiłam, i nie przestawał kierować memi krokami. Oto bilet, który mi przysłał nazajutrz po wspańiałym balu w ministerium wojny, o którym wszystkie dzienniki ówczesne przechowały wspomnienie.

„Co robiła pani wieczoraj wieczorem? Spodziewałem się spotkać panią u księżnej L... Powinna była pani tam pójść; dlaczego pani nie przyszła? Nie ośmieliłem się zjawić u pani, obawiając się, że już jest za późno, albo, jeżeli mam być szczerym, lękając się znaleźć panią samą, powstrzymałem się od tego. Czy pozwoli mi pani towarzyszyć sobie jutro rano do Gérard'a? Wszyscy tam jada, aby zobaczyć portret pani Walewskiej. Tak tylko chcę panią widywać. Jakkolwiekbym wydał się pani dziwnym, proszę mi nie odbierać ani swej ufności, ani swej przyjaźni. Niech mnie pani znosi, niech mnie pani żałuje. Gdybyś mogła odgadnąć, jak dalece jestem nieszczęśliwy, zrozumiałabyś, że więcej niż kiedykolwiek potrzebuję twojej pobłażliwej przyjaźni i że jestem godny szacunku.“

Są chwile w życiu, kiedy jedno słowo stanowi o przyszłości. Te kilka wierszy wywołały wyjaśnienie, którego oboje lękaliśmy się i unikali.

Pan F... okazywał mi ciągle tę samą uprzejmość, co dawniej. Gdyby był wyszukiwał różnych sposobności widzenia mnie samą, gdybym wreszcie przypuszczała, że powinnam mieć się na baczności względem jego zamiarów, zachowałabym ostrożność i co do niego i co do siebie. Ale ta stałość w unikaniu mnie, ten niezwykły smutek, którego przyczyny nie znałam, tajemniczość, jaką okrywał swoje uczucia, a nadewszystko rozsadek, kierujący wszystkimi jego krokami, wzruszyły mnie bardziej jeszcze niż jego dawniejsze nadskakiwania. Po raz pierwszy ośmieliłam się przyznać, że go kocham i pozwoliłam mu to odgadnąć. Niepodobna mi dziś przypomnieć sobie, jakich słów użyłam, ale w odpowie-

dzi mojej był zapewne taki wyraz prawdy, wzruszenie tak żywe, żal tak przejmujący, że może za wiele powiedziałam, iż Karol nie mógł omylić się co do moich uczuć, a doskonała pewność, jaką miał co do prawości mego charakteru, posłużyła mi lepiej, niż wszelka sztuka, jakaby kokietka mogła rozwinąć przy takiej sposobności. W pół godziny otrzymałam następujący bilet:

„Dlaczego pani napisała do mnie? Dokonała pani tego, że jestem najnieszczęśliwszym z ludzi! Muszę koniecznie pomówić z panią, proszę przyjąć mnie dzisiaj samego wieczorem.“

Byłam zgnębiona. Jedynie myśl o jego szczęściu mogła górować na chwilę nad niewzruszonością moich zasad i stałem postanowieniem, żeby nigdy nie uchybić swoim obowiązkom. Jak tylko osiągnęłam pewność o nieużyteczności tak wielkiego poświęcenia, opanowała mnie szczerza rozpacz.

Kiedy wieczorem oznajmiono mi Karola, zastał mnie jeszcze na tem samem miejscu, na którym otrzymałam jego odpowiedź, tak dalece pochłoniętą swemi myślami, że przestraszył się moją nieruchomością. Siedząc przed biurkiem, machinalnie wzięłam scyzoryk i bezmyślnie cięłam rękawiczkę. Kropelka krwi wyrwała mnie z zamyślenia i obudziła strach w tem sercu, tak oswojonem z niebezpieczeństwem.

— Co pani robi? — zawołał — wyrывая mi scyzoryk. — Na Boga, proszę mię wysłuchać. Miej pani litość nad moim stanem. Przyszła chwila, kiedy honor nakazuje wypełnić mi straszny obowiązek nieukrywania niczego przed panią. Kiedy ujrzałam panią w Polsce, pokochałem ją gorąco i z poświęce-

niem. Aż do tego czasu byłem bardzo lekkomyślny; pani przeznaczono było dokonać we mnie zupełnej zmiany. Często dziwiłem się rodzajowi kultu, jakim mnie pani natchnęłaś, mnie, co tak mało jestem lekliwy wobec kobiet... Nie śmiałem się zdradzić przed panią ze swoją miłością! Byłaś pani otoczona taką aureolą czystości i prawości, widziałem cię tak wyłącznie zajętą swoim dzieckiem i tak oddaną swoim obowiązkom, że wydawało mi się niemożliwym i, że tak powiem, występne starać się sprowadzić cię z prostej drogi; przytem okazywałaś mi życzliwość tak naturalną, zajęcie tak szczere, iż wyjechałem, przekonany, że miłość moja nie została nawet odgadnięta. W obecności męża pani prosiłem o pozwolenie pisywania do niej i uzyskałem je, gdyż chętnie otrzymywano wiadomości z kwatery głównej. Jedno słowo w liście pani obudziło we mnie trochę nadziei. Mówiono o pewnej kobiecie, która, jak twierdzono, pojechała za mną do Niemiec; wydało mi się prawdopodobnym przypuszczenie, że ta głupia gadanina doszła aż do pani; co więcej, ośmieliłem się nawet myśleć, że to sprawiło pani przykrość i tak gorąco pragnąłem wytłómaczyć się, że nie tracąc ani chwili, zwróciłem się do marszałka Drovout z prośbą o pozwolenie udania się do Warszawy. Byłem zdecydowany wyjechać tajemnie, gdyby mi odmówiono tego pozwolenia; ale od pani czekałem upoważnienia do tego. Niestety! musisz pani sobie zapewne przypominać żartobliwy ton swej odpowiedzi; dlatego to postarałem się o pozwolenie powrotu do Francji. Książę Murat nie przebaczył mi, że opuściłem jego sztab i przez rok przeszło widziałem się zapomnianym

w smutnym garnizonie niemieckim. Matka moja pisywała do mnie często i pocieszała mnie jak mogła; w każdym swoim liście powtarzała mi, żebym był spokojny, że osoba, której wpływy były bardzo pewne i która mnie kochała, gdy ja się tego nie domyślałem, robiła kroki w sprawie mego powrotu. Rzeczywiście, otrzymałem w końcu rozkaz, albo raczej pozwolenie wrócenia, podpisane przez samego cesarza. Postanowiwszy zapomnieć o pani, prześladowany wszakże ciągle jej obrazem, porównywałem mimowoli z nią wszystkie kobiety, jakie spotykałem; twoja swoboda, twoja dowcipna wesołość i ta nie dbałość, właściwa Polkom, a która nadewszystko w pani wydawała mi się tak uroczą, sprawiała, że w moich oczach wszystkie Francuzki były wymuszone i pozbawione tej oryginalności, co powiększa środki podobania się i podbijania. Jedna z nich wszakże i to jedyna, której nazwiska nigdy się pani nie dowiesz, wcisnęła się do mego serca, usiłując wciąż ukrywać przedemną uczucie, jakie w niej wzbudziłem. O niej to matka moja mówiła mi w swoich listach. Nie będąc zupełnie ładną, uważała się za skazaną na to, że nikt jej kochać nie będzie i nie śmiała nawet dbać o podobanie się; jej stale i szlachetne przywiązanie tało się przed oczami wszystkich pod pozorami uczucia całkiem braterskiego.

„Stosunki moje z jej bratem, będącym najlepszym moim przyjacielem, dawały mi sposobność widywania jej ustawicznie. Długo obserwowałem ją, zanim się jej wywzajemniłem. Nie wzbudzała ona we mnie ani pociągu, jak tyle innych, od kiedy wszedłem w świat, ani wzniostej miłości, którą pani jedna oży-

wiła w mojej duszy. Pokochałem ją w końcu, gdyż miałem tysiące dowodów jej poświęcenia. Im więcej ją oceniałem, tem więcej niegodnem wydawało mi się zwodzić jej nadzieję. „— Tak — rzekła mi swoim słodkim głosem—ale jeżeli będziesz mógł jeszcze raz kochać jakąś kobietę tak, jak kochałeś w Polsce, czuję, że umarłabym.“ Te kilka słów sprawiły, że poświęciłem jej swobodę. Od dwóch lat oddałem się jej szczęściu i uważałem się sam za szczęśliwego, wiedząc, z jaką wdzięcznością przyjmowała moje szczere uczucia. Obecność pani zniszczyła nagle wszelkie złudzenia; wobec pani odżyły wszystkie żywe wzruszenia, które, sądziłem, że już zamilkły. Czulem, że odradza się we mnie nadzieja, radość; nieobecność mojej przyjaciółki, która wyjechała na kilka dni przed przybyciem pani, zostawiła mnie bez wszelkiej obrony przeciwko potężnemu urokowi, jakiego doznawałem. Ale kiedy spostrzegłem, że mogłaby pani być wzruszoną taką miłością i kiedy poważnie przyjrzałem się memu stanowisku i memu postępowaniu, surowy głos honoru odezwał się we mnie: zrozumiałem, że obowiązkiem moim było uciec od pani!! Wiele przecierpiałem i wiele przewalczyłem; chciałem przede wszystkim, aby pani zachowała mi swój szacunek. Znałem cię za dobrze, za wysoko ceniłem, abym ci mógł ofiarować serce, związane *obowiązkiem* z inną istotą.

„Jest pani tak dalece godną być jedynym przedmiotem mego uwielbienia, że nie mogłabyś bez obrazy spoglądać, jak inna kobieta rości sobie prawo do mego uczucia. Jeślibym w Polsce ośmielił się spodziewać, że mogłabyś mnie kiedy pokochać, opuściłbym wszystko: moją matkę, mój kraj, moich przyja-

ciół. Twoja ojczyzna stałaby się moją, broniłbym i służył jej z takim samym zapalem, jakim tylko wy, Polki, umiecie natchnąć. Widziałem panią otoczoną hołdami, byłaś dla wszystkich zarówno uprzejmą, nigdy nie ośmieliłaś mnie do wyznania. Teraz powiedziałem ci wszystko, spełniłem swój obowiązek... nie oszukałem pani, nadużywając jej wzruszającej i szlachetnej ufności. Niech pani więcej nie wymaga! strzeż się mnie i mojej miłości. Być może, iż, aby być pewniejszym zwycięstwa, powinienem był odmówić sobie niebezpiecznego szczęścia widywania pani ciągle! Ale pani ma rozsądek za dwoje; jakżebym miał odwagę opuścić cię, myśląc, że wkrótce los rozłączy nas może na zawsze! Wrócisz do swego kraju, a ja postaram się dać się zabić przy pierwszej zdarzonej sposobności. Wie pani—dodał z tęsknym uśmiechem—że cesarz nie szczędzi nam takich okazji. Jakże potrafiłbym pozbawić się smutnego szczęścia, którem mogę się cieszyć jeszcze czas jakiś? Skazany ma we wszystkich krajach prawo rozporządzania swemi ostatnimi chwilami.“

Słuchałam go w milczeniu, było późno, po raz pierwszy bez żalu spoglądałam, gdy odchodził. Serce moje o mało nie pękło!... Potok łez przyniósł mi wreszcie ulgę. Kiedy potrafiłam myśleć, zmierzyłam całą przepaść, po brzegu której stapałam. Oddając hołd sumiennej delikatności tego, co mnie powstrzymało w chwili, kiedybym może upadła, zrozumiałam całą wielkość niebezpieczeństwa, którego uniknęłam. Bądź co bądź, szacunek i podziw wzmożyły jeszcze uczucie, od którego nie mogłam się obronić i które długo jeszcze panowało nad wszystkimi innemi. Obraz tej

tajemniczej kobiety, jaką ciągle widziałam między nim a sobą, był mi wstrętny! Stroiłam ją we wszystkie wdzięki, których może nie posiadała, i nie mogłam przypuścić, żeby mi zazdrościła mego losu, bo zważywszy wszystko, najbardziej kochana musiała się uznawać za najmniej nieszczęśliwą.

IX.

Obiad w Saint-Cloud.

Zaproszenie do Saint-Cloud.—Toaleta.—Pani Montebello.—Marya-Ludwika.—Przechadzka po parku.—Prośby.—Porządek przy stole.—Menu cesarskie.—Zamek Wersalski.—Lenôtre i księżna Borghèse.—Książę Eugeniusz.—Abdykacya króla holenderskiego.—Pieszczoty Maryi-Ludwiki.—Przepowiednie wojny z Rosyą.—Przedstawienie.—Talma.—Śniadanie u Talleyranda.—Pożegnanie z Karolem F...t.—Wyjazd.

Gdybym była poddała się pierwszemu wrażeniu, byłabym natychmiast opuściła Paryż, ale trzymała mnie tu sprawa powierzona mi przez rodziców mego męża. Chodziło o pozyskanie wynagrodzenia, przyrzeczonego przez cesarza, za olbrzymie szkody, poniesione przez hrabiego i hrabinę Stanisławów Potockich, jakie wyrządziła armia francuska podczas swojego pobytu w ich majątkach (w 1807).

Niezbyt uzdolniona do takiego rodzaju próśb, mająca z natury wstręt do wszelkich spraw, w których interes, jakkolwiek bądź słuszny, grał główną rolę, zupełnie zaniedbałam moją misyę i myślałam

o niej tylko wtedy, kiedy sobie przypominałam, że trzeba będzie zdać z niej sprawę.¹⁾

Przyszło drugie zaproszenie do Saint-Cloud, w *wigilię* dnia naznaczonego w liście; niepodobna było odmówić, a zresztą ciekawość, przywiązana do wszystkiego, co mogło nas zaznajomić z życiem prywatnym wielkiego człowieka, była dla mnie rozrywką najpożądańszą.

Noszono wtedy na dworze żałobę; posłałam natychmiast do pani Germont, aby mi zrobiła toaletę zastosowaną do okoliczności. Odpowiedziała mojej pokojówce, że cesarz nie lubił czerni i że żałobę taką, zwłaszcza na wsi, nosiło się całkiem w bieli, że robron, oraz *fantazyjne* uczesanie były przyjęte, kiedy miało się honor być dopuszczonym do poufnego kółka ich cesarskich meści i że jutro w południe będę miała wszystko, czego mi potrzeba.

O wpół do szóstej stanęłam przed kratą w Saint-Cloud. Ponieważ szyldwach robił niejaki trudności z wpuszczeniem mego powozu na dziedziniec, szambelan dworu raczył wydać rozkaz i wprowadzono mnie do salonu.

Znalazłam tam księżnę Montebello, która w charakterze damy dworu robiła mi honory dosyć chłodno, jakby chcąc jeszcze zwiększyć kłopot, jakiego doznałam, nie widząc nikogo z moich znajomych. Był

¹⁾ Księżę Józef Poniatowski otrzymał donację, którą przekazał memu najstarszemu synowi, swemu chrześniakowi. — Pan Maret odzywał się przed moim teściem, że księstwo Łowickie będzie mu nadane, ale te zamiary nie spełniły się. Księstwo Łowickie otrzymał później marszałek Davout, jako prostą własność.
(Przypisek autorki.)

to jej zwyczaj, taką była dla wszystkich, co nie przeszkadzało jej mieć oddanych przyjaciół i szczerych wielbicieli, których zawdzięczała zarówno swej piękności, jak i szacunkowi, którym umiała natchnąć wszystkich, co ją znali.

Cesarzowa weszła punkt o szóstej, w towarzystwie swojej frejliny, z *dawnej szlachty*, której nazwiska zawsze zapominam. Mówiono o niej, że jest doskonale obznajmiona z ceremoniałem, przestrzegany na dworze Ludwika XVI. Zasługa bardzo poszukiwana w tym czasie ze względu na młodą monarchinię. Marya-Ludwika, ubrana bardzo skromnie, miała suknię białą, obszytą u dołu czarną wstążką; była to żałoba, o której mówiłam. Księżna Borghèse przyszła w chwilę potem, jak również cesarz i księżę Würtzburski, wuj cesarzowej, ten sam, co jej towarzyszył do Paryża. Za nimi postępował pan Montalivet, minister spraw wewnętrznych. Oto wszyscy... Nie było ani orszaku, ani wystawności — było się w *rodzinie*.

Przemówiwszy do mnie kilka słów, cesarz zadzwonił i zapytał, czy powozy zajęte.

Otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, zaproponował nam krótką przejażdżkę po parku; podał ramię cesarzowej i oboje wsiedli do eleganckiego pojazdu, zaprzężonego po angielsku w sześć wspaniałych gniadoszów z trzema żokiejami w liberyi zielonej ze złotem.

Jechaliśmy za nimi w ładnej kolebce na sześć osób, zupełnie odkrytej. Księżę Würtzburski miał minę dosyć zakłopotaną i zamienił kilka słów tylko z księżną Borghèse, w której, jak mówiono, kochał się; nie wyglądał jednak na to wcale.

Milczenie było przerywane tylko skargami i westchnieniami trzech pań, co, nie mając kapeluszy, były wystawione na kurz i promienie słońca.

Przebyliśmy tak wokół wszystkie aleje parku, jadąc ciągle dobrym truchtem.

Na zakrętach, gdzie bieg koniecznie trzeba było zwolnić, spostrzegłam jakichś ludzi z podaniami w rękę, którzy gotowali się rzucić je do pojazdu cesarza na znak przez niego uczyniony.

Przejażdżki te należały do zachcianek, których małej przyjemności cesarz wcale nie chciał zrozumieć, a nikt naturalnie, nie śmiał na to zwrócić uwagi. W chwili, kiedy pojazd zatrzymał się, przednie siedzenie było założone podaniami. Szambelan dworu otrzymał rozkaz oddania ich sekretarzowi od próśb. Dowiedziałam się później, że co rano Napoleon kazał sobie odczytywać treść próśb, przedstawionych w przeddzień, i sam dyktował odpowiedzi.

Ponieważ po powrocie z przejażdżki podano do stołu, cesarz dał znak Maryi-Ludwice, aby wzięła pod rękę swego wuja i przeszła do sali jadalnej; on poszedł za nimi, myśmy weszły również, z wyjątkiem frejliny i księżnej Montebello, które, ku wielkiemu memu zdziwieniu, przeszły do innego salonu, gdzie stół nakryty na trzydzieści osób oczekiwał na wyższych oficerów, jak również damy dworu, którym wielki marszałek Duroc robił honory przy stole. Idąc za ich cesarskimi gośćmi przez apartamenty, spostrzegłam marszałka Davout, będącego w tym dniu na służbie, jako dowódcę gwardyi. Przyznaję, że ze złośliwością złożyłam mu w *przejsiu* lekki

przyjazny ukłon, aby mu zapłacić za królewskie tony, jakie on i jego żona nadawali sobie w Polsce.

Stół cesarski miał formę prostokąta. Cesarzowa i jej wuj, oboje osobistości *nieme*, zajęli jeden bok; Napoleon naprzeciwko nich znajdował się pomiędzy dwoma *pustemi miejscami*. Księżna Borghèse i ja siadaliśmy przy końcu prostokąta, a pan Montalivet przy drugim. Cesarz zwykle zapraszał do swego stołu ministra, z którym pracował rano, aby prowadzić w dalszym ciągu rozmowę o sprawach, które, jakkolwiek mniej ważne, były w związku z pracą dzienną.

Było to przy końcu czerwca, jeszcze bardzo było widno, słońce przedostawało się przez liście, ale pomimo tego blasku, wszystkie świeczniki były zapalone, a okna otwarte. To podwójne światło wywoływało wcale niemiły efekt. Był to dziwaczny kaprys; mówiono mi, że cesarz nigdy inaczej nie jadł obiadu. Za krzesłem jego stał paź z serwetką w rękę; paź ten miał minę, jakby chciał podać talerz, ale Napoleon nie znosił tego, oficer służbowy spełniał tę usługę.

Usługa szła z niezwykłą szybkością, a milczenie było tak wielkie, że możnaby powiedzieć, iż powierzono ją sylfom.

Napoleon jadł mało i bardzo szybko; wybierał prostsze dania. Mniej więcej w połowie obiadu podano cesarzowi na płaskim talerzu, który nie należał do całości obiadu, karczochy z *ostrym sosem*, zaczął się śmiać i zaproponował nam podzielenie z nim jego *skromnego* posiłku, wychwalając bardzo tę pustelniczą potrawę. Ale ponieważ nikt nie zdawał się pragnąć

skosztować jej, kazał talerz z karczocha ni postawić przed sobą i zmiotł je do szcztetu!

Cesarzowa przeciwnie, bardzo zajęta potrawami, jakie jej podano, nie odmawiała żadnej i wydawała się niezadowolona z szybkości, z jaką po sobie następowały. Pod koniec obiadu cesarz przerwał milczenie i zwracając się do pana Montalivet, zapytał go o roboty przedsięwzięte w zamku wersalskim, który zaczęto restaurować.

— Chcę — rzekł — bawić Paryżan, jak za dawnych czasów, trzeba, żeby co niedziela były wodotryski; ale czy to prawda, że za Ludwika XVI rozrywka ta każdym razem kosztowała sto tysięcy franków?

A na twierdzącą odpowiedź ministra, zawołał:

— To za dużo, żeby *chodzić oglądać kaskady*. Ale jeśli odmówię tej przyjemności gapiom paryżkim, którzy są przywiązani do zabawy więcej niż do cegokolwiek bądź innego, nie będą mieli dość rozsądku, aby zrozumieć, że chciałbym zrobić lepszy użytek z tak znacznej sumy.

Mówiąc o ogrodach tej królewskiej rezydencji, i o ich ogromie, starał się przypomnieć sobie nazwisko sławnego Lenôtr'a ¹⁾, co je nakreślił.

Jakimś dziwnym przypadkiem nie przypomniał go sobie i pan Montalivet i obaj niecierpliwili się na próżno.

Ośmieliłam się podszeptać je do ucha księżnej Borghèse, która je na głos powtórzyła.

¹⁾ Andrzej Lenôtre, twórca francuskiej sztuki ogrodniczej, ur. 1613, zm. 1700 r.

— Ach! — rzekł Napoleon — to wcale nie od pani. Założyłbym się, że pani nie wiesz, iż Lenôtre kiedykolwiek istniał... umarł nie za pani czasów!

Później rzucił mi uprzejme spojrzenie.

Mieliśmy właśnie wstawać od stołu, kiedy szambelan przyszedł uprzedzić cesarza, że wice-król włoski czekał na niego w ogrodzie. Podniósł się pośpiesznie, nie pozwalając Maryi-Ludwice dokończyć lodów, co ją dotknęło tak dalece, iż nie mogła wstrzymać się od poskarżenia się swemu wujowi.

Wszedłszy do salonu, dokąd nas wyprzedziły dwie damy honorowe, znaleźliśmy tam pootwierane wszystkie okna, wychodzące na główną aleję parku.

Ksiązę Eugeniusz przechadzał się tam w niezwykłym wzburzeniu; kiedy Napoleon go spostrzegł, podszedł naprzeciwko niego.

Sądząc po żywości ich rozmowy, przedmiot jej musiał należeć do najważniejszych. Cesarz gestykulował jak prawdziwy korsykanin; ksiązę, jak się zdawało, starał się go uspokoić, łatwo można było zauważyć, że Napoleon nie był zadowolony. Wybuchy głosu dochodziły aż do nas, ale wiatr unosił wyrazy.

W salonie milczenie przerywały tylko banalne frazesy, z którymi pan Montalivet uważał się w obowiązku do nas zwracać, ażeby nie wyglądało na to, że słucha rozmowy, prowadzonej w parku.

Cesarzowa nie przemówiła ani słowa. Siedząc obok swego wuja, dającego jej przykład doskonałej niemoty, bezmyślnie wyglądała przez okno, bynajmniej nie troszcząc się o to, co się działo w parku, gdzie rozmowa coraz bardziej ożywiona jeszcze się ciągnęła.

Ponieważ wszystko wreszcie staje się znanem, zwłaszcza zaś na dworze, gdzie jest otwartych tyle oczu i tyle uszu, aby wszystko widzieć i wszystko słyszeć, dowiedzieliśmy się wkrótce, co było przyczyną tej burzy. Wice-król, podjąwszy się na prośby swego szwagra, króla holenderskiego, oznajmienia cesarzowi o jego zrzeczeniu się tronu, przyjechał wypełnić tę trudną misję i prawdopodobnie usiłował wytłómaczyć swego szwagra.

W końcu Napoleon wrócił do salonu; twarz jego była surowa, ale spokojna; poszedł wprost do pana Montalivet i uprzedził go, że nazajutrz o piątej rano uda się do małego Trianon¹⁾, które urządza no dla młodej monarchini. Marya-Ludwika usilnie prosiła, aby ją wzięli z sobą, przyrzekając, że nie każe na siebie czekać i że o naznaczonej godzinie będzie gotowa.

Cesarz odmawiał łagodnie, utrzymując, że w stanie, w jakim się znajduje, należy unikać wszelkiego zmęczenia; chcąc dodać więcej wagi swojej odmowie, poradził się księżnej Montebello, która zgodziła się z jego zdaniem. Marya-Ludwika, jak prawdziwe zepsute dziecko, nie dawała za wygraną i wciąż nalegała, twierdząc, że doktor nakazywał jej przechadzki. Pieszcząc swego małżonka w nadziei otrzymania tego, czego pragnęła, położyła mu rękę na ramieniu; ta poufałość wobec świadków nie zdawała się podobać Napoleonowi, łagodnie zdjął rękę swojej młodej

¹⁾ Pałacyk letni w pobliżu Wersalu, wystawiony przez Ludwika XV dla wyprawiania w nim rozpustnych biesiad.

małżonki, nie zaniechawszy wszakże czule jej uściśnąć.

Cesarz, wprowadziwszy mnie we framugę okna, zapytał o wiadomości, jakie otrzymałam z Polski, i czy to prawda, że cesarz Aleksander groził skonfiskowaniem posiadłości tych poddanych, coby nie weszli w granice jego państwa.

Otrzymawszy rano list od mego teścia, znalazłam się w możności potwierdzenia tego faktu, o którym, jak się zdawało, cesarz chciał wątpić. Powiedziałam o konieczności przyspieszenia mego wyjazdu.

— Niech się pani nie niepokoi — powiedział mi z właściwym sobie wdzięcznym uśmiechem — baw się i nie myśl *jeszcze o zbieraniu swoich manatków*.

Takie to zdania, rzucane bez namysłu, pozwalały przeczuwać wojnę z Rosyą, o której nikt *jeszcze* nie śmiał mówić, ale którą wszyscy już uważali za nieuniknioną ze względu na olbrzymie przygotowania, o celu których jednak milczano.

— Co pani sobie życzy, abym jej przywiózł z Indyj? — powiedziała mi jedna z najbardziej wpływowych osobistości tego czasu.

— Z Moskwy, czy z Petersburga? — odparłam, chcąc przeniknąć jego myśl.

— Ach! to być może, że tamtędy będziemy przechodzić, ale ja sędzę, że pani będzie wolała rzadszą zdobycz. Kłanialiśmy się Piramidom, teraz słusznem jest, żebyśmy trochę zobaczyli, co robią nasi rywale z za morza.

Wszystko, co opisuję teraz, wyda się kiedyś za pożyczonem z *Tysiąca i jednej nocy*, a przecież wzięłam sobie za правило w niczem nie odstępować od

najściślejszej prawdy. Ale tak bardzo przyzwyczajono się do niezwykłości, że największe cuda zdawały się możebnymi, a niemożebność wykonalną.

Powracam do tego dnia w Saint-Cloud, który zajmuje wybitne miejsce w moich wspomnieniach, a który zakończył się zachwycającem przedstawieniem. Talma ¹⁾ grał Manliusza. Był to wielki tryumf tego zachwycającego aktora, łączącego z pięknością głosu szlachetność póz i gestów i rzadką regularność rysów. Kiedy wkładał na głowę wieniec laurowy, wyglądał na starożytnego tryumfatora, mającego zając miejsce w rydwanie, ciągniętym przez niewolników. Zapominało się o aktorze, a myślało o bohaterze. Co było w nim niezwykłego, to ogromne podobieństwo z Napoleonem, zwłaszcza profilu. Wyglądali jak dwaj bracia i różnili się tylko wzrokiem. Pierwszego był głęboki, drugiego przesadnie poważny.

Paryż przybył tłumnie. Ponieważ sala nie była obszerna, robiono tysiączne intrygi dla zyskania miejsca. Łóżami rozporządzał sam cesarz; bilety na parter i galerye rozdawali wysocy urzędnicy dworscy. Mój bilet dawał mi wejście do łoży ministrów zagranicznych, znajdującej się tuż obok łoży cesarskiej, Korzystano tam z dwóch naraz widowisk równie zajmujących.

Napoleon, który lubił piękne wiersze, pragnął chwilami, jak się zdawało, żeby, jeżeli nie jego entuzjazm, to przynajmniej zadowolenie udzieliło się młodej cesarzowej, która, nieruchoma w swoim

¹⁾ Franciszek Józef Talma, słynny aktor tragiczny francuski, ur. 1763, zm. 1826 r.

fotelu ze złotymi orłami, błdziła wzrokiem po sali, zwracając go na scenę tylko na krótko, kiedy była do tego, można powiedzieć, zmuszona oklaskami cesarza; znosił on z rzadką cierpliwością *apatyczną* obojętność swej towarzyszki.

Gdy około jedenastej skończyło się przedstawienie, ich cesarskie moście skłonili się nam i wyszli.

Natychmiast droga do Paryża, wspaniale oświetlona, zatrzęsa się pod szybko dążącymi ekwipażami tych wszystkich, którzy byli obecni na tem przedstawieniu podwójnie królewskim, tak dalece cudną była gra Talmy ¹⁾.

Tak skończył się ten świetny dzień, którego następstwami były najśmieszniejsze zdarzenia. Talleyrand, bynajmniej nie zamierzający oddać mi wizyty i uważający aż dotąd za dostateczne złożenie karty u mego odźwiernego, przyszedł zaraz nazajutrz wypytać mnie o szczegóły wczorajszego obiadu. Badał mnie bardzo zręcznie o to, co widziałam i co słyszałam; powiedziałam mu to tylko, co prawdopodobnie już wiedział; wbrew swemu zwyczajowi, był bardzo uprzejmy, mówił mi o Polsce z wielkimi pochwałami i w końcu zaprosił mnie na śniadanie do swojej biblioteki. Poszłam chętnie na to zaproszenie, a ponieważ mam zawsze mówić samą prawdę, ma-

¹⁾ Pan Stryjeński robi uwagę, że autorka pomyliła się co do tego przedstawienia. Obiad, który opisuje, odbył się 28-go czerwca 1810 r.; otóż w tej dacie Talma grał w Saint-Cloud „Hektora“, „Manliusza“ zaś mogła widzieć Potocka w komedyi francuskiej, gdzie ją grano czterokrotnie w r. 1810.

szę przyznać, że nigdy milej nie spędziłam poranku. Pokazywał mi swoje skarby; rzecz bardzo naturalna, że najpiękniejsze i najrzadsze z wydań były zebrane u znawcy milionera; bądź co bądź, nieporównanie pokazywał swe książki, nigdy nie mówił tego, o czym mogło się wiedzieć, lub co inni już o tem powiedzieli lub napisali; bardzo mało mówił o sobie samym, wiele o znakomitych ludziach, z jakimi miał stosunki. Jednem słowem, był on tak wykształcony, jak nim być może wielki pan, poświęcający dużo czasu na swe przyjemności. Aby dopełnić tego pochlebnego portretu, który wszakże nie jest pochlebionym, powiem, że Talleyrand posiadał cudowne umiejętności, że chwilowo zapominał się o jego przeszłości, kiedy mówił o chwili obecnej.

Drzwi moje były obleżone przez odwiedzających wszelkiego rodzaju! Przychodzono proponować mi najpiękniejsze pałace, myśląc, że już nie opuszczę Paryża; były nawet osoby, które śmiały radzić mi, abym nie *odpychała* tego, co nazywały *ogromną łaską*. Widziałam wtedy bez żadnej osłony całą nikiemność i całe zepsucie dworaków. Coby pomyśleli, gdyby mogli zajrzeć w głąb mojej duszy i zobaczyć, z jakim szczęściem zamieniłabym stanowisko, jakie we mnie wmawiano, na życie zaciszne, lecz podobne do tego, jakie wiodłam przez kilka miesięcy?

Karol F... przyszedł się ze mną pożegnać w chwili, kiedy się tego najmniej spodziewałam. Pochwalając moje zachowanie, cierpiał nad niem i z trudem wybaczył mi to, co nazywał *nadmiarem rozsądku*. Zbyt jednak przenikliwy, aby nie odgadnąć i nie ocenić, ile mnie kosztowało zwyciężenie skłonności,

jaką we mnie wzbudził, zachował mi szacunek i przywiązanie, na które będę mogła liczyć całe swe życie. Uważałam się za upoważnioną dać mu na odejźdźnem mój portret z tym napisem, zapożyczonym z poematu Légouvé'go:

C'est moins qu'une maîtresse, et bien plus qu'une amie. ¹⁾

Uderzenie młotka przy drzwiach mego domu, kiedy opuszczał go po raz ostatni, długo rozlegało się w moich uszach... Słyszałam je we snach i zrywałam się na równe nogi!... Czas dopiero ukoił to bolesne wrażenie i to bardzo powoli; kiedy wróciłam do moich dzieci, uczucie szacunku i wdzięczności dla przyjaciela, który mnie zwrócił ku najświętszym obowiązkom, zatarło wspomnienia ciężkie i słodkie zarazem.

Opuszczałam Paryż bez żalu; miasto to było świadkiem moich pierwszych smutków, które się uważa za *nieszczęścia*, kiedy się nie doświadczyło innych okrutniejszych, a zwłaszcza bardziej niepowetowanych.

¹⁾ To mniej niż kochanka, a więcej niż przyjaciółka.

CZĘŚĆ CZWARTA.

księstwo warszawskie.

I.

B i g n o n.

(1811—1812)

Urodzenie się hrabiego Maurycego Potockiego. — Dwór Fryderyka Augusta. — Pan Serra. — Księżę Józef Poniatowski. — Jego charakter. — Urodzenie się króla rzymskiego. — Zapał Polaków. — Podróż księcia Józefa Poniatowskiego do Paryża. — Paulina. — Pan Bignon. — *Kącik*. — Pan Bignon i sprawa polska.

W ciągu zimy doznałam wielkiej radości, a radość ta sprawiła, że straciłam chwilowo z oczu wypadki polityczne. 13 stycznia (1812), o siódmej rano, wydałam na świat syna, przepowiedzianego mi przez małą wróżkę. Urodził się w okolicznościach wywrózonych.

Po raz pierwszy w życiu zapragnęłam mieć dla jednego z moich dzieci królewskiego ojca chrzestne-

go!... Pochlebiałam sobie, że poproszę o tę łaskę wielkiego Napoleona, który miał *wskrzesić Polskę*.

Ochrzciałam więc mego syna tylko z wody, i otrzymał, nie wiem dobrze dlaczego, imię Maurycego. — Drogie dziecko, jakże byłeś ładne i grzeczne!... nigdy płacze i krzyki nie szpeciły twej tłustej i świeżej buzi; stałeś się miłością swej matki i radością domu, wszyscy cię ubóstwiali. Jeszcze teraz dziękuję ci za szczęście, jakim mnie obdarzyłeś.

Kiedy wróciłam do Polski, należeliśmy do króla Saskiego ¹⁾, któremu dał nas Napoleon, albo raczej do którego nas przyłączył, nie wiedząc dobrze, co zrobić z Księstwem Warszawskim, które urządził *mimochodem*, pozostawiając starania o jego powiększenie czasowi i okolicznościom.

To utworzenie Księstwa Warszawskiego podsycało nasze nadzieje.

W oczekiwaniu *czegoś lepszego*, mieliśmy monarchę rzadkiej moralności, zajmującego się dobrobytem swego kraju z troskliwością mądrą i ojcowską. Otoczenie króla i królowej, dosyć już podeszłych w wieku, było, prawdę mówiąc, bardzo podobne do uśpionego i przestarzałego dworu królowej w zaczarowanym śpiącym lesie. Można by powiedzieć, że przed stu laty zatrzymano wszystkie koła. W każdym razie na tym dworze spotykano się ze stałymi zasadami, z bezinteresownością, które wydawały się już nie z tego wieku, i z manierami do zbytku ogładzonymi i uprzejmymi.

¹⁾ Był to Fryderyk August, ur. 1750, zm. 1827 r.

Forma rządu, nadana przez Napoleona, była prawie taka sama, jak wszystkich państw związku reńskiego. Mieliśmy radę, złożoną z siedmiu ministrów i prezydenta. Ta heptarchia, na pozór całkiem narodowa, w rzeczywistości poddana była wpływowi rezydenta francuskiego, prawdziwego prokonsula, używającego władzy prawie nieograniczonej; dozwolone było jednak, w wyjątkowych okolicznościach, odnosić się do samego cesarza za pośrednictwem ministra sekretarza stanu, przebywającego przy królu i *wyłącznie* oddanego sprawom, dotyczącym Księstwa Warszawskiego.

Kiedy przyjechałam, rezydentem Francji był pan Serra, szlachcic genueński, dosyć sztywny i wyrachowany, wielki łacinnik, według zdania uczonych, ale niezbyt biegły w rozmowie, nie obdarzony ani przymiotami, ani wadami, przyznawanymi narodowi, który przedstawiał. Szanowano go ogólnie, ale nie lubiono wcale. Przykry w rozprawach, wnosił do nich żelazną wolę, której radzono mu użyć, jako środka podobania się absolutnemu panu. Często teść mój, będący prezesem rady, wracał z posiedzenia zrozpaczony wymaganiami pana Serry. Napróżno mu przedstawiano, że kraj, wyczerpany wydatkami, na jakie był skazany wskutek długiego pobytu armii, nie miał już środków. Nie chciał słyszeć o niczem; odpowiadał na zarzuty słowami: *A jednak, panowie, to jest konieczne i tak będzie, ponieważ tego wymaga cesarz*. Wówczas w ostateczności zwracano się do najjaśniejszego pana, który kazał dawać zaliczki ze

skarbu i zalecał rezydentowi, żeby chwilowo robił ulgi, ale nie ustępował wcale ¹⁾.

Całkowicie oddany Talleyrandowi, któremu dziękował swoje stanowisko, pan Serra w głębi duszy nie lubił Napoleona. Czasami zwierzał się przed tymi ministrami, których dyskretycja była mu znana, lecz te uczucia w niczem nie zmniejszały gorliwości, z jaką wykonywał rozkazy, nadsyłane z Paryża.

Cesarz powrócił nam nasze barwy narodowe, nasz język, nasze instytucje, nasze wojsko, którego wodzem był książę Józef Poniatowski. Żaden człowiek nie był godniejszy od księcia Józefa dowodzenia pięćdziesięcioma tysiącami dzielnych, co służyli już pod jego rozkazami. Ubóstwiany przez żołnierzy, z którymi dzielił niebezpieczeństwa i trudy, doznawał od nich tego, co inni otrzymywali dzięki surowej karności.

Charakter jego przedstawiał najdziwniejsze przeciwieństwa. Zawojowany u siebie, ustępujący chętnie przez zamięłowanie spokoju, w razie potrzeby miał mężką energię, jakiej wymagały trudne okoliczności, napelniające jego życie. Od tej chwili człowiek prywatny zniknął, ustępując natomiast miejsca człowiekowi publicznemu, całkowicie oddanemu honorowi swej ojczyzny. Co było najbardziej zadziwiającem w tem połączeniu bohaterstwa i słabości, to to, że miłość własna nigdy nie była sprężyną żadne-

¹⁾ A przecież, kiedyśmy jęczeli pod temi rządami, odznaczającami się despotyczną obojętnością, jakże dalecy byliśmy od przewidywania tego, co nas w przyszłości czekało! Podobni do kobiet, żałujących nawet tyranii tego, którego kochały, z jakże gorzkimi uczuciami musimy mówić o owych czasach nadziei i chwały!
(Przypisek autorki.)

go z jego czynów, nigdy nie było człowieka tak wolnego od *próżności*. Być może, że historia wyrzucać mu będzie zupełny brak tej wady; wyjątkowe jego położenie, w jakim się znajdował, byłoby mogło wynieść go aż na tron i tym sposobem zapewnić istnienie kraju. Bądź co bądź, jego szlachetne uczucia, jego nadzwyczajne męstwo i zaszczytna śmierć, zrobiły z niego bohatera, którego imię, czczone na zawsze, pozostanie drogim dla jego ojczyzny.

Listy, przybywające z Paryża, zawierały tylko szumne sprawozdania z balów, wydawanych z racji powrotu do zdrowia młodej monarchini, która wydając na świat syna tak gorąco upragnionego, zaspokoila pragnienie swego męża i utwierdziła tron cesarski. Czas ten z pewnością był najświetniejszym z życia Napoleona; wszyscy, którzy byli do niego przywiązani, promieniowali, że tak powiem, jego szczęściem.

Wciąż trwały uroczystości i bale kostiumowe, na których gromadziły się wszystkie bóstwa Olimpu. Królowa neapolitańska ukazała się jako Minerwa, a jej siostra, piękna Paulina, jako Wenus.

Oddawna już armia nie korzystała z tak długiego pokoju. Obecność tej świetnej młodzieży, żadnej zabaw, jak i wypoczynku, dodawała świeżego blasku uroczystościom wszelkiego rodzaju. Ale wśród tego ogólnego upojenia rozległy się tajemnicze słowa i nie wątpiono już o wojnie — o tej wojnie, w której Napoleon miał przegrać swoją sławę i swoje cesarstwo, a którą, jak Kserkses, chciał przedsięwziąć na czele stu różnych narodów. Czas ubiegał na rokowaniach dyplomatycznych. Napoleon wymagał od cesarza Aleksandra poświęcenia sobie Anglii.

Obliczając więc niebezpieczeństwo oporu, książę ten nie mógł zdecydować się na zmianę systemu i zwlekał, wspomagany pojednawczym duchem pana Caulaincourta, ambasadora francuskiego, który, oczarowany szlachetnością charakteru samowładcy i okazywanem mu zaufaniem, powstrzymywał jeszcze gromy swego pana.

Książę Poniatowski, wysłany przez króla saskiego i przez rząd Księstwa dla wyrażenia cesarzowi Napoleonowi udziału, jaki naród brał w jego radości z urodzenia tego następcy, który był tak gorąco pożądanym, nie przywiózł z Paryża *nie pewnego* co do wojny. Dwór był rozbawiony i jeśli jakieś zniekane umysły wróżyły wyprawę równie olbrzymią, jak i niebezpieczną, nie słuchano ich wcale, gdyż Napoleon *jeszcze milczał*. Książę był podejmowany z rzadkiem wyróżnieniem, przyjęcie jego było jak najpochlebniejsze. Jego piękna i szlachetna twarz zjednała mu powodzenia wszelkiego rodzaju; czarująca Paulina nie okazała się obojętną dla naszego bohatera i mógł on do swego miłostnego pugilaresu załączyć jeszcze jedno zwycięstwo więcej.

Nagle pan Serra otrzymał rozkaz udania się do Drezn, a w Warszawie zastąpiono go panem Bignon. Przyczyna tej zmiany pozostała dla nas nazawsze niewiadoma, a sam pan Serra twierdził, że jej nie zna; bądź co bądź, w Dreźnie czekała go śmierć. Pan Bignon zastąpił go ku wielkiemu zadowoleniu rady, ze względu, że lepiej rozumiał sprawy i nie okazywał się tak żarliwym w zadowoleniu *pana*.

Co do społeczeństwa, nie było ono tak zado-

wolone; — nie umieliśmy ocenić nowo przysłanego, jak na to zasługiwał. Ale i pan Bignon maskował się nie bez przyczyny i trudno było odgadnąć pod tą mieszczańską i gminną powierzchownością, wyższość i zdolności, jakich zadziwiające dowody złożył później.

Zmuszony przez swoje stanowisko prowadzić dom, robił u siebie honory w sposób bardzo niezgrabny; aż mi przykro, że miałam chęć śmiać się z niego.

Raczył nas wciąż jednym i tym samym frazezem, który wypowiadał na najrozmaitsze tony, wyobrażając sobie może, że łatwiej niż każdy inny będzie przez nas zrozumiany. Wciąż tedy mówił:

— Czyż to możebne, żeby pani siedziała w tym kąciku!... Któż mógł myśleć, że zajmie pani tak złe miejsce, jak ten kącik... Ponieważ znajduję panią w tym kąciku, nie będzie mi wolno na chwilę podzielić samotności pani?... Ach! otóż pani w swoim kąciku!... Co za niesprawiedliwość chować się w ten sposób!... Usiadła pani tutaj, ażeby robić spostrzeżenia i w tym kąciku wyśmiewa nas pani!...

I czy się to działo w pośród najświetniejszego towarzystwa, czy też na samotnej kanapce niemieckiej wdówki, wszystko dla pana Bignon zdawało się kącikiem. Jeśli czasem zajęcia pana domu nie pozwalały mu rozwodzić się w długich omówieniach, to przynajmniej *w przejęciu* rzucał damom słowo zalotne, lub pełnej poważania uprzejmości.

Któż mógł pomyśleć, że w parę lat później osobistość tak zakłopotana stanie się jednym z najbardziej porywających mówców, jednym z najzako-

mitszych publicystów, pisarzem, któremu Napoleon miał kiedyś powierzyć pracę przekazania potomności swojej cudownej historii? ¹⁾ Któżby wtedy odgadł, że pan Bignon był *człowiekiem wyższym*, którego mowy w izbie wywołają słuszny zachwyt jego współziomków? Któżby powiedział, że z taką elokwencją będzie bronił świętej sprawy, którą przedstawialiśmy trybunałowi Europy, i że jego szlachetny przykład wywoła niezliczonych naśladowców?

Jeżeli czasami lekkomyślność naszych sądów czyni nas niesprawiedliwymi, to nigdy wszakże nie czyni nas niewdzięcznymi i pan Bignon zostawił w sercu Polaków niegasnącą wdzięczność. Przyznaję, że mnie przemiana ta wydawała się cudowną. Przy tej sposobności dowiedziałam się, że trzeba się strzedz w sądzie męża stanu podług wymagań *salonu*, zwłaszcza gdy się on w nim nie urodził. W tem kryła się przyczyna gminności pana Bignon. W radzie przenoszono go nad szlachetnie urodzonego pana Serre, chociaż nie umiano się poznać na całej jego wielkiej wartości.

¹⁾ W testamencie Napoleona czytamy: „Baronowi Bignon przekazuję sto tysięcy franków i zalecam mu napisać historię dyplomacyi francuskiej od roku 1792 do 1815.“ Bignon rzeczywiście napisał historię Francyi za Napoleona do roku 1812 (10 tomów, 1829 i 30 r.).

II.

Wstępne kroki do kampanii rosyjskiej.

Wypowiedzenie wojny. — Armia polska. — Widzenie się w Dreźnie Napoleona z Franciszkiem. — Marya-Ludwika i Beatrycze d'Este. — Konfederacya generalna. — Przybycie arcybiskupa Mechlińskiego. — Jego portret. — Pan d'André — Księżę Broglie. — Pań Brévannes. — Instalacya ambasadora. — Jego skapstwo. — Księżę Czartoryski, marszałek konfederacyi. — Matuszewicz. — Księżę Adam. — Mowa księcia Czartoryskiego. — Kokardy. — Odpowiedź cesarza.

Na wiosnę 1812 roku wypowiedziano wreszcie wojnę i ujrzeliśmy Europę zachwianą pod zwyciężkami orłami Napoleona.

Obliczając narody, idące za sztandarami francuskimi, najwięksi sceptycy nie mogli wątpić o powodzeniu tego zuchwałego przedsięwzięcia. Któż potrafiłby się oprzeć takim siłom, prowadzonym przez takiego człowieka?... Jedno słowo tego, co rządził losami świata, potroiłoby nasze siły, zapewniło jego zwycięstwo, lub przynajmniej osłoniło jego odwrót. Czemuż nie wypowiedział tego czarodziejskiego słowa, któreby, utwierdzając nasze istnienie, oszczędziło mu klęsk bezprzykładnych!

Jak tylko wiadomość o wojnie stała się głośną, młodzież ze wszystkich stron zbiegała się, zanim

ją nawet powołano. Ani groźby Rosyi, ani przedstawiania i obawy krewnych, nie mogły powstrzymać tego patryotycznego wybuchu; był to ten sam zapal i to samo poświęcenie, co w roku 1806, ale stopień zaufania był większy.

Nowe pokolenie zastąpiło to, co częściowo znikło w szeregach wojska francuskiego; dzieci z gorączkową ciekawością słuchały opowieści starszych i pałały ogniem. Nadzieja powrócenia zwycięzcami popychała ich do czynów bohaterskich. Żołnierze, zaledwie wyszli z wieku młodocianego, wzbudzali podziw starych grenadyerów. Ci, co nie nosili mundurów, nie śmieli pokazywać się na ulicach, gdyż byliby znieważeni przez uliczników.

Nie jestem jeszcze bardzo stara, a już trzykrotnie widziałam dokazywane cuda bohaterstwa!... W przeciągu czterdziestu lat trzykrotnie zdobywaliśmy się na wysiłki szlachetne, tem więcej godne podziwu, że wśród ludzi dojrzałych było mało złudzeń i mało nadziei.

Napoleon wyjechał z Paryża 10 grudnia w towarzystwie Maryi-Ludwiki, która chciała go odprowadzić aż do Drezna. Spotkali się tam z cesarzem Franciszkiem, również w towarzystwie swej młodej małżonki, Beatryczy d'Este ¹⁾, ostatniej latorośli tej znakomitej rodziny, z którą wiąże się tyle tradycji historycznych i tyle romantycznych wspomnień. Księżniczka ta, poświęcona, jak zwykle te, których losami rządzi polityka, nie była ani poznana, ani oce-

¹⁾ Była to trzecia żona cesarza Franciszka Marya-Ludwika Beatrycza d'Este, zm. 1816 r.

niona na tym dworze, gdzie wkrótce zgasła *z braku powietrza*.

Przy tem spotkaniu między dwiema monarchiami wywiązała się rywalizacya. Marya-Ludwika nie była w stanie pojąć innej wielkości, jak swego świetnego stanowiska; chciała przygnieść swoją macochę wspaniałościami i obsypać ją najbogatszymi podarunkami. Ale дума austriacka sprzeciwiała się temu; — dwie księżne rozstały się dość chłodno.

Marya-Ludwika wylewała potoki łez, rozłączając się ze swoim małżonkiem. Można by pomyśleć, że przeczuwała, iż pożegnanie to miało być *ostatniem* i że odtąd historia imię jej będzie wymawiała nieprzyjaźnie, na co zasłużyło jej nędzne postępowanie. Nigdy nie dowiedziano się *właściwie*, co zaszło między dwoma monarchami, ale ze sposobu, w jaki Napoleon opuścił swego teścia, można było sądzić, że związało się między nimi przymierze zaczepno-odporne.

Cesarz, zręczny w wyzyskiwaniu namiętności, jakie chciał wprowadzić w grę, nie zaniedbał niczego, coby mogło pochlebić Polakom i zapal ich doprowadzić do ostatnich granic *możliwości* i bądź co bądź, pozwolił im *spodziewać się wszystkiego*, nigdy nie wiążąc się niewczesnymi obietnicami. Pan Bignon otrzymał rozkaz powiadomienia się drobiazgowo o *tradycjach narodowych* i upewnienia się, w jaki sposób przystępowano niegdyś do *pospolitego ruszenia* za zbliżeniem się nieprzyjaciela.

Przy tej sposobności zwołano *sejm konfederalny* i przysłano nam ambasadora francuskiego, którego obowiązkiem było czuwanie nad tem, co zajdzie w tych ważnych okolicznościach.

Wszystkie te demonstracye miały na celu przestraszenie Rosyi, gdyby echo naszych nadziei rozległo się w najodleglejszych prowincjach byłej Rzeczypospolitej.

Ujrzeliśmy pana de Pradt, wjeżdżającego z całą okazałością, konieczną dla przedstawiciela wielkiego narodu i potężnego monarchy.

Ale jakże małym i pospolitym wydał się on nam wśród całego tego przepychu, z którego korzystał zarazem wyniośle i trywialnie. Mówiący nieustannie o swoim gospodarstwie, o swojej kucharce, którą kazał sprowadzić, „gdyż była równie gospodarzą, jak doświadczoną! „... łający na głos swoją służbę, chodzący doglądać swoje dwa grube konie andaluzyjskie, gadający ustawicznie, bez znużenia opowiadający anegdoty, które wszyscy znali, usiłujący wyśmiewać szlachetne uczucia i zapał, których nie pojmował, pozbawiony godności w manierach, a taktu w słowach, takim był pan de Pradt.

W każdym innym kraju, a zwłaszcza w innych okolicznościach, niezegoby nie dopiął; ale Polacy w monsignorze arcybiskupie Mechlińskim widzieli tylko tego, który go przysłał, którego potężna ręka jedna tylko mogła pomódz Polsce do podźwignięcia się. Bądź co bądź, tem niemniej byli zdziwieni tym wyborem, którego nic nie usprawiedliwiał, nawet zręczność; pan de Pradt był tak mało zdolny do kierowania czemkolwiek, że zupełnie zdawał się na niejakiego pana André, czy też d'André, którego nazwiska nigdy właściwie nie znałam; spotykano go tylko na wielkich obiadach ambasadora, gdzie skromnie usadowiony przy końcu stołu, tał swoje zasłu-

gi i swój wpływ. Bądź co bądź, jego twarz wymowna i ruchoma nie nadawała się do ukrywania niezbyt miłego wrażenia, wywoływanego conceptami amfitryona, który oddawał się czasem wesołości, nieodpowiedniej ani dla jego wieku, ani dla jego stanu.

O ile ambasador wydawał się nam mało uzdolnionym do powierzonej mu misyi, o tyle skład ambasady był dobry. Z pomiędzy tych panów najbardziej zasługujących na uwagę przytoczę księcia Broglie¹⁾, bardzo jeszcze młodego, ale który z wyjątkiem przypatrywania się swej nodze, okazywał już zdolności niezwykle i posiadał wykształcenie istotnej wartości w połączeniu z uczciwym charakterem; pana Brévannes, człowieka nieskończenie dowcipnego i o zdrowym rozumie, zaletach rzadko połączonych. Cierpiał na anawryzm, bardzo już rozwinięty, i zdrowie jego sprawiało, że często bywał smutny i zadumany, ale jak tylko kiedy w chorobie nastąpiła przerwa, jego żarty rozweselały salon. Nie spotkałam człowieka tak *spokojnie* miłego i dowcipnego. Był także pan Panat, trochę zanadto zajęty swoją maleńką osobką i swoją godnością, ale bynajmniej niepozbawiony zdolności i zręczności. Sądzę, że to był pracownik w owym gronie. W końcu ten dobry i godny poważania pan Rumigny, którego wspomnienie pozostało drogim dla tych wszystkich, co go znali, i który później zostawszy ambasadorem w Szwajcaryi, okazał się opiekunem wszystkich nieszczęśliwych Polaków.

Ponieważ urządzenie pałacu Brühlowskiego, któ-

¹⁾ Wiktor książę de Broglie, ur. 1785, zm. 1870 r. W 1816 r. zaślubił córkę pani Staël.

ry ofiarowano ambasadorowi, nie było jeszcze całkowicie ukończone, gdyż włożono w to tyleż trudu, co przepychu, pan de Pradt, który nie chciał pozostać w hotelu, w jakim stanął, nie wiedział, gdzie zamieszkać. Chwilowe najęcie przyzwoitego lokalu nie dogadzało monsignorowi; był on oszczędny i dbał o to, żeby odkładać wszystko, co będzie mógł zaoszczędzić z dwustu tysięcy franków, wyznaczonych na koszt reprezentacji. Widząc go pochłoniętym temi nędznymi kłopotami w chwili, kiedy wypadki się wikłały coraz bardziej i wymagały całej uwagi ambasadora, teść mój postanowił ofiarować mu apartament, zajmowany przez księcia Murata. Pan de Pradt przyjął, nie kładąc się bardzo prosić. Tym sposobem zaznajomiliśmy się z tysiącznemi małostkami, z jakich składało się jego życie i tym sposobem wyrobiliśmy sobie o nim sąd.

Armia polska, skompletowana już całkowicie, dzięki zapalowi, z jakim ją organizowano, otrzymała rozkaz wymarszu. Wyruszyła, gromadząc w swoich szeregach najświetniejszą młodzież; ani jednego nazwiska historycznego nie zabrakło przy apelu.

Byliśmy wszyscy przekonani o powodzeniu wyprawy, ale za wiele było osobistych nieszczęść, których się obawiano, ażeby nie doznawać okropnych niepokojów; wiedzieliśmy, że wszyscy się narażali na niebezpieczeństwa, prowadzeni przez wodza, który sam miał dawać przykład zuchwalstwa.

Kiedy przedsięwzięto wszystkie ostrożności, cesarz wyraził życzenie, żeby mógł widzieć starego księcia Czartoryskiego, ojca księcia Adama, wyniesionego na godność marszałka sejmu.

Matuszewicz, minister spraw wewnętrznych, człowiek nieskończenie rozumny, wszystko zawdzięczający staremu księciu, udał się do Puław, ażeby zobowiązać swego dobroczyńcę, iżby nie odmówił złączenia swego czcigodnego nazwiska z tym wypadkiem, tak ważnym. Mówiono o wrażeniu, jakie wywoła się w całym kraju, gdy na czele podpisów, położonych na akcie konfederacji, ujrzy się podpis starca powszechnie szanowanego, którego olbrzymia fortuna, wiek i stanowisko społeczne robiły jakby patriarchy i z którym wiązały się nasze starożytne tradycje.

Ci, co znali do głębi myśl cesarza, przypuszczali, że jeśli Napoleon przywiązywał tak wielką wagę do tej nominacji, to dlatego, że chciał imię ojca przeciwstawić imieniu syna. Związany z cesarzem Aleksandrem szczerą przyjaźnią, oczarowany obietnicami, które wówczas nie były może złudnemi, książę Adam Czartoryski oczekiwał od Aleksandra tej samej Polski, która, jak się nam wydawało, mogła być osiągniętą jedynie niezwyciężoną bronią cesarza francuskiego.

Idąc z zapalem za tem urojeniem, jedyną namiętnością swego szlacheckiego życia, Adam Czartoryski wiernie służył samowładcy, a w demonstracjach Napoleona chciał widzieć tylko środek, służący do wspierania ambitnych zamiarów.

Nigdy nie zapomnę, jak raz po długiem roztrząsaniu tych dwóch zdań, z których jedno stało się u niego *przekonaniem*, kiedy drugie było u mnie nadzieją, ugruntowaną na sprawie ogólnej, zawolał w najszlachetniejszym zapale:

— Jeżeli przyszłość dowiedzie, że moja nie-

ufność była niesłuszna, bez szemrania poddam się wygnaniu z tej ojczyzny, którą będziemy zawdzięczali wspaniałomyślności zwycięzcy; wystawię mu ołtarze nawet w pustyniach, dokąd mnie wyśle za karę, żem wierzył w obietnice Aleksandra.

Stary książę nie podzielał zapatrywań swego syna, lub, prawdę powiedziawszy, nie mając wcale ściśle określonych poglądów wskutek swego wieku i osłabienia zdolności, ustąpił w końcu naleganiom Matuszewicza i zajął w Warszawie wysokie stanowisko, jakie mu ofiarowano.

Popelniono nieroztropność nie do darowania, pozwoliwszy mu ukazać się w eleganckim mundurze feldmarszałka austriackiego, który nosił zazwyczaj. Widok tych barw cudzoziemskich wśród zebrania patryotów nie bez słuszności dotknął przedstawicieli kraju. Urok imienia i białych włosów zniknął w znacznej części pod tym strojem, przypominającym aż nadto dobrze urazy, jakie mieliśmy do domu austriackiego od pierwszego podziału i od zniszczenia, dokonanego z taką zajadłością przez Maryę-Terese.

Na nieszczęście, nie był to jedyny błąd, jakiego się dopuścił czcigodny starzec. W dniu otwarcia sejmu ¹⁾ do mowy swojej dołączył jakiś odcień przestarzałej rycerskości, nieodpowiedniej ani miejscu, ani okolicznościom.

Rozpocząwszy od wymownej odezwy do najszlachetniejszych uczuć, do najheroicznějších poświęceń, najzupełniejszych ofiar, zwrócił się do pań,

¹⁾ 26 czerwca 1812 r. Zob. „Dzieje Księstwa Warszawskiego“ przez Skarbka.

zapelniających trybuny; mówił o patryotyzmie, którego dowody powinny złożyć małżonki, matki i siostry.

Stara księżna, zarówno jak i jej córki, znajdowały się na sali. Odpowiadały okrzykami i przysięgami, wyglądającemi bardzo śmiesznie.

Kokardy w kolorach narodowych, przedtem już przygotowane, były rozrzucone i rozdawane między wszystkich obecnych. Wiele z tych kokard wysłano do głównej kwatery przez kuryera, którego natychmiast wyekspedyował ambasador, ażeby oznajmić cesarzowi wrażenie, sprawione przez otwarcie sejmu.

Ta galanteria, trąca wspomnieniami przeszłości, i ten niewieści patryotyzm w sali sejmowej, gdzie miały być roztrząsane najważniejsze sprawy, nie mogły nie wydać się niewłaściwemi, a wielu rozsądnych ludzi zasmuciło to. Książę ze swoim imieniem i swemi osiemdziesięciu latami, byłby wywołał inne wrażenie, harmonizujące z okolicznościami, gdyby wzywając Polaków *do broni*, zadowolił się tylko wskazaniem im nowej drogi, otwierającej się przed nimi; nie trzeba było ani teatralnego uniesienia, ani hałaśliwych demonstracyj. Nic łatwiej nie wzruszy nad uczucia wzniosłe i głębokie, wypowiedziane prosto.

Ambasador odpowiadał na mowę marszałka z dyplomacją tak dwuznaczną, że odpowiedź jego, ażeby była zrozumiana, musiałaby być *wytlómaczona* i jak to bywa w takich razach, każdy wykladał ją na swój sposób; w jednym tylko zgadzano się, że cesarz nie chciał się jeszcze do niczego zobowiązywać.

III.

De Pradt.

Smoleńsk.—Śmierć hrabiego Grabowskiego.—Zebrania w ambasadzie francuskiej.—Król westfalski w Warszawie.—Pani Walewska u Pradt'a.—Obiad wiejski.—Krewni.—Improwizacya pana Brévannes.—Francuzi.—Podarunek ambasadora.

Napoleon doszedł aż do Wilna, nie napotykając najmniejszego oporu; powinien był domyślić się, że nieprzyjaciół chciał go wciągnąć w sam środek Rosyi. Zatrzymał się kilka dni w tej stolicy Litwy, utworzył tam rząd tymczasowy, podobny do rządu Księstwa. Powołano pana Bignon na kierownika tej nowej ambasady. Z Wilna wyruszył Napoleon na Smoleńsk, rozdzieliwszy swoje olbrzymie wojsko.

Po każdym przejściu rzeki ambasador otrzymywał kuryera, który miał zanieść do Paryża biuletyn, przeznaczony do „Monitora“, i udzielał nam wiadomości. Ludność przyjmowała je z uniesieniem, miasto wspinało się oświeślało i tłumnie przybiegano wypytwać o szczegóły, które żywo zajmowały tych wszystkich, co mieli w wojsku krewnych lub przyjaciół.

Pierwszym ważnym biuletynem był ten, który oznajmił o wzięciu Smoleńska, gdzie szturmem dowodził osobiście sam cesarz. Polacy dokazywali tam, jak i wszędzie, cudów odwagi. We wszystkich kościołach odśpiewano *Te Deum*; ale kiedy upojenie zwycięstwem ustąpiło miejsca trwogom bardzo naturalnym, rozpytywano się o nieuniknione straty, jakie miano opłakiwać. Bohaterska śmierć generała Michała Grabowskiego, zabitego w chwili, kiedy na czele swojej brygady pierwszy rzucił się na szaniec miasta, wywołała szczerzy żal i wstrzymała na chwilę radosne objawy. Był to jeden z tych ludzi, co choć młodzi jeszcze, jedną sobie ogólne przywiązanie. Był on bratem mojej przyjaciółki ¹⁾, widywałam go często. Jego biedna siostra uparła się nie wierzyć w swoje nieszczęście, gdyż ciało generała nie zostało odnalezione; długo myślała, że brat jej dostał się do niewoli.

Od chwili, kiedy ambasador zamieszkał w pałacu Brühlowskim, bogato dla niego urządzone, oznajmił, że jego zamiarem jest co tydzień przyjmować i wyprawiać tańce dla młodzieży. Ale ten projekt napotkał na wielką przeszkodę; oprócz młodzieńców z ambasady, w całym mieście nie było ani jednego osobnika w wieku stosownym do tańczenia walca: wszyscy byli w wojsku! Trzeba więc było rzec się tej rozrywki; zresztą panie, które się usunęły do sąsiednich wiosek, nie były wcale w usposobieniu zadosyćczynienia usilnym zaproszeniom Jego Eminencyi, gdyż z trwogą oczekiwały wiadomości z głównej kwatery.

¹⁾ Pani Sobolewskiej.

Dlatego też pierwsze zebrania w ambasadzie były ponure i smutne; świeciły pustkami. Dowiedziano się, że cesarz kazał sobie szczegółowo zdawać sprawę ze wszystkiego, co się działo w Warszawie; mówiono sobie, że niezawodnie będzie dotknięty temi objawami smutku, być może w gruncie rzeczy słusznymi, ale niewłaściwymi, ze względu na jego przyjazne usposobienie, jakiego nam dał dowody, więc panie zmuszone były ukazywać się od czasu do czasu.

Przyjazd młodego króla westfalskiego, Hieronima Bonaparte, ożywił trochę miasto. Dowodził on pułkiem rezerwowym; miał rozkaz połączenia się z cesarzem, ale nie mogąc wojsk swoich zmusić do takiej samej szybkości co dwór, był zmuszony zatrzymać się w Warszawie. – Twierdzono nawet później, że niezbyt trudnemu w wyborze osobistości, jakie przypuszczał do zażyłości, tak dobrze było mu w kraju, gdzie piękność kobiety nie była ani rzadką, ani wyjątkową, iż ambasador otrzymał rozkaz wyprawienia go. Bądźcobądź, przybywszy, grał rolę króla, oznajmił, że urządzi zebranie i przyjmie te panie, co zapragną być mu przedstawionymi. Wydało się to zupełnie nieestosownem ze strony monarchy dwudziestoletniego¹⁾, znajdującego się tu w przejściu i bawiącego się tak koroną, jak dzieci bawią się w dorosłych.

Nastąpił więc rozłam; jedne poszły, większa część zbuntowała się przeciwko przymówkom amba-

¹⁾ Hieronim Bonaparte urodził się w 1784 r., a więc w r. 1812 miał lat 28.

sadora, który twierdził, że nie można „niczego odmawiać bratu Napoleona.“ Książę obraził się brakiem gorliwości, jaki okazały damy, chciał wydać bal, ale zjawily się te same przeszkody, które wstrzymały pana de Pradt.

Trzeba było poprzestać na obiadach, dość nudnych; etykieta, przestrzegana z wyjątkową ścisłością, powylażała z nich ludzi przyjemnych, których położenie społeczne nie upoważniało do zajęcia *miejsc* w obecności króla.

Myśmy nie mogli się poddać wymaganiom cesarskim, mieliśmy przyzwyczajenia za bardzo republikańskie.

Niesłusznie posadzają Hieronima, że był pozbawiony zdolności, miał on umysł bystry i trafny. Gdyby miał o jeden stopień więcej uprawnień, a o jeden mniej dziecinnej próżności, byłby uchodził za znakomitego księcia; ale, zepsute dziecko fortuny, używał i nadużywał jej łask. Była to historia wszystkich prawie członków tej rodziny. Każdy z nich, *oddzielnie* wzięty, posiadał niezaprzeczone zalety, ale przyniatała ich wielkość Napoleona. Nie było śmieszności, którychby nie opowiadano o zwyczajach tego młodego króla. Twierdzono, że co rano kąpał się w araku, a co wieczór w mleku; jego służba napępiała, jak mówiono, płynem butelki i sprzedawała z *ustępstwem*.

Tak daleko posuwał elegancję, że nigdy dwa razy nie kładł jednego ubrania, tak, że pewien kapelusznik z Paryża, któremu był winien znaczną sumę, wytoczył mu jeden z najnieprzyjemniejszych procesów. Cesarz nie chciał nigdy słyszeć o długach

swego brata, a królik westfalski nie był w stanie żyć na tak wielką skalę, nie naruszając swego budżetu.

Sądzę, że ambasada *odetchnęła* po jego wyjeździe; ale zaszła inna wizyta, która wykazała w całej pełni nietakt ambasadora.

Podczas lata przybyła do Warszawy pani Walewska, podając za powód sprawy rodzinne, wymagające jej obecności. Nikogo nie oszukał ten powód. Ponieważ nigdy nie zajmowała się swojemi sprawami i ponieważ jej drobna posiadłość była wydzierżawiona, łatwo było odgadnąć, że prawdziwą przyczyną tej podróży była nadzieja, że zostanie zawezwana do głównej kwatery. Ale Napoleon od czasu swego małżeństwa wystrzegał się wszelkich pozorów płochości.

Podczas kilkodniowego pobytu piękności w Warszawie monsignor uważał za swój obowiązek traktować ją jako fac-simile cesarzowej. Miała ona pierwszeństwo przed wszystkimi damami. Na wystawnych obiadach jej *pierwszej* usługiwano, siedziała na honorowym miejscu i otrzymywała wszystkie hołdy, jak również wszystkie oznaki uszanowania...

Widocznie dotknęło to starsze damy, a zasępiło ich mężów; tymczasem zaś młode kobiety, niezbyt dbające o etykietę, śmiały się bez żenady z miłosnej ekstazy, z jaką monsignor arcybiskup lornetował ładne ramiona i białe, pucolowate ręce małej hrabiny.

Wyrobiła się ona nadzwyczajnie podczas swego pobytu we Francji. Nabrała tam *skromnej pewności siebie*, trudnej do utrzymania w dwuznacznym położeniu, w jakim się znajdowała. Zmuszona strzedz

się Maryi Ludwiki, bardzo zadrosnej, jak mówili, pani Walewska potrafiła wpośród paryżan wzbudzić wątpliwość co do tajemnych stosunków, jakie zachowywała z cesarzem. To też była to jedyna z miłostek, której Napoleon nagle nie przerwał. W chwili, kiedy szczęście go opuściło, pani Walewska uważała się za upoważnioną do rzucenia matki i pojechała za cesarzem na wyspę Elbę; ale on zganił ten postępek, a przyjaciółka, poświęcająca się w nieszczęściu, ujrzała się oddaloną ze względu na niewierną małżonkę.

Zbyt niedyskretna gorliwość pana de Pradt sprawiła, że piękność gwałtownie opuściła Warszawę; była widocznie zmieszana i wolala zamknąć się w swojej skromnej siedzibie, gdzie oczekiwała wyniku wypadków.

Mąż mój, idąc za ogólnym prądem, udał się do Wilna, gdzie zajął stanowisko ¹⁾ w tymczasowym rządzie, który cesarz tam uorganizował. Przez ten czas zostawałam z memi dziećmi w Natolinie i zajmowałam się urządzeniem tej rozkosznej rezydencji.

Pan de Pradt, chcąc osobiście ocenić to letnie mieszkanie, o którym słyszał, napisał do mnie, *zapraszając się na obiad*. Byłam tembardziej zdziwiona tą *serdecznością* i tą *bezceremonialnością*, że nie zrobiłam nic, ażeby wywołać taką *prośbę*; odpowiedziałam wszakże, jak wypadało. Niezadługo ujrzelśmy zatem pana ambasadora w powozie, ciągnionym przez dwa jego grube konie andaluzyjskie. Ponieważ dzień był niezwykle gorący, pan de Pradt bardzo się zmęczył. Jak tylko trochę odpoczął, zaczął opowiadać

¹⁾ Aleksander Potocki był wielkim koniuszym.

stare swoje anegdoty, z których najświeższe datowały się z czasów pani Pompadour, z wycieczek do Marly i zamilkł dopiero w chwili, kiedyśmy przeszli do sali jadalnej. Tam jeszcze musieliśmy poddać się długim rozprawom przy każdym danu; dziwił się, że w Polsce można mieć tak dobrą kuchnię i tyle o tem mówił, że musiałam go objaśnić, iż mój kucharz jest *Francuzem!* Jego zdziwienie było nadzwyczajne, nie przestawał zasypywać mnie pytaniami o imię jego, miejsce urodzenia, szkołę, w której się uczył. — Nie znałam tych wszystkich szczegółów, to też przyszło mi na myśl zawołać samego mistrza. Urzędnicy z ambasady, zawstydzeni tą drobną sceną, dość śmieszną, widocznie nad nią boleli. Wstałam od stołu, dając za powód późną godzinę i przechadzkę, jaką mieliśmy odbyć.

Na to wezwanie całe towarzystwo udało się na folwark, gdzie czekały na nas powozy, podczas kiedy ambasador pojechał z powrotem do miasta.

Była to pora i godzina, w której komary są najdokuczliwsze. Można by rzec, że złośliwa wróżka wezwiała je do tej rozkosznej posiadłości, aby nie pozwolić, iżby się miał ktoś czuć w niej, jak w raju. Mówię tu o nich dlatego, że ta dokuczliwość wywołała zachwycającą improwizację. Najmłodszy z audytorów, o którym już mówiłam, pan de Panat, bardzo zajęty swoją godnością, jak również swoją *małenką osobką*, wydawał gorzkie skargi i zagłuszał nas przenikającymi krzykami, jakie wywoływało każde nowe uklócie, tak dalece, że pod koniec przechadzki zawołał, że umarł, że ostatni z jego wrogów dobił

go i że ponieważ te *kanibale* zjadły go, nie pozostało mu nic innego, jak być pochowanym. Zachwycona, że mogę wznieść w parku jeden więcej pomnik, podałam konkurs na nagrobek. Oto nagrobek pana Brévanres, który mi go oddał po kilku minutach; napisał go w swoim notatniku, wciąż się przechadzając. Da on próbę trafności i wdzięku jego dowcipu:

D'un auditeur ici le tiers repose,
Plaignez sa mort et celle du cousin,
Qui pour avoir mangé si peu de chose
Mourut de faim!... ¹⁾

Pan Panat, równie jak i my, był zachwycony tym czterowierszem; wyśmiewał sam siebie z wesołością całkiem francuską.

Narodzie miły o tyle, o ile dowcipny, rozkoszny kraju, którego być może nigdy już nie ujrzę, którego przyjemności tak ceniłam i o którym tak żywe zachowałam wspomnienie, przyjmij na tem miejscu mój hold!... Gdybym miała rozpocząć na nowo tę uciążliwą pracę, którą *nazývają życiem*, to chciałabym urodzić się Francuzką!... Nie dlatego, ażebym miała zapierać się mojej ojczyzny, uchowaj Boże! im więcej jest ona gnębiona, tem więcej ma praw, aby być drogą swoim dzieciom. Ale gdyby się miało wybór, zanim się *przyjęło zobowiązania*, czyż nie byłoby dozwolonem poprawić swego losu, ażeby uniknąć tylu nadziei zawiedzionych, tylu nieszczęść niepowetowanych?

¹⁾ Tu spoczywa trzecia część audytora, oplakuje jego śmierć i śmierć komara, który za to, że zjadł tak mało, zmarł z głodu!...

Byłam wówczas w tej epoce życia, kiedy przyszłość przedstawia się zawsze lepszą, niż ma być w rzeczywistości, jakby chciała pocieszyć za chwilę obecną. Dzisiaj, kiedy zmartwienia bardziej jeszcze niż lata postarzyły mnie, żałuję przeszłości i mało liczę na przyszłość; nie potrafi ona oddać mi tego wszystkiego, co utraciłam.

Powróćmy do pana de Pradt, ażeby już o nim nie mówić. Kiedy miał opuścić nasz dom dla zajęcia pałacu Brühlowskiego, raczył pomyśleć o zostawieniu memu teściowi jakiejś pamiątki. Podziwiał w Wilanowie piękną galeryę obrazów hrabiego Potockiego, a widząc, że teść mój, który zebrał te obrazy, był amatorem i znawcą zarazem, poprosił go o pozwolenie ofiarowania sobie arcydzieła.

— Nie zepsuje on zbioru—rzekł.

Mój teść bronił się, jak mógł, ale nie chcąc narażać się ambasadorowi, w końcu przystał.

Obraz, który ofiarowywał, znajdował się w pałacu biskupim w Mélines (Mechlinie), trzeba więc było dość długiego czasu na sprowadzenie go.

— Będzie to pewnie Madonna szkoły flamandzkiej—mówił mój teść;—niebardzo ja je cenię, bo prawie wszystkim tym Madonnom brak szlachetności.

— A gdyby to był Albert Dürer¹⁾, albo Holbein?²⁾—zauważyłam.

¹⁾ Albert Dürer, najznakomitszy malarz niemiecki, ur. 1471, zm. 1528 r.

²⁾ Jan Holbein, znakomity również malarz niemiecki, ur. 1498, zm. 1554 r.

I tak bawiliśmy się odgadywaniem, jak wysoka będzie artystyczna wartość podarku, który nic nie kosztował tego, co go ofiarowywał.

— Zamieszczą go w rachunku ambasady, jako *własność narodową*—rzekł mój teść.

Skrzynia tak długo oczekiwana wreszcie przybyła. Wyjęto najszkaradniejszy z bohomazów. Był to portret rozbójnika, słynnego niegdyś w okolicy arcybiskupstwa. Ale co robił ten obraz w pałacu, przylegającym do katedry, tego nigdy pan de Pradt nie umiał nam objaśnić.

Z wielkim trudem ukryłam moje zdziwienie; mój teść, którego uprzejmość była niezwykłą, udał zachwyt, a pan de Pradt odszedł przekonany, że wywiódł w pole swego gospodarza. Arcydzielo zajęło miejsce na strychu w Wilanowie.

IV.

O d w r ó t.

(1812—1813)

Pierwsze wiadomości o klęskach.—Przybycie Napoleona do Warszawy.—Obiad w *Hotele Angielskim*.—Pani Walewska.—Pułkownik Wąsowicz, jego opowiadanie o przybyciu do Drezna.—Powrót żołnierzy.—Książę Poniatowski.—Jego *lup*.—Możajsk.—Orły.—*Kukulka*.—Zapał patriotyczny.—Odjazd księcia Poniatowskiego.—Jego pożegnanie z hrabiną Potocką.—Jego testament.

Biuletyny aż do Moskwy były wspaniałe—nieprzyjaciół cofał się; zapewniano nas, że uciekał, a myśmy temu wierzyli z bardzo prostej przyczyny, że takie były nasze najdroższe pragnienia.

Nie będę wdawała się w opowiadanie wypadków tak znanych i o których wielokrotnie jeszcze będą mówili zdolni pisarze. Zapiszę tylko okoliczności, będące w związku z Polską, i wrażenia, jakich myśmy doznawali.

Podczas zimy 1812 r. zebrania w ambasadzie stały się świetnymi; — udawano się tam z tem większym pośpiechem, że tylko na wieczorach u pana de Pradt zasięgnąć można było tak niecierpliwie oczekiwanych wiadomości. Kiedy kurjerzy nie przyby-

wali, przypisywano to ostrości pory, która sprawiała, że drogi były nie do przebycia. Rozumiało się samo przez się, że nie było czego się niepokoić.

Kiedy przechodzę pamięcią te różne wzruszenia, jakie zrodziły wypadki, nie mogę się dostatecznie wydziwić naszemu głupiemu i niepojętemu spokojowi.

Kłęski, mające spaść na armię, przewidywała tylko mała garstka alarmistów. Wiadomość o spaleniu Moskwy była pierwszym znakiem niepowodzeń. Tymczasem ambasador przedsiębrał wszystkie możliwe i nienależyte środki dla podtrzymania tych złudzeń, któreśmy pragnęli zachować. Kurjerzy, wysyłani z wojska do cesarzowej, kierowani byli wprost na Berlin; ani jeden list nie przychodził pocztą, wszystkie przejmowano. Zdawało się, że pan de Pradt wziął za dewizę: łudzić, oszukiwać i wydawać wspaniałe obiady.

Nagle zabrakło zupełnie wiadomości i niepodobna było ukrywać tego, co się działo. Wierny zadaniu, jakie sobie postawił, ambasador chciał jeszcze raz zmusić nas do tańca. — Ale ten ostatni bal był tak ponury, że zdawało się, iż asystujemy raczej jakiejś pogrzebowi, niż wesołej uczcie.

Teść mój udzielił mi w tajemnicy wiadomości, jakie wciąż ukrywano z uporem, i wymógł, żebym się na ten bal udała. Włożyłam czarną aksamitną suknię, aby mieć wymówkę, że nie tańczę. Pan de Pradt udawał, że go obraziła ta toaleta, tak mało zastosowana do okoliczności, wielokrotnie powtarzał mi, że nie jest odpowiednia do mego wieku. Ale podczas kiedy on robił honory domu z miną najspokojniejszą w świecie, mówiono sobie na ucho, że ambą-

sada właśnie przed chwilą otrzymała rozkaz być gotową do odjazdu i że się pakowano.

Im mniej oczekiwanym był cios, tem żywiej go odczuto. Warszawa wpadła w jakieś nieme osłupienie. Wszystkie rodziny, mające w wojsku ojców, braci, mężów, ogarnął straszliwy niepokój. Zbliżano się do siebie ze drżeniem. Tym razem jednak wyobraźnia została daleko po za okropną prawdą. Dowiedzieliśmy się naraz o wszystkim—gdyż wiadomości ukrywano przeszło przez dwa tygodnie. Świetne pozory, które nas omamiły, rozwiały się nagle. Zrozumieliśmy, że najrozpaczliwsze wysiłki nie mogły nadal przedłużyć tej walki, w którą włożyliśmy wszystkie nasze nadzieje. Ten dramat wielu miesięcy zakończył się w przerażający sposób ruiną kraju i niezliczonymi nieszczęściami osobistymi. Napróżno starano się przedłużyć powątpiewanie o losie tych, co poświęcili wszystko. Przygnębienie było ogólne; nie można było pocieszyć się widząc, że znika jedyna sposobność sprzyjająca wskrzeszeniu Polski. Nie można było już marzyć, żeby Napoleon odzyskał przewagę na Północy i mógł na przyszłość dyktować jej prawa.

Dziesiątego grudnia mróz był trzaskający, 24-stopniowy. Zgromadziliśmy się smutni koło ogniska rodzinnego i opłakiwaliśmy nieopisane zuchwalstwo, z jakim wielki człowiek uparł się, by narazić swoją potęgę i chwałę. Nagle przyszedł ktoś od ambasadora i tajemniczo wywołał mego teścia. Wszyscy z dnia na dzień oczekiwali wyjazdu pana de Pradt; dlatego też pierwszą myślą naszą było, że szło o wizytę pożegnalną.

Upłynęły dwie godziny, pełne niepokoju. Cokol-

wiekby zaszło, musiało nas przestraszyć—niepodobna było spodziewać się nic pocieszającego.

Wreszcie po długim oczekiwaniu wrócił hrabia Stanisław Potocki, widocznie wzruszony i dał nam do zrozumienia, kto był tą osobą, z którą rozmawiał. Był to cesarz Napoleon, który poświęciwszy swemu straszному kaprysowi milion ludzi, zwyciężonych przez żywioł niszczycielski, wracał *sam jeden*, ale wcale nie zgnębiony, a jeszcze mniej *zrażony*. Jego czarodziejski geniusz pozwalał mu widzieć we Francyi ogromne środki i możliwość wprowadzenia ich w ruch, ażeby nanowo uchwycić wymykające mu się już z rąk berło świata.

Mówił o klęskach, nie usiłując ich taić, ani nawet zmniejszać ich okropności. Przyznał się do swoich błędów, zrobił aluzję do nadmiernego zaufania, jakie pokładał w swojej gwiazdzie, która aż do tego fatalnego czasu zdawała się panować nad żywiołami; przytoczył wszystkie przyjazne widoki, jakie przeszłość mogła ukazać, zrobił treściwy rzut oka na politykę europejską i z rzadką przenikliwością wyliczył wypadki przyjazne i nieprzyjazne, jakie się mogły zdarzyć. Nie burzył naszych nadziei, ale zachęcał do wysiłków, przyrzekł, że wróci na czele nowej armii, jednym słowem, przelał w duszę swoich słuchaczy ogień, którym pałały jego słowa. Urok, jaki ten niezwykły człowiek wywierał na wszystkich, co go słuchali, był tak potężny, że teść mój, który opuścił nas całkiem zgnębiony, wrócił pelen nadziei. A jednak nie był już w wieku złudzeń; umysł jego, równie bystry, jak trafny, dążył do pewności we wszystkich poważnych sprawach.

My, cośmy nie byli obecni przy rozmowie pętnego czarodzieja i nie znajdowaliśmy się pod jego urokiem, pozostaliśmy przygnębieni. Chodziło nam tylko o terażniejszość, a przedstawiała się ona, jak straszliwe widmo. Po przez te krwawe widzenia przyszłość, która już nas zdradziła tyle razy, ukazywała się ciemną i rozpaczliwą.

Pan de Pradt w ogłoszonym przez siebie opowiadaniu o swojej ambasadzie, usiłując ośmieszyć tę ważną rozmowę, ukazał się w świetle niezbyt korzystnem. Aż do końca grał rolę płatnego pochlebcy, okazując się pełnym zachwyty dla projektów swego pana, jak również dla zdania, tak często odtąd powtarzanego: *Od wielkości do śmieszności jest jeden tylko krok*. Usunął się dopiero, dokonawszy mnóstwa protestacyi.

Z wielkiem zdziwieniem dowiedzieliśmy się, że Napoleon, zamiast zajechać do ambasady, udał się do hotelu Angielskiego, gdzie zjadł obiad. Może być, że myślał w ten sposób zapewnić swoje incognito ogromnie nie w porę; gdyż wysiadł przy wjeździe na most praski i przeszedł całe Krakowskie-Przedmieście w godzinie, kiedy ta dzielnica miasta jest najruchliwsza, ubrany w szubę z zielonego aksamitu ze złotemi haftami i w sobolowej czapce. Rzecz zadziwiająca, iż nikt go nie poznał, ani szedł za nim. Pochłonięci wypadkami, ludzie nie mogli przypuścić, ażeby cesarz znajdował się już za Wisłą, podczas, kiedy myślano, że był jeszcze zagrzebany w lodach Dźwiny.

Towarzyszyli mu tylko pan Caulaincourt i pułkownik Wąsowicz, oficer służbowy, którego mężstwo i poświęcenie były mu znane. Rustam, mameluk,

otrzymał rozkaz nieopuszczania powozu i przyjsia do hotelu dopiero o zmroku, w chwili, kiedy wszystko będzie gotowe do wyjazdu.

Siadając do stołu, Napoleon posłał po ambasadora i wydał mu rozkaz, żeby poszedł po prezesa rady, jako też po dwóch ministrów¹⁾, z którymi chciał się rozmówić.

Konie zamówiono na poczcie na imię pana Caulaincourt'a — był to sposób zachowania incognito — i wyjechało około 9-tej wieczorem. Oto anegdota równie ciekawa, jak mało znana. Przejeżdżając przez Łowicz, Napoleon chciał skrócić z drogi, ażeby odwiedzić panią Walewską, która, jak to powiedziałam, żyła samotnie w swoim zamku.

Pan Caulaincourt, któremu cesarz zwierzył się ze swoim zamiarem, sprzeciwił się bardzo żywo tej zachciance kochanka; miał odwagę przedstawić całą jej *nieprzystojność*, opierając się na wrażeniu, jakie taka lekkomyślność wywarłaby na cesarzowej, jak również na tych wszystkich, którzy nie przebaczyliby Napoleonowi, że myślał o swoich miłostkach wówczas, kiedy opuścił armię w rozsypce. Podąsawszy się przez kilka minut, cesarz, zbyt sprawiedliwy, ażeby mieć urazę do tego, co mu dał nowy dowód przywiązania i zdrowego rozsądku, oświadczył Caulaincourt'owi szacunek i przyjaźń, które przyniosą zaszczyt tym dwóm ludziom. Pułkownik Wąsowicz, świadek tego zajścia, które miało miejsce w ko-

¹⁾ Byli to Mostowski i Matuszewicz, ludzie wielkich zdolności i wielkiej zasługi. (Przypisek autorki.)

czu, nie będąc związanym tajemnicą, opowiedział mi ją w bardzo dowcipny sposób.

Zawdzięczamy mu również ciekawe szczegóły o przyjeździe cesarza do Drezna. Jedyńm wiernym sojusznikiem, który mu pozostał, był król saski; chciał on rozmówić się z tym władcą o środkach, jakie miał przedsięwziąć. Przybywszy o północy do pana Serra i nie chcąc tracić ani chwili, powierzył pułkownikowi Wąsowiczowi rozkaz udania się natychmiast do zamku królewskiego i zbudzenia króla, którego snu nie zakłóciło nic od niepamiętnych czasów. Straż i sztyd-wach spali także; przeto po zwyciężeniu dopiero ogromnych trudności, dostał się cesarski poseł aż do apartamentu króla. Ten, rozbudzony nagle przez oficera, z wielkim trudem zrozumiał, że Napoleon, przejeżdżając przez jego stolicę, prosił go o chwilę rozmowy; gdy mu Wąsowicz rzecz wyjaśnił, kazał się pośpiesznie ubrać i wsiadł do lektyki, ażeby się udać do ministra, ponieważ stajnie dworskie znajdowały się na przedmieściu i za wiele potrzebaby było czasu, ażeby mieć kareta o tej nocnej godzinie, w której nigdy jeszcze nic nieprzewidzianego nie zaszło. Nadedniem rozległ się krzyk, że król zniknął i że nie wiadano, co się z nim stało. Popłoch był wielki. Szambelanie, paziowie i laufry rozbiegli się po mieście, rozno-sząc tę dziwną wieść, która wyjaśniła się wtedy dopiero, kiedy cesarz był już na drodze do Paryża.

Wkrótce po przejeździe Napoleona wracali jeden po drugim ci z naszych żołnierzy, którzy byli w stanie przenieść podróż. Jedni byli okryci gałganami, nie mogącemi ochronić ich od zimna, drudzy, szczęśliwsi, mieli na sobie kobiece szuby.

Ujrzelśmy przybywającego hrabiego Artura Potockiego, adjutanta księcia Poniatowskiego, na saniach krytych, chorego na nerwową gorączkę.

Księżę Poniatowski wrócił jeden z ostatnich. Podróż jego była długa i uciążliwa; zwicznął sobie nogę, zsiadając z konia, i był zmuszony leżeć w swojej karecie, doznając bólu nie do wytrzymania przy najmniejszym poruszeniu.

Jak tylko dowiedziałam się o przybyciu księcia, pobiegłam ucałować jego rękę. Rysy jego, wykrzywione cierpieniami, wyrażały raczej boleść duszy, niż cierpienia fizyczne. Gorzko żałował tego pięknego woj-ska, dziesiątkowanego w jego oczach—opłakiwał bohaterką śmierć tylu dzielnych, poświęconych niepo-jętej nieostrożności wielkiego człowieka, któremu jednak mimo wszystko pozostał wierny. Zdawało mi się, że spostrzegłam, iż nie stracił całej nadziei i była-m tem więcej zdziwiona, że należał do niewielkiej liczby tych, co poświęcając się, nie zaślepiali się co do prawdopodobnego wyniku tak olbrzymiej walki. Oznajmił, że pobyt jego w Warszawie potrwa krótko, że kiedy zgromadzą się niedobitki armii polskiej, zajmie się czynnie nową organizacją wojsk. Dodał, że na karnawał będziemy mieli austriackich oficerów, mniej miłych, niż Francuzi, ale znakomitych tancerzy. Była to przymówka do pułku księcia Schwar-tzenberga, na którego Napoleon liczył jeszcze — ostatnie złudzenie, krótko trwające; jak tylko wojsko polskie przeniosło się do Krakowa, generał austriacki wydał Warszawę Rosyanom i od tej chwili zdrada stała się jawną.

Zauważywszy olbrzymią księgę koło łóżka księcia, zapytałam go, śmiejąc się, czy nie są to jego pamiętniki?

— Ach! alboż to mamy czas do pisania! — rzekł. — Weź tę księgę na pamiątkę — to *mój łup*. Kazałem to podnieść na gościńcu i czytałem dla rozrywki. To „Podróż na Wschód” — zachowaj ją dla swoich dzieci, lata dodadzą jej wartości. Wiesz, że jak się spodziewałem, przeszliśmy przez Moskwę wśród opuszczonych skarbów *z bronią na ramieniu*, żaden z moich nie wyszedł z szeregu.

Te kilka słów wypowiedział z jakimś dumnym zadowoleniem, błyszczącym w jego spojrzeniu.

Nie mogłam powstrzymać się od przypomnienia mu innej okoliczności; było to przy szturmie na tę baterię, której wzięcie rozstrzygnęło o pamiętnem zwycięstwie pod Możajskiem. Słuchał mnie ze skromnością, charakteryzującą go, a tak mało robił sobie z darów, jakimi go obdarzyła natura, że jego niezwykłe męstwo wydawało mu się właściwością wszystkich zdrowych ludzi, bo nie wierzył w tchórzów.

Wkrótce po jego powrocie, podczas kiedyśmy z najżywszem zajęciem słuchali opowiadania jego o wojnie, przyszedł jakiś adjutant, ażeby go uprzedzić, iż większa część żołnierzy prosiła o pozwolenie złożenia orłów swojemu dowódcy.

Nie mogąc chodzić, książę kazał się zanieść na dziedziniec; poszliśmy za nim. Byłam wówczas świadkiem wzruszającej i wspaniałej sceny. Jak tylko Poniatowski zjawił się na tarasie, wszyscy ci dzielni zgromadzili się koło niego, składając swoje orły u stóp jego. Żołnierze ani na chwilę nie stracili z oczu tych

sztandarów; w chwili, kiedy inni myśleli tylko o ocaleniu swego życia, oni myśleli o honorze pułku. Brakowało jednego tylko z tych orłów. Książę zwrócił na to uwagę z rzewnym uśmiechem.

— Ach! — krzyknęli wszyscy naraz — jest tam ta *kukulka*, ale ponieważ kula armatnia oberwała jej głowę, nasz towarzysz wstydził się pokazać ją w tym żalonym stanie!... Chodź, chodź, zbliż się, to nie twoja wina!

Wszyscy śmieli się do rozpuku i ujrzano zbliżającego się dwudziestoletniego młodzieńca, z ręką na temblaku; wyciągnął z kieszeni poszarpanego płaszcza *kukulkę*, jak ją nazywali, i kładąc ją z zakłopotaną miną obok innych, tłumaczył się, że przyniósł tego orla tak uszkodzonego.

— Dlatego, że towarzysz jest jeszcze młody — rzekli najstarsi — i zawsze wysuwał się naprzód!

Nie mogąc dłużej powstrzymać swego wzruszenia, książę obcierał ukradkiem oczy. Żołnierze zapewne wyobrazili sobie, że książę był zmartwiony i by go pocieszyć, oznajmili mu, że wkrótce powrócą mu jego armaty.

— Niech wasza książęca mość będzie spokojny — mówili — ci, co je prowadzą, nie mogą tak pośpieszać, jak my, gdyż to daleko cięższe. Ale przyjdą za kilka dni. Kiedy nam konie pozdychały lub kiedyśmy je zjedli, sami zaprzęgaliśmy się do naszych armat... Bądź tylko zdrow, a zobaczysz, że wszystko będzie dobrze!... Będziemy się bili, pomścimy się!... Pójdziemy za tobą chociażby do piekła.

I znów okrzyki. Czapki wylatują w powietrze, a jakie czapki, wielki Boże! — łachmany! gałgany po-

wiązane z sobą! I ludzie ci nie mieli ciepłego ubrania! byli bez butów! Najszczęśliwsi mieli nogi poobwiązywane kawałkami sukna. Wszyscy przynajmniej byli weseli i zdrowi, gotowi pójść choćby nazajutrz, a nawet tego samego dnia, gdyby się tego okazała potrzeba.

Książę kazał rozdać im wszystkie pieniądze, jakie miał w kasie. Na dziedzińcu podano im zaimprovizowany posiłek. Nalewaliśmy im wina szampańskiego; z zapalem wzniesli zdrowie swego wodza. Cała służba, będąca na usługach księcia, jak również domownicy, tłoczyli się kołem, kiedy oni jedni wydawali się zdziwionymi, że ich tak raczono; uważali, że spełnili tylko swój obowiązek.

Czas płynął ociężale. Jakaś bolesna odrętwiałość nastąpiła po żywych, najokropniejszych wstrząsaniach!... przyszłość ukazywała się groźna.

Ten wielki bój, ten bój na śmierć — cała Europa przeciwko jednemu człowiekowi! — miał się zacząć i rozstrzygnąć o naszym losie.

Niestety! to już nie na brzegach Dźwiny, ale na brzegach Renu miał się odbyć ten olbrzymi pojedynek. Już było po szczęściu bohatera; szczątki jego tronu, waląc się, miały nas przygnieść.

Tymczasem wojsko nasze otrzymało rozkaz ruszenia do Krakowa. Książę Poniatowski opuścił Warszawę pod koniec stycznia. Zupełnie wyzdrowiał i na odjeździe przyszedł się ze mną pożegnać. Zauważyłam, że jego piękna twarz była owiana smutkiem. Zajmowała go myśl o pożegnaniu bez powrotu; obłątny na swój własny los, myślał o losie Napoleona.

Przewidywał, że budowla europejska, wzniesiona dzięki zwycięstwu, upaść miała.

Kiedy ścisłałam go po raz ostatni, nie mogłam powstrzymać łez; wówczas mnie wyłajał; zabronił mi żałować go, jeśli mu przyjdzie zginąć chwalebnie na polu bitwy.

— Czyż nie będę — mówił — szczęśliwy, gdy nie będę patrzył na nieszczęścia, jakie prawdopodobnie spadną na biedną naszą ojczyznę!

Widząc, że mimo słów pociechy, jakie starał się zwracać do mnie, nie przestawałam płakać, chciał nadać rozmowie mniej poważny kierunek; zauważył, że nie oceniam, albo nie rozumiem korzyści, jaką będzie miał, umierając nie zestarawszy się.

Kazał sobie przyprowadzić moje dzieci, uściskał je i prosił mnie, żebym im kiedyś opowiadała o nim i odjechał, bardziej wzruszony, niż to chciał okazać. Było to, niestety! ostatnie pożegnanie. Dowiedzieliśmy się potem, że pewien, iż nie wróci, zrobił testament. — Nic nie może być szlachetniejszego i bardziej wzruszającego nad wyrażenie ostatniej jego woli; — chciał, żeby jego zbiór broni został rozdzielony pomiędzy jego dawnych towarzyszy i żeby sumy, jakie znajdują się w jego kasach, zostały rozdane jego biednym, jak również udekorowanym żołnierzom, aby; jak mówił, *mogli raz jeszcze wypić za moje zdrowie*. Zapewnił utrzymanie dwojga dzieci naturalnych i starego kamerdynera; siostrze swojej ¹⁾ zostawił użytkowanie wszystkich swych majątków, a mnie zapisał Jabłonnę. Oby pamięć jego była tam zawsze czczona i oby

¹⁾ Hrabinie Tyszkiewiczowej.

drogie pamiątki te, zebrane tam, nie wpadły w świętokradzkie ręce.

Co do mnie, sędzę, że wywiązałam się z obowiązku, jaki na mnie włożył ów zapis. Przez dziesięć lat nie pozwoliłam sobie dotknąć dochodu z tej pięknej posiadłości, używając go jedynie na jej upiększenie. Napis, położony na drzwiach biblioteki, a raczej muzeum, wypowiada myśli moje:

USTRONIE BOHATERA, STARANNIE OZDOBIWSZY,
POTOMKOM PRZEKAZUJĘ.

V.

Śmierć księcia Poniatowskiego.

(1813)

Księżę Adam Czartoryski i Cesarz Aleksander. — Propozycje cesarza rosyjskiego czynione Poniatowskiemu. — Księżę Antoni Radziwiłł, pełnomocnik króla pruskiego. — Zachowanie się księcia Poniatowskiego. — Widzenie się Napoleona z Poniatowskim w Dreźnie. — Wojna saska. — Księżę Sułkowski. — Dąbrowski. — Hrabia Pac. — Polacy na wyspie Elbie. — Krasiński. — Pogrzeb księcia Poniatowskiego.

Wkrótce upewniliśmy się, że Austria trzymała z Rosyą. Kiedy księżę Poniatowski dochodził do Krakowa, feldmarszałek austriacki ustąpił miejsca awangardzie rosyjskiej, dowodzonej przez generała Czaplica, który, jako Polak, miał za zadanie rozrzucać proklamacye swego pana, proklamacye, pełne zapewnień i czarownych obietnic.

Od chwili, kiedy ministrowie: Matuszewicz, Mostowski i Sobolewski, na czele których stał hrabia Zamoyski, dowiedzieli się o wspaniałomyślnych zamiarach Cesarza Aleksandra, zawiązały się między nimi a emisaryuszami rządu rosyjskiego tajemne stosunki, jakie miał na oku pan Bignon, który powró-

ciwszy z Wilna, otrzymał rozkaz udania się do Krakowa za księciem Poniatowskim.

Taki był stan rzeczy, kiedy książe Poniatowski, stojący w Krakowie razem ze swoim korpusem, wciąż oczekiwał rozkazów Napoleona.

Aleksander sądząc, że jest to stosowna chwila do odcięcia nas od Francji, ofiarował księciu jak najdogodniejsze warunki dla Polski. Przy tej to sposobności wypowiedział Poniatowski te szlachetne słowa, które go tak charakteryzują: „Nie przyjąłbym jak najlepiej ugruntowanych nadziei, jeśli trzeba było kupić je za cenę hańby“.

Posel rosyjski wyjechał, nic nie uzyskawszy. Prusy poszły jeszcze dalej. Książe Antoni Radziwiłł, mąż księżniczki Ludwiki pruskiej, krewnej króla, przybył do Krakowa, opatrzony w tajemne instrukcje. Radziwiłł powiedział księciu, że nadeszła chwila, kiedy nikogo nie zadziwi, że Poniatowski ubiega się o tron elekcyjny; wykazał, że ponieważ los Polski związany jest z tak słuszną ambycją, historia nie będzie mogła zarzucać mężnemu wodzowi, że opuścił sztandary francuskie, kiedy słusznym prawem mógł rozwinąć własne.

Tej podstępnej rozmowie towarzyszyły najpochlebniejsze pochwały.

Poniatowski odparł, że chcąc okazać się godnym szacunku, o jakim go zapewniano w imieniu czcignego monarchy, uważał za swój obowiązek odpowiedzieć z zupełną szczerością. Odrzucił więc wprost propozycje, które, prawdę mówiąc, więcej go zadziwiły niż mu pochlebily.

— Przysięgam — dodał — nie odłączać sprawy

mego kraju od sprawy Napoleona, który jeden tylko wyciągnął do nas rękę.

Książe Poniatowski zniewolił księcia Radziwiłła do opuszczenia Krakowa w przeciągu dwudziestu czterech godzin i uprzedził go, że zawiadomi pana Bignon o tem, co zaszło.

Od tego to dnia datuje się niezwykle zaufanie, jakie następnie Napoleon okazywał Poniatowskiemu; cesarz posunął się nawet do tego stopnia, że powziął myśl posadzenia księcia na tronie polskim, jeśli na to pozwolą okoliczności. Niestety! od tego należało zacząć! Na nieszczęście, nieufność i pogarda, jakie cesarz miał dla ludzi wogóle, krzywiły często jego sądy o osobistościach.

Widziałam list, w którym mój wuj przytaczał poufałą rozmowę, jaką miał z Napoleonem w Dreźnie w chwili, kiedy traktowano o ten pokój, co mógł być wówczas podpisany na warunkach możliwych do przyjęcia. Wskutek fantazji dość dziwacznej cesarz wymógł na księciu, ażeby wypowiedział swój sąd w tej ważnej kwestyi. Poniatowski odrzekł bez wahania ze swoją szczerością żołnierską:

— Ponieważ wasza cesarska mość każe, oto moje zdanie: Wydawałoby mi się roztropnem zawrzeć pokój, ażeby potem skuteczniej prowadzić wojnę.

— Być może, że masz pan słuszość — zawołał Napoleon — ale ja wydaję wojnę, ażeby potem skuteczniej zawrzeć pokój. Przyszłość rozstrzygnie, kto z nas dwóch ma rację. — W tej chwili pociągnął z taką gwałtownością sznur od dzwonka, którym bawił się w czasie rozmowy, że ktoś wszedł nagle.

13 kwietnia 1813 roku armia polska otrzymała

rozkaz wyruszenia. Przeszła Czechy i zebrała się w Żytawie w Saksonii. W wiele lat potem, jadąc do Karlsbadu, przejeżdżałam przez ten piękny kraj i miałam szczęście słyszeć, że imię księcia Poniatowskiego jest kochanem i czczonem.

Lato 1813 roku ujrzało ostatnie cuda geniuszu Napoleona. Austerlitz'kie to słońce oświeciło jeszcze bitwy pod Lützen i pod Budyszynem, ale klęska pod Lipskiem dała hasło upadku olbrzymu.

Cesarz znalazł księcia Poniatowskiego w Delitz; kazał sobie wyznaczyć wszystkie punkta, gdzie nieprzyjaciół mógł próbować ataku i najważniejszy z nich powierzył mężstwu Polaków.

Przez cały dzień 16 października trzymali się na swojej pozycji, jakkolwiek siły ich były nieskończenie mniejsze od nieprzyjacielskich. W Delitz to Poniatowski otrzymał buławę marszałkowską. 19 wieczorem był wezwany do cesarza, aby otrzymać jego rozkazy.

— Książę — rzekł mu — masz bronić przedmieścia południowego i zasłonić odwrot.

— Najjaśniejszy Panie, zostało mi już bardzo mało ludzi — odparł Poniatowski — z trudem ukrywając ból, jakiego doświadczał, widząc w przeddzień, że padło trzy czwarte jego żołnierzy.

— Nic nie szkodzi! siedem tysięcy Polaków pod twemi rozkazami równa się całemu korpusowi.

— Najjaśniejszy Panie! wszyscy gotowi jesteśmy poledz.

Tam jeszcze Polacy dokazywali cudów, ale mała garstka tych, co się wymknęła nieprzyjacielowi, została później osaczona wskutek wysadzenia mostu

lipskiego. Jej bohaterski wódz widząc, że może być wziętym do niewoli, rzucił się w Elstere; nie umiał pływać, a nadto miał rękę na temblaku i zniknął w falach tej nędznej rzeczki, ogromnie wezbranej z powodu jesiennych deszczów.

„Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go oddam!“ — Takie były ostatnie jego słowa. W swojej wzniosłej prostocie streszczały one historię całego jego życia.

Nie wiedzieliśmy przez kilka dni o tej okropnej katastrofie, która dopełniła miary naszych nieszczęść. Rosyanie, panowie Warszawy, taili szczegóły bitwy lecz wkrótce dowiedzieliśmy się o tej strasznej klęsce, której wrażenie może być porównane tylko do tego, jakie wywiera zapewne trzęsienie ziemi. Kraj znajdował się w ręku Rosyan, armia nasza była zniszczona, wszystkie zasoby wyczerpane. Skromne Księstwo Warszawskie, które niedawno wydawało nam się za małe w stosunku do naszych nadziei i wysiłków, miało się stać przedmiotem wiecznych żalów.

Napoleon znalazł się w trudności, kim zastąpić księcia Poniatowskiego; nie chciał rozpuszczać tych, co zostali z wojska polskiego, zamyślał posłużyć się nimi przy zdarzonej sposobności. Wybór jego padł na księcia Sułkowskiego, który odznaczył się w Hiszpanii i którego imię wiązało się ze wspomnieniami Egiptu, gdzie jakiś Sułkowski zwrócił uwagę Napoleona i zdobył jego łaskę. Wybór ten nie był szczęśliwy. Sułkowski, jakkolwiek pełen mężstwa, nie posiadał ani zdolności, ani charakteru człowieka wyższego. Zmęczony długą i nieszczęśliwą wojną, nie żaden

wcale bogactw, a mało dbający o sławę, miał jedno tylko pragnienie: wrócić do żony, którą ubóstwiał. Nie starał się zatem zupełnie o podniesienie ducha w żołnierzach, a czując, że nie podoła swemu zadaniu, podał się do dymisji.

Wówczas dowództwo powierzono Dąbrowskiemu¹⁾, temu samemu, co niegdyś utworzył pierwsze legiony polskie we Włoszech (1796).

Dąbrowski przeszedł Ren pod Moguncją i zatrzymał się w Sedanie z pułkiem bardzo uszczuplonym. Generał Flahault, adjutant cesarza, otrzymał rozkaz połączenia się z nim, ażeby mu pomógł i wypełnić luki. Nie bez trudności potrafiło utworzyć trzy pułki kawalerii, nad którymi dowództwo objął hrabia Pac²⁾, podczas kiedy Dąbrowski, chory i bardzo już posunięty w wieku, został w Sedanie, gdzie zajął się reorganizacją korpusu piechoty.

Dzielny hrabia Pac, ciężko ranny przy oblężeniu Craon, był zmuszony usunąć się. Gdy się tak działo, Wincenty Krasiński otrzymał dekretem podpisanym w Fontainebleau 4 kwietnia 1814 r. godność generała głównodowodzącego wojsk polskich.

Nasi współziomkowie napróżno błagali o łaskę pójścia za bohaterem na wygnanie. Napoleon, wzruszony dowodami przywiązania, jakie dawali mu ci żołnierze w chwili, kiedy ujrzał się zdradzonym, wybrał trzydziestu Polaków, którzy pod rozkazami pułkownika Jerzmanowskiego odplynęli na wyspę Elbę.

Bezstronność jest smutnym obowiązkiem tych,

¹⁾ Jan Henryk Dąbrowski, ur. w roku 1755, zm. 1818 r.

²⁾ Ludwik Michał Pac, ur. 1780, zm. 1835 r.

co piszą swoje wspomnienia, kiedy muszą odkrywać obok czynów godnych pochwały, błędy i bezeceństwa.

Charakter Polaków jest wogóle połączeniem dwóch ostateczności i patryotyzmu, szlachetności, bezinteresowności bez granic, lub fanfaronady, ambicji, niepowściągliwej próżności. Z tych to ostatnich żywiołów składał się charakter Wincentego hrabiego Krasińskiego; ambitny bez wielkości, dworak z zasady i z zamiłowania, skończony kłamca, nie cofał się przed niczem, coby mogło sprzyjać jego szalonym zamiarom.

Chcąc uchodzić za wielkiego pana, opiekuna sztuk, zamówił u Vernet'a obraz, przedstawiający bitwę pod Somo-Sierra i miał śmiałość umieszczenia tam swego wizerunku; tymczasem wiadomo było powszechnie, że nie brał udziału w tej bitwie; dla niego dość było zrobić wystawę swej próżności. Być może, że współcześni rozgrzeszyliby go, ale po upadku Napoleona przyłączył się do Cesarza Aleksandra, stał się Rosyaninem, jak przedtem zrobił się Francuzem. Patryota Niemcewicz przezwiał go *wolontaryuszem nikiemności*.

Ostatnia łaska, zachowana mu przez los, byłaby go może zrehabilitowała w oczach współobywateli, gdyby umiał być z niej skorzystać; jednak niezwykły popęd do intryg i pragnienie wzniesienia się za jakąbądź cenę, wprowadziły go na haniebną drogę, a w końcu okryły wzgardą.

Gdy mu cesarz Aleksander porucił przyprowadzenie do kraju resztek naszej armii, otrzymał rozkaz zatrzymania się w Lipsku dla zabrania zwłok księcia Poniatowskiego. Spełniwszy ten obowiązek, Krasiński powinien był zniknąć, żyć wspomnieniami i oczekiwać wypadków.

Mówiąc o przewiezieniu tych czcigodnych prochów, muszę wewnątrznie się skupić. Jak tylko oznajmiono zbliżanie się orszaku pogrzebowego, droga pokryła się niezliczonym tłumem, biegnącym naprzeciw tego, którego uważano za depozytariusza chwały narodowej. Słuchać tam było tylko zaklęcia i jęki. Duchowieństwo szło z wielką pompą aż do bram miasta, ażeby przyjąć ciało, które ustawiono na karawanie, pokrytym płaszczem gronostajowym i ozdobionym insygniami i herbami. Wojsko postępowało w posępnym milczeniu, ze spuszczoną bronią. Nagle rzucili się żołnierze do koni, wyprzęgli je i nie zapytawszy się nawet swoich zwierzchników, pociągnęli trumnę. Przybyli w ten sposób do kościoła Świętego Krzyża, tam oddali drogocenne brzemie w ręce generałów, którzy je złożyli w podziemnej kaplicy. Miano później przewieźć zwłoki Poniatowskiego do Krakowa do katedry, gdzie są pochowani nasi królowie i nasi wielcy ludzie.

Począwszy od tego dnia, co rano widywano tłum cisnący się na nabożeństwo, ze skupieniem słuchający mszy żałobnych, odprawianych przy trumnie; nieraz zdarzało mi się znaleźć obok siebie jakiegoś starego żołnierza, zraszającego łzami stopnie katafalku.

Mój powóz żałobny powoli tylko mógł postępować za orszakiem wpośród tego tłumu, którego żał rozumiałam i podzielałam lepiej niż ktokolwiekbydż inny. Zabrałam moje dzieci; zdawało mi się, że dopełniam ostatniego obowiązku, przedstawiając ten posępny widok ich młodocianej wyobraźni; chciałam, ażeby nigdy nie zapomniały o chwale, jaką przynosi takie życie i taka śmierć.

CZĘŚĆ PIĄTA.

ROSYANIE W WARSZAWIE.

I.

Cesarz Aleksander.

(1815)

Rada ministrów. — Nowosilcow. — Fajka pana Łanskoja.

Podczas mego pobytu przy rodzicach męża, zajęta wychowaniem trojga moich dzieci, ze smutkiem rozpoczynam opowiadanie wypadków, jakie zaszły w Polsce po abdykacji Napoleona.

Cesarz Aleksander oświadczył, że bierze niezwłocznie nasz kraj pod swoją opiekę. W Paryżu okazywał Polakom najpochlebniejszy szacunek.

Jak tylko los naszego kraju został postanowiony na kongresie wiedeńskim, cesarz Aleksander dał do swoich tytułów tytuł króla Polski; chcąc nadać rządowi wygląd narodowy, ustanowił radę, do której powołano trzech nieskazitelných ludzi: księcia

Czartoryskiego, Wawrzeckiego i księcia Lubeckiego—prezydencję złożono w ręce senatora rosyjskiego Łanskoja.

Nowosilcow należał również do tej rady.

Natura upośledziła tego człowieka, jakby chcąc, ażeby odpychający wyraz jego twarzy służył za ostrzeżenie dla tych, których jego zrzeczność i dwoistość mogłyby zaprowadzić w błąd. Zezował w niezwykły sposób i kiedy jedno jego oko głąskalo, drugie przenikało do głębi duszy myśl, jaką chciano przed nim ukryć. Został mi przedstawiony przez księcia Czartoryskiego i w pierwszych czasach swego pobytu w Warszawie często mnie odwiedzał, zapewne chcąc się dowiedzieć, co mówiono i co myślano.

Przyznaję, że przez kilka miesięcy byłam nim oczarowana, uważając go za oddanego naszym sprawom. Bardziej odemnie doświadczeni na to się łapali i nie tak szybko rozczarowywali. Syn naturalny hrabiego Strogonowa, Nowosilcow wychowywał się za granicą, dzięki dobrodziejstwom tego magnata. Jego pobyt w Anglii nadał mu wygląd gentlemena. Jego wpływ fatalny na Polskę trwał przez lat dwadzieścia.

Jak tylko pan Łanskoj zainstalował się, sprawował swoją żonę i swoje dzieci, odznaczające się brzydotą Patagończyków. Jednak mimo swe wystające kości policzkowe i chińskie oczki, pan Łanskoj miał wygląd uczciwego człowieka, bardzo dobrze usposabiający. Należał do liczby tych Rosyan, co słusznie uchodzą za ludzi honoru.

Przypominam sobie, że zmuszona złożyć wizytę pani Łanskoj, zostałam uprzedzona przez przyjaciółkę.

że pan prezes pozwalał sobie, jak prawdziwy satrapa, przychodzić z fajką w ustach do salonu, kiedy mógł liczyć na pobłażliwość pań tam zgromadzonych. Byłam więc bardzo sztywna, ażeby nie być przyjętą poufale. Pokój, w którym się znajdowała pani Łanskoj, przesiąknięty mocnym zapachem tytoniu, nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości co do tego, co mi opowiadano, ale ponieważ kamerdyner pospieszył mnie zameldować, *Pan* miał czas oddalić się. Znalazłam tam wiele osób, między innymi Nowosilcowa, którego zainterpelowałam z pewną przesadą o szkaradny odór, którym była zapowietrzona atmosfera salonu, radząc mu, żeby kazał starannie zbadać, czy za pośrednictwem rur kominowych salon ten nie znajdował się w komunikacji z *kordegardą*, mieszczącą się na podwórzu pałacu Brühlowskiego, który zajmował pan prezes. Mam wszelkie dane do sądzenia, że mnie zrozumiano, gdyż odtąd powstrzymał się od palenia fajki w salonie, za co niejednokrotnie spotykały mnie podziękowania ze strony pań, które, nie mając odwagi okazać swego niezadowolenia, widziały się skazanymi na połykanie kłębow dymu tytoniowego, wychodzących z cybucha pana Łanskoja.

II.

Kongres Wiedeński.

(1815)

Książę Czartoryski na kongresie. — Korespondencya księcia z lordem Gray'em i lordem Holland'em. — Książę Metternich. — Książę Talleyrand. — Lord Castlereagh. — Kongres *tańczy*. — Monarchowie i kobiety. — Turniej. — Wiadomości o wyładowaniu Napoleona. — Niech żyje król polski! — Nowa konstytucya.

Książę Czartoryski, zaślepiony swemi złudzeniami i sądząc, że dopiął celu, do jakiego zmierzały wszystkie jego myśli i czyny, pospieszył za cesarzem Aleksandrem na kongres wiedeński. Tam rozpoczęła się nieustająca walka pomiędzy urojeniem a prawdą. Widząc, że zamiary Aleksandra nie były takie, jak się spodziewał, i namiętnie pragnąc zainteresować Anglię sprawami swego kraju, nawiązał książę poufną i nieustającą korespondencyę z lordem Gray'em i lordem Holland'em i usiłował wytłómaczyć im, jaka była konieczność dla spokoju Europy wstrzymania podbojów Rosyi, ustanawiając Polskę na tyle potężną, ażeby służyła za przedmurze zachodowi.

Te listy, których kopie widziałam, książę nieostrożnie powierzył sekretarzowi, będącemu od wielu lat przy jego boku. Charakter i poświęcenie tego

człowieka wydawały się więcej niż wystarczającemi rękojmią, ale listy w końcu zostały skradzione w najniegodniejszy sposób i wydane Nowosilcowowi, który posłużył się niemi później jako głównym aktem oskarżenia przeciwko ministrowi i przyjacielowi, cieszącemu się całkowitem zaufaniem cesarza Aleksandra. Cesarz, mający sposobność przez wiele lat ocenić zalety i zdolności Czartoryskiego, wezwał go zaraz na początku kongresu do prac, odnoszących się do przyszłych losów Polski. Ale Czartoryski, zakładający całą swoją ambicyę na tem, żeby być użytecznym swojemu krajowi i służyć mu z bezprzykładnym zapałem, był podobny do tych starożytnych bohaterów, co poświęcali ojczyźnie wszystkie swoje uczucia.

Ci, co podejrzewali go o pracowanie dla siebie samego, dziwnie się na nim nie poznali.

Widocznie było, że przedstawiciele rozmaitych gabinetów europejskich przyjeżdżali do Wiednia z innym nastrojem, niż cesarz rosyjski z sobą przywoził.

Wszyscy zgadzali się na niesprawiedliwość podziału Polski, jak również na niemożliwość zostawienia dłużej takiego stanu rzeczy, wywołującego ustawiczne niepokoje; wszyscy chcieli, ażeby ten kraj był przywrócony do dawnych swych granic, ażeby był wolny i niezależny.

Książę Metternich zaoponował w imieniu swego pana, oznajmił, że nie cofnie się przed żadnemi największemi poświęceniami, ale pod warunkiem, żeby Polska była rządzona przez rząd narodowy.

Talleyrand ze swej strony nalegał w imieniu

Francyi na wskreszenie Polski, ale król francuski, za ledwie przywrócony do swoich praw, mógł wziąć tylko udział doradczy w tej sprawie.

Ponieważ w Anglii opinia publiczna wpływa zawsze mniej lub więcej na politykę gabinetu, lord Castlereagh nie zaniedbał mówić o Polsce w sposób jasny. Szlachetny lord wymagał, żeby strony, mające udział w rozbiórce, przyjęły system, któryby im *przyniósł zaszczyt w oczach całego świata*.

Prusy, których interesy były związane z interesami Rosyi, zachowały milczenie, szczęśliwe, że uniknęły zburzenia, jakim groził Napoleon.

Wśród tych ważnych zajęć kongres *tańczył*, jak to złośliwie powiedziano. Nic z tego, co się działo, nie było dla nas nieznanem, każdy miał przyjaciół lub korespondentów, spieszących ze zdawaniem sprawy o najdrobniejszych szczegółach. Monarchowie, z zachwytem korzystali ze szczęścia, że są panami u siebie. Wielkiego olbrzyma, który tak długo ich niepokoił, nie było już tam, żeby im groził i powstrzymywał ich. Zupełnie szczęśliwi, bawili się *jak królowie*, jakimi zresztą byli, sądząc, że nie potrzebują się już niczego obawiać.

Dwór wiedeński roztoczył wspaniałość, której wcale nie oczekiwano; zdawało się, że tak blizki ruiny, powinien być wyczerpać swój skarb, ale wcale na to nie wyglądało. Cesarz Franciszek wydawał przepyszne festyny, a między innymi *turniej*, gdzie szlachta ze wszystkich krajów ubiegała się o przepych; starożytne bronie, jak również bogactwo czapraków, całych w złocie i drogich kamieniach, mogłyby w razie potrzeby służyć jako okup za znakomitych więźniów.

Najpiękniejsza panie ukazywały się pokryte diamentami; rozrzucaly sumy godne świetności festynu, który odbył się w obszernej ujeżdżalni cesarskiej. Uczestniczyło w nim wiele tysięcy widzów, dzięki biletom rozdawanym przez dwór i panie.

Wśród tych radości i tych wspaniałych rozrywek Talleyrand otrzymał depeszę o wylądowaniu Napoleona. Moznaby powiedzieć, że to był piorun, uderzający z jasnego nieba i ścierający w proch śmiertelników, tem mniej przygotowanych do tego nieoczekiwanego ciosu, że zapomnieli już o swoich snach i o swojem poniżeniu.

Lew udawał tylko martwego; wracał mocny i pyszny! Wszystko padało na twarz za jego zbliżeniem, nie było już czasu na wymienianie not i układy; był to ogólny popłoch, stracono głowy ze wszystkiem! Rozesłano kuryerów we wszystkich kierunkach, ażeby wstrzymać armie, zdążające każda do swego kraju. Można było zapewnić, że dnia tego monarchowie i ministrowie położyli się z kapeluszami na głowie i ze szpadami przy boku, tak wielkie było przerażenie...

Taki był koniec sławnego kongresu i poród traktatu w 1815 roku, który przyszedł na świat pod wrażeniem strachu, jaki wywarł na wszystkich nieoczekiwany powrót Napoleona. Traktat ten ustalił los Polski.

Aleksander, zadowolony z szybkiego i łatwiejszego wyniku, niż ośmielał się spodziewać, wzięwszy pod uwagę trudności, jakie z początku napotkał, ogłosił się królem kraju, który oddawano mu bez zastrzeżeń; rozgłaszał wszędzie odbudowanie, które, jak mówił, uważał za najpiękniejszy tytuł do nieśmiertelności.

Natychmiast wyprowadzono kuryera, mającego za-
wieźć te ważną wiadomość do prezydenta, do sena-
tu i do pana Nowosilcowa.

Przybył nad wieczorem. Obradowano natych-
miast, jak należy ogłosić z *największą świetnością* za-
wartość ważnego pisma. Nowosilcow, dający inicja-
tywę wszystkiemu, postanowił, że najlepiej będzie
krzyknąć w sali teatralnej podczas antraktu: *Niech
żyje król polski!*

I tak się rzecz odbyła, a ponieważ na parterze
było wielu ludzi płatnych, a jeszcze więcej zwiedzio-
nych, okrzyki, zarówno jak oklaski, były szalone, ale
łoże pozostały chłodne i milczące! Żadna z oso-
bistości, mających wpływ na opinię, nie łączyła się z te-
mi głośniami manifestacyami, wybuchającymi w różnych
punktach parteru.

Rząd reprezentacyjny, taki, jaki istniał w Anglii
w owej chwili, był ulubioną mrzonką cesarza Aleksan-
dra. Ci, co byli blisko niego i byli mu oddani, twier-
dzili, że jego chęci i zamiary miały zrobić więcej, niż
obiecywał; mówiono, że cesarz Aleksander, krępowa-
ny niezadowoleniem, jakie już wywołała w Rosyi je-
go stronność względem Polaków, musiał działać
z ostrożnością i powolnością.

13 maja 1815 r. Aleksander podpisał punkta kon-
stytucyi, mającej rządzić nowem jego królestwem. Zau-
ważono w niej nie bez zdziwienia pochlebną obietnicę, ja-
ką nam zrobiono, że upodobnią ją, o ile to będzie
można, z ustawą 3 maja 1791 r.

III.

Pobyt Cesarza Aleksandra w Warszawie.

(1815)

Przybycie cesarza. — Ceremoniał. — Bal w salach redutowych. —
Wielki książę Konstanty. — Karność rosyjska. — Wprowadzenie
nowego ministerium. — Książę Adam Czartoryski. — Zajęczek. —
Pani Zajęzkowa. — Kochanka wielkiego księcia. — Zemsta Kon-
stantego.

Cesarz Aleksander wjechał do stolicy, otoczony
podwójnym urokiem: dawcy powszechnego pokoju
i dobroczynnego odnowiciela; urok ten był jeszcze
podniesiony wdziękiem porywającego obejścia i tą
pewnością siebie, jaką daje szczęście. Nie był to już
młody i ufający książę, jakiego widzieliśmy nieda-
wno, gdy miał się narazić na klęskę. Był to monar-
cha w całej sile wieku — doświadczony w nie-
szczęściu, a teraz obsypyany łaskami fortuny.

Przyjęto go ze spokojną i poważającą uprzej-
mością, która wistocie nie była podobną do entuzya-
zmu, jaki wzbudził Napoleon.

Długie rozprawy odbywały się nad sposobem,
w jaki miano uczcić przyjazd cesarza Aleksandra.
Jedni proponowali, żeby damy, przybrawszy na się
postać bóstw słowiańskich, wyszły na jego spotkanie

i ofiarowały mu chleb i sól, te oznaki pokoju i sojuszu wśród narodów północnych. To wydało się słusznie zbyt teatralnem i nie zostało przyjętem. Inni chcieli, żeby przywrócono ceremonie, jakie odbywano niegdyś przy elekcji. Nowosilcow zganiał ten projekt, mówiąc, że nie wypada mieszać *wspomnień z nadziejami*. Zgodzono się więc na formy, przyjęte we wszystkich krajach, to jest na iluminację z *transparentami*, jak również na *bezpłatne* widowiska. Miałoby się wydać, że wspaniały bal w salach reutowych, które połączono z Wielkim Teatrem i które przybrano z nieporównanym smakiem i elegancją.

Cesarz przybył tam, otoczony najwyższym sztabem generałów polskich; sam miał na sobie mundur naszych wojskowych, a za całą dekorację wstęgę Orła Białego. Można by powiedzieć, że starając się, aby zapomniano, iż panował nad innemi narodami, chciał wzbudzić w nas tyleż zaufania, co i miłości. Jego czarujące zachowanie, łagodny i dobrotliwy wyraz twarzy, wzruszały wszystkich.

Na tym to balu po raz pierwszy ujrzelśmy wielkiego księcia Konstantego, spełniającego przy swoim dostojnym bracie urząd adjutanta; z szablą u boku, w obcisłym i zapiętym na wszystkie guziki mundurze, nie spuszczał z oczu cesarza, oczekując jego rozkazów i zdając się lubować w sztywnej i wyprężonej postawie. To też nigdy nie uwalniał się od tej parady i za każdym razem, kiedy cesarz przybywał do Warszawy, wielki książę nikomu nie ustępował swego miejsca; nazywał *obowiązkim* to, co było największą jego przyjemnością. W ten sposób dobrowolnie skazywał się na to, że nie tańczył, stał usta-

wicznie przy drzwiach salonu, ażeby nie przeoczyć wyjścia swego zwierzchnika.

Pozwoliłam sobie przechodząc na żart, na który odparł z niewzruszoną powagą:

— Służba przedewszystkiem i sam cesarz nie mógłby mnie od niej zwolnić.

Takie było u tego księcia zamiłowanie karności, że byłby uważał za spełnienie występku, gdyby, ustępując naleganiom swego brata, na chwilę opuścił swoje stanowisko. Parada równała się dla niego polu bitwy, gdyż niezbyt odważny z natury, z tego niebezpiecznego rzemiosła lubił tylko cień. Jego niezwykła surowość względem żołnierzy wypływała z niezwykłej wagi, przywiązywanej do najdrobniejszych szczegółów. Gdyby Konstanty był obdarzony charakterem Aleksandra, byłby w końcu zjednał sobie Polaków. Prawdopodobnem jest nawet, że gorący patriotyzm, który nas popchnął do przedsięwzięć najzuchwalszych, a najmniej wyrozumowanych, podałby się w końcu wpływowi rządu.

Pierwszy pobyt cesarza przyniósł znaczne zmiany w administracyi Królestwa. Rząd stały zajął miejsce rządu tymczasowego. Pan Łanskoj wyjechał nie wiem już pod który stopień szerokości, aby rządzić jedną z prowincyj obszernego cesarstwa, i z pewnością był tam odpowiedniejszy, aniżeli w Warszawie.

Armia miała już dowódcę w osobie wielkiego księcia; chodziło o naznaczenie namiestnika Królestwa i o utworzenie ministeryum. Cesarz zaważwał do rządu prawie tych wszystkich, którzy byli ministrami podczas krótkiego trwania Księstwa Warszawskiego. Ignacy Sobolewski został sekretarzem stanu, Matusze-

101
wicz—ministrem finansów, Mostowski—wojny, hrabia Stanisław Potocki, mój teść, ministrem oświecenia publicznego; tylko zarząd sprawiedliwości powierzony był człowiekowi ¹⁾, który nie brał poprzednio udziału w sprawach Polski, gdyż będąc na usługach Rosyi, przybył do Warszawy dopiero z chwilą, kiedy cesarz Aleksander ustanowił rząd tymczasowy. Nie był widziany bardzo dobrem okiem, chociaż jego uczciwy charakter i usługi, jakie oddał ojczyźnie w wojnie w 1794, powinny były wystarczyć, ażeby zapomniano o stanowisku, jakie był zmuszony przyjąć.

Wszyscy inni ministrowie byli to ludzie o umysłach wysokich, o znakomitem wykształceniu, których doświadczony patriotyzm i nieskazitelne postępowanie, budziły nadzieje silnie ugruntowane w całym narodzie, który mógł tylko przyklasnąć wyborowi cesarza Aleksandra. Na nieszczęście, na wzór Napoleona, uważał on za nieuniknione, żeby nad rządem czuwał jeszcze reprezentant, który przybrał tytuł *komisarza* cesarskiego przy rządzie Królestwa, a większem jeszcze nieszczęściem było, że to tak ważne stanowisko dostało się Nowosiłcowowi. Jego zadaniem było, prawdę mówiąc, tylko *ułatwianie* stosunków pomiędzy Polską a Rosyą; ale skutek przebiegłości i zręczności, wkręcił się w końcu do Najwyższej Rady i wiedział wszystko, co się tam działo.

Nominacya namiestnika była pierwszym aktem, przez który cesarz Aleksander obruszył opinię. Nikt nie był godniejszy do zajęcia tego ważnego stanowiska, jak książę Czartoryski. Serdeczny przyjaciel ce-

sarza, obeznany ze wszystkimi tajemnicami polityki bieżącej, znany ze swoich cnót obywatelskich, rozległej wiedzy i bezinteresowności, był jakby z góry przeznaczony do zostania reprezentantem monarchy. Taka była prawdopodobnie pierwsza myśl Aleksandra; ale ulegając od początku nieszczęsnemu wpływowi, poświęcił swego przyjaciela uprzedzeniom, albo raczej przywidzeniom swego brata.

Książę Czartoryski zachował tylko swoje miejsce w senacie i stracił wszelki *bezpośredni* wpływ na sprawy kraju; bądźco bądź, pozostał kuratorem uniwersytetu wileńskiego. To ważne stanowisko robiło go najwyższym kierownikiem oświaty publicznej i ośm milionów Polaków, znajdujących się pod panowaniem Rosyan, zawdzięczało mu przez wiele lat najstaranniejsze wykształcenie.

Stanowisko namiestnika otrzymał Zajączek, który skłonił głowę zbiegającą w troskach i przyjął, jak powiedziano bardzo rozsądnie, urząd, przewyższający jego zdolności, ale nie dorównujący jego zasługom. Jako żołnierz parweniusz, wyniesiony przez nikczemnego Branickiego, zostawszy dworakiem Bonapartego, poszedł za tym generałem do Egiptu, nie zwróciwszy wszakże na siebie uwagi wśród tylu znakomych oficerów.

Wszedłszy w usługi Polski w chwili, kiedy wielki człowiek stworzył na nowo naszą armię, postradał nogę w odwrocie z Moskwy, co złagodziło opinię niezbyt przychylną, jak również obelżywe pogłoski, jakie wywołało jego *dwuznaczne* postępowanie podczas wojny o niepodległość.

Żona jego zasługuje na zajęcie miejsca w moich wspomnieniach, i jeśli historia odmawia jej stronicy,

¹⁾ Tomaszowi Wawrzeckiemu.

a ci, co ją, jak ja, znali zblizka, powinni oddając jej sprawiedliwość opowiedzieć, z jaką godnością potrafiła utrzymać się na wysokim stanowisku, które odtąd było jej przeznaczeniem; wywierała ona wielki wpływ na swego męża.

Obdarzona taktem i umiarkowaniem nadzwyczajnem, była wielką z wielkimi, a skromną z nami. Jej nagłe wyniesienie w niczem nie naruszyło jej przyzwyczajenia, ani jej związków. Pochodząc z nieznaney rodziny, zachowała stosunki ze swoimi: nigdy się ich nie zapierała, nie starając się ani ich wynieść, ani wysuwać naprzód. Szlachetna i bezinteresowna, bez porównania więcej zajmowała się dobrą sławą swego męża, niż korzyściami, na jakie stanowisko jej mogło zrobić ją chciwą. Ulotna w swoich upodobaniach, a stała w uczuciach i zasadach, przedstawiała dziwną mieszaninę płochości najbardziej kobiecej z zadziwiającą stałością charakteru.

Napół minister, napół Ninon ¹⁾, z wyjątkiem rozgłosu, oddawała się swemu zamiłowaniu do stroju i mody, jak również swej skłonności do galanteryi, wbrew swojej sześćdziesiątce, nigdy wszakże nie opuszczając sposobności, ażeby być użyteczną mężowi. Cesarzowa matka, chociaż surowa pod względem etykiety, podczas swego pobytu w Warszawie, przyjęła ją z nadzwyczajnem wyróżnieniem.

¹⁾ Ninon (Anna) de Lanclos, ur. 1616 roku w Paryżu, dzięki niepospolitym zdolnościom i wytrwałej pracy wysoko się wykształciła i otoczona była rojem wielbicieli z pośród najznakomitszych ludzi swego czasu; uczeni i poeci nieraz zasięgali jej rady, ponieważ odznaczała się wytwornym smakiem. Zmarła w wieku podeszłym, w r. 1706.

ZAKOŃCZENIE.

Tutaj kończą się moje notatki. Jeśli odtąd będę pisała, to bez porządku i jedynie tylko, ażeby zaznaczyć ważne fakty, wyryte w mojej pamięci. Wzrastające moje osobiste smutki odjęły mi nietylko chęć, ale i zdolność zajmowania się memi wspomnieniami. Nie mogę znieść oskarżania innych dla usprawiedliwienia siebie. Zresztą *Wyznania* Rousseau'a, które odczytałam o wiele później, aniżeli zaczęłam pisać swoje „Pamiętniki“, dały mi dobrą nauczkę.

Mimo niezaprzeczonego talentu, zdarzało mu się być gadułą; w swojej nadmiernej próżności mógł on mniemać, że są ludzie, którym wolno się zaniedbywać wobec potomności, a tymczasem rzadko ona bywa pobłażliwą dla tych, co chcą ją zainteresować czysto osobistemi szczegółami.

Dziwnem i ciężkiem jest wrażenie, jakiego się doznaje, kiedy po długiem życiu rzuca się po za siebie uważne spojrzenie! Ileż to wypadków, które nam wydawały się niezmiernie ważnemi, skazano na zapomnienie! Ileż to ambicyj chybionych, nadziei zawie-

dzionych, żalów zatartych, zapalów wygasłych!... Ileż namiętności, zwanych *niepokonanemi*, zniweczonych przez czas! Ileż wagi nadanej nędznym sprawom i ileż dziecinnych próżności, co najmniejszego nie pozostały śladu! Jakaż nieprzebrana ilość ludzi znikła, jedni skoszeni w wieku młodzieńczym, inni przeszedłszy długi i ciężki zawód! Ileż czynów, ileż imion, co zdawały się zasługiwać na nieśmiertelność, wtrąconych w toń, pochłaniającą wszystko, gdy tymczasem ludzie mniej warci wypływają na wierzch, ponieważ są złączeni z ważnemi wypadkami!

A było się świadkiem tych dramatów, razem biegło się do tej samej przepaści;—wybuchy radości, okrzyki rozpacz, wszystko się mieszało!

Przybywszy blisko do mety, czyż staliśmy się rozsądniejszymi, czyż jesteśmy zbrojni przeciwko nie-szczęściom i ulegli wyrokom czasu? Niestety! człowiek przestaje cierpieć i spodziewać się wtedy dopiero, kiedy przestaje żyć. Wiek przeinacza i zmienia naturę naszych wrażeń, ale ich nie unicestwia.

1/98 88.



SPIS RZECZY.

T O M I.

Anna z Tyszkiewiczów Potocka	Str. 5
--	-----------

Część pierwsza.

WSPOMNIENIA MŁODOŚCI.

I. Zamek w Białymstoku (1794)	11
II. Emigranci i Ludwik XVIII (1798)	19
III. Astrolog (1802)	29
IV. Małżeństwo z hrabią Aleksandrem Potockim (1802)	39
V. Łańcut i Puławy (1802)	48
VI. Mistyfikacya (1803)	64
VII. Cesarz Aleksander w Wilanowie (1805)	80

Część druga.

FRANCUZI W WARSZAWIE (1806—1807).

I. Przednia straż	85
II. Wejście Napoleona	93
III. Pierwsze kroki wojenne	98
IV. Umizgi	107
V. Partya whista u cesarza	114
VI. Eylau	122
VII. Tylża	134
VIII. Marszałek Davout	139

TOM II.

Część trzecia.

PODRÓŻ DO FRANCYI W ROKU 1810.

	Str.
I. Przedwstępne kroki do małżeństwa z Maryą-Ludwiką.	5
II. Pan Narbonne	14
III. Uroczysty wjazd do Paryża	21
IV. Dwór	28
V. Zabawy	36
VI. Salony	43
VII. Przechadzki po Paryżu	56
VIII. Malmaison. — Wyznanie.	68
IX. Obiad w Saint-Cloud.	81

Część czwarta.

KSIĘSTWO WARSZAWSKIE.

I. Bignon (1811—1812).	95
II. Wstępne kroki do kampanii rosyjskiej.	103
III. De Pradt	112
IV. Odwrót (1812—1813)	122
V. Śmierć księcia Poniatowskiego (1813)	135

Część piąta.

ROSYANIE W WARSZAWIE.

I. Cesarz Aleksander (1815)	143
II. Kongres Wiedeński (1815)	146
III. Pobyt cesarza Aleksandra w Warszawie (1815)	151
Zakończenie.	157

Sprostowanie.

Tom I, str. 11, w. 11 od dołu zamiast 1894, powinno być: 1794.

Tom I, str. 14, w. 3 od góry zamiast burait, powinno być: „buvait”